



ANDRZEJ SAJWA

CIEŃ  
WŁADCY SABATU

Allegria

**Andrzej J. Sarwa**

**Cień Władcy Sabatu**

## Część Pierwsza

Będąc dzieckiem lubiłem – pod nieobecność ojca – zakradać się do jego gabinetu i usiadłszy gdzieś w kącie, skryty pomiędzy regałami, których półki szczelnie wypełniały grzbiety ksiąg oprawnych w skórę, ze złożonymi literami tytułów i ornamentami, wpatrywać się w dziwną mapę, rozwieszoną na wprost jego biurka.

Piszę dziwną, bowiem w niczym nie przypominała tych map, jakie drukuje się teraz.

Rysowana była niegdyś chyba czarnym, teraz zaś zblakłym i zbrązowiałym ze starości atramentem, na dużej karcie pergaminowej.

Na owej mapie, przedstawiającej bez wątpienia wyspę, zaznaczone były rzeki i strumienie, a w jej centralnej części wyobrażone zostały góry. W jednym z rogów widniała róża wiatrów, a wokół brzegów karty wyrysowano jakieś przedziwne, a niesamowite stwory: potworkowatych ludzi o twarzach dzikich, pełnych okrucieństwa oraz zwierzęta nieznanne – ni to smoki, ni ptaki, ryby – nie ryby...

Wszakże najbardziej intrygowało mnie i przerażało zarazem wyobrażenie głowy, człowieczą głowę przypominającej, ale tak niesamowitej, tak potwornej, że gdy wpatrywałem się w nią dłużej niż kilka chwil zaledwie, ogarniała mnie groza. Lęk potężny żelazną pięścią zaciskał się na moim sercu i umyśle, i tłumiąc krzyk przerażenia wzbierający w gardle, uciekłem precz z ojcowskiego gabinetu i skrywszy się w swoim pokoju, długo nie mogłem odzyskać równowagi.

Mapa owa dziwnie jakoś – mimo iż koniec końców, zawsze wzbudzała we mnie grozę – fascynowała jednocześnie i gdy przez dłuższy czas nie miałem możliwości jej oglądać, zdawała się mnie przyzywać jawiąc się w snach.

U samego dołu tejże mapy widniał napis sporządzony dziwnie poskręcany

literami, który z trudem wielkim udało mi się odczytać. Brzmiał on:

„ET VIDI LIBRUM SIGNATUM SIGILLIS SEPTEM.”

Długo starałem się dociec jego znaczenia, nie śmiejąc wszakże zapytać o to ojca, bo gdyby się dowiedział, iż wchodzę – wbrew jego wyraźnemu zakazowi – do gabinetu, z pewnością by się rozgniewał.

Przecież któregoś dnia stało się to, co zdało się być nieuniknione i ojciec przydybał mnie wciśniętego pomiędzy regały i wpatzonego w tajemniczą mapę.

Bałem się, iż będzie krzyczał, a być może nawet ukarze mnie, ale on nic nie mówił. Stał tylko nade mną, a w jego oczach malowało się więcej smutku i zatroskania niż złości.

Podniosłem się i nie próbując nawet tłumaczyć się czy przeproszać za złamanie zakazu i przestąpienie progu gabinetu, po prostu zapytałem:

– Co znaczą owe słowa wypisane u dołu mapy, ojcze?

„I UJRZAŁEM KSIĘGĘ ZAPIECZĘTOWANĄ SIEDMIOMA PIECZĘCIAMI.”

To po łacinie, a jest to urywek jednego z wersów Apokalipsy św. Jana Apostoła, na Wschodzie zwanego Janem Teologiem, bądź Janem Ewangelistą.

– Ale dlaczego – pytałem dalej zaintrygowany – autor owej mapy umieścił je na niej i co chciał przez to powiedzieć?

– Któż to może zgadnąć?

Usiłowałem jeszcze go pytać, dowiedzieć się czegoś więcej o samej mapie, skąd ona, jak trafiła do naszego domu, ile lat może liczyć, jaki ład przedstawia, lecz nie uczyniłem tego, bo ojciec, jakby przeczuwając to wszystko, surowo spojrzął na mnie i rzekł:

– A teraz wyjdź i nigdy więcej nie wchodź do tego pokoju bez mojej zgody. Zawstydzony opuściłem głowę i chyłkiem wymknąłem się przez wpół uchylone drzwi.

\* \* \*

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Szeroko otwartymi oczyma, wpatrzony w ciemność, zastanawiałem się nad znaczeniem dziwnych łacińskich słów. Zapładniały one moją wyobraźnię, w której jawiła się ogromna księga po siedmiokroć zapieczętowana, a zawierająca jakąś tajemnicę, poznanie której mogłoby chyba zmienić cały bieg mojego życia, nie zapowiadającego się nazbyt ciekawie, ba! wręcz prozaicznie nawet.

Począłem marzyć. Jakieś słodkie rojenia to przyływały, to odpływały ode mnie, aż wreszcie ogarnęło mnie znużenie, powieki zaciążyły i opadły, a ja sam jąłem pograżać się w czarną czeluść niepamięci. I wtedy – znajdując się na granicy jawy i snu – całkiem wyraźnie posłyszałem syczący szept:

– Złam pieczęcie... Jedną po drugiej... Jedną po drugiej...

Gwałtownie usiadłem na pościeli. Ogromny srebrzystobiały księżyc zaglądał do mojej sypialni przez okno. Jego poświata sprawiała, iż było całkiem widno. Rozejrzałem się bacznie dookoła, wypatrując postaci, która przed chwilą wyrzekła była do mnie te słowa, ale nie ujrzałem nikogo.

Próbowałem poderwać się na nogi, lecz nie byłem w stanie. Jakiś niezmierny ciężar przygniótł mnie do pościeli. W głowie poczęło się mącić, obraz sprzętów oświetlonych księżycową poświatą tracił ostrość, rozmywał się, nikał.

Nie potrafiąc przełamać własnej słabości, z jękiem wcisnąłem głowę w poduszkę i wówczas doznałem przedziwnego uczucia, którego jeszcze nigdy przedtem nie doświadczyłem – zdało mi się, iż zawisłem w próżni, że ciało utraciło ciężar, że prócz mojej jaźni nie istnieje nic realnego.

Oprócz mojej własnej jaźni i... czegoś co usiłowało w nią wniknąć. Bronilem się, odpychałem owo coś, co chciało wypełznąć do mojego umysłu, ale owo coś

było silne, bardzo silne i po chwili zmagają zawładnęło całym moim jestestwem.

Nie czyniło krzywdy, lecz sprawiało tylko, iż w moim umyśle jawiły się i znikwały obrazy.

Przedziwne obrazy. Obrazy pochodzące ze świata innego niż ten, w którym żyłem.

Oto skalista stroma ściana, pionowym obrywem zagroziła mi drogę. Po obydwu stronach wąskiej ścieżki, zwarty gąszcz tropikalnego lasu nie pozwalały skrócić ni w prawo, ni w lewo.

Lecz oto naraz, natężywszy wzrok, dostrzegłem stopień i uchwyty dla rąk, wykute w czerwonym piaskowcu skalistego zbocza, wiodące ku szczytom wzgórza wychylającego się ponad morze oblewającej go zewsząd dżungli.

I wiedziałem, nie wiem skąd, ale wiedziałem, że ja, tylko ja i nikt inny nie może wdrapać się po tych stopniach. I wiedziałem jeszcze jedno – to mianowicie, że skoro znajdę się na szczycie, osiągnę najistotniejszy dla mnie cel. Tylko... tylko nie miałem pojęcia, jaki jest ów cel. Później obraz zbladł i rozmył się.

Gdy rankiem obudziłem się wypoczęty, a jasne, poźłociste promienie słoneczne przegoniły precz niemile nocne majaki, poczułem się lekki i wolny, tak jakby coś lub ktoś, spełniwszy swoją misję, pozostawił mnie sobie samemu, uwolnił od swojej – co prawda niedostrzegalnej – ale przecież nieustannie wyczuwalnej obecności.

Gabinet ojcowski przestał mnie kusić i nigdy już potajemnie nie zakradłem się do niego.

Mapa zaś, owa wiekowa, dziwaczna mapa, nie rozpała więcej mojej wyobraźni. Ot, stała się jednym z tych starych przedmiotów, które były nieodłącznym atrybutem ojcowskiego gabinetu.

Przedmiotów, które ojciec z lubością gromadził, twierdząc że gdy dorosnę i poznam wartość rzeczy, bez wątplenia zrozumie, iż jego zbiór jest unikalny

i niejedno muzeum chciałoby wejść w jego posiadanie, aby móc się poszczycić tak cennymi eksponatami.

\* \* \*

Upływały dni i tygodnie, i lata. Słońce wschodziło i zachodziło, pąki na drzewach nabrzmiewały sokami, rozwijały się liście, liście żółkły i opadały, śnieg osiadał na poczerńniętych konarach...

Któregoś ranka, gdy ojciec nie przyszedł na śniadanie, tknięty jakimś nieokreślonym przeczuciem, pełen niepokoju poszedłem do jego sypialni. Była pusta.

Pomyślałem, iż może zdrzemnął się w gabinecie, kędy ostatnimi czasy lubił coraz częściej i coraz dłużej przesiadywać, przeglądając stare, pożółkłe papiery.

Zbliżywszy się do drzwi, zapukałem zrazu lekko, a później energiczniej, a nie doczekawszy się żadnej reakcji na stukanie, nacisnąłem klamkę. Ojciec w pół leżał na biurku, z szeroko rozłożonymi rękoma i twarzą ukrytą w papierach. Nie miałem żadnej wątpliwości. Nie żył.

\* \* \*

Po pogrzebie, gdy już wszyscy krewni i znajomi uścisnęli mi dłoń, wyrażając mniej lub bardziej szczerze współczucie, i praktycznie zostałem sam przy grobie ojca, zbliżył się do mnie brat zmarłego, a mój stryj, którego prawie zupełnie nie znałem, bowiem jak daleko sięgałem pamięcią, odwiedził nasz dom nie więcej niż dwa razy. Był to stary, chudy, przygarbiony wiekiem mnich, przyodziany w brązowy franciszkański habit. Stryj nosił zakonne imię ojca Sebastiana.

– Skoro ochłoniesz nieco po tych smutnych przejściach, przyjdź do mnie, mój

synu. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Najlepiej przyjdź pojutrze o świcie do naszego kościoła, gdzie odprawię mszę za spokój duszy twojego ojca, a mego brata.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć na to, skinął mi głową i odszedł wąską alejką pomiędzy grobami, alejką obsadzoną po obu stronach strzelistymi tujami. Po chwili jego sylwetka zamajaczyła w bramie cmentarnej...

\* \* \*

Głęboka czerń nocy zblakła, przemieniając się w szarzyznę ledwie budzącego się poranka. W prostym cynowym lichtarzu dogorywał płomyk, pełgający po skrzyconym, poczerniałym knocie ułamka woskowej świecy.

Ojciec Sebastian klęczał po środku swej celi zakrywając twarz dłońmi i bezdźwięcznie powtarzał w koło słowa Modlitwy Pańskiej. Na pobielonej wapnem ścianie wisiał sporych rozmiarów krucyfiks, na którym rozpięty Chrystus, w męce konania, w pół otwartymi ustami zdawał się być, z trudem niezmiernym a bólem, łapać powietrze w na w pół zgniecione płuca.

Wszakże nie przed owym krucyfiksem klęczał mnich i nie ku Zbawicielowi rozpiętemu na Drzewie płynęły słowa modlitwy. Oto kierował je gdzieś w przestrzeń nieokreśloną, w dal niezmierną, poza ściany celi, poza mury klasztorne, w nieskończoność niebiosów.

W pół przymknięte oczy, przykurczone mięśnie twarzy, wyostrome rysy, pot perlący czoło, zdawały się świadczyć, iż pragnie ażeby słowa, jego słowa, dotarły tam, dokąd zapragnął, ażeby dotarły przed tron Przedwiecznego.

Skądś, z dala, dobiegło pianie koguta. Raz. Drugi. Trzeci.

Ojciec Sebastian, jakby raptem obudzony z głębokiego snu, podźwignął się na nogi, otrzepał pył z kolan i wyszedł z celi. Znalazłszy się już na korytarzu, włożył



wielki klucz do zamka, przekręcił go po dwakroć i pocisnąwszy klamkę sprawdził, czy drzwi na pewno zostały zamknięte. Dopiero wówczas, wyraźnie uspokojony, wolnym krokiem wyszedł z budynku klasztornego.

Na dworze owionął go chłód budzącego się poranka, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Przykulił się, pochylił i przyspieszając kroku, udał do kościoła św. Piotra, który czarniawą bryłą rysował się na tle ledwie co rozświetlonego brzaskiem nieboskłonu. Chociaż do kościoła mógł wejść wprost z klasztoru, udał się dalszą drogą, by przy okazji nasycić płuca rzeńskim porannym powietrzem.

We wnętrzu świątyni był już zakrystian – żwawy staruszek o rumianej, wiecznie uśmiechniętej twarzy. Krzątał się, zapalając świece na ołtarzu św. Michała.

– Pax Christi! – ozwał się staruszek na widok wchodzącego.

Ojciec Sebastian bez słowa skinął mu głową i również bez słowa podążył do zachrystii.

Nakładał humerał, albę, stułę, przepasywał się cingulum, na koniec przywdział czarny ornat.

Starzec przez cały czas pomagał mu przyoblekać szaty liturgiczne. Wreszcie zakonnik wzięwszy kielich mszalny okryty welonem, skierował się ku ołtarzowi. Głęboko pochylony mówił półgłosem:

– Introibo ad altare Dei.

Zakrystian zaś, ministrantując, odpowiadał:

– Ad Deum qui letificat iuventutem meam...

Gdy innych ojców jął budzić srebrzysty dźwięk sygnaturki, niosący się klasztornymi korytarzami, ojciec Sebastian dawno już zakończył sprawowanie Świętej Liturgii.

\* \* \*

Całą prawie mszę przeklęczałem w starej, rzezanej w jakieś fantazyjne zawijasy, dębowej ławce. Gdy stryj wreszcie skłoniwszy się głęboko przed ołtarzem odchodził do zakrystii, podniosłem się z klęczek i podążyłem za nim.

Rozbierał się z szat liturgicznych powoli, układając je starannie na nadgryzionym zębem czasu i poznaczonym przez korniki blacie wielkiej komody. Ujrzawszy mnie wchodzącego, na moment odwrócił głowę i spojrzawszy kątem oka, mruknął:

– A więc jesteś. To dobrze.

Później zaś, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, ukląkł przed krucyfiksem, poniżej którego wisiały jakieś łacińskie modlitwy, oprawne w prostą sosnową ramkę, które najwidoczniej każdy kapłan obowiązany był odmawiać po odprawieniu mszy.

W migotliwym blasku pojedynczej świecy bacznie wpatrywał się w tekst, bezgłośnie poruszając wargami. Trwało to dość długo. W końcu jednak podźwignął się z klęczek i przeżegnawszy zamasyście, rzekł:

– A teraz pójdz za mną. Czasu mam niezbyt wiele, a do powiedzenia dużo.

Weszliśmy w wąski i ciemny korytarzyk, do którego wiodły niziutkie drzwi z wymalowanym na nich wizerunkiem świętego Franciszka Serafickiego, w momencie otrzymania przezeń stygmatów Męki Pańskiej. Drzwiczki osadzone były w solidnej, prostej kamiennej framudze.

Szedłem prawie po omacku, bowiem korytarzyk ów prawie zupełnie nie był oświetlony.

Łączył się on z prostokątną salą, z której liczne drzwi, widniejące na wszystkich ścianach, zaprowadzić pewnie mogłyby do każdego z zakamarków klasztoru. My jednak nie weszliśmy w żadne, lecz zbliżyliśmy się do krętych kamiennych schodków otoczonych żelazną balustradą, a wiodących gdzieś w dół. Chyba ku

pomieszczeniom piwnicznym.

Stryj wy dobył z zanadrua ułomek woskowej świecy i zapalił go od niemiłosiernie kopczącej lampki, napełnionej cuchnącym olejem, a przytwierdzonej do wysokiej, prostej kamiennej kolumny, podtrzymującej środek stropu sali, w której się znaleźliśmy.

Później, uniósłszy dłoń z ogarkiem ku górze, aby oświetlić nam drogę, jął zstępować owymi schodkami, które były nadzwyczaj ciasne i kręte, toteż szło się nimi nader niewygodnie.

Mniemałem, iż znajdziemy się w piwnicach, ale się omyliłem. Trafiliśmy bowiem tylko do sutereny, której niewielkie okienka wychodziły na otoczony krążgankami dziedziniec, pośrodku którego widać było – już dość wyraźnie, ponieważ niebo mocno się rozjaśniło, zwiastując rychłe nadejście dnia – zarys studni, z której, na potrzeby kuchni, mnisi czerpali wodę.

Stryj pociągnął mnie za rękaw:

– Nie gap się w okno, lecz pośpiesz raczej!

Znów wędrowaliśmy jakowymś wąskim i niskim – przypominającym tunel – korytarzykiem, aż wreszcie, na jego końcu, znaleźliśmy solidne drzwi dębowe, zaopatrzone w niemniej solidny zamek.

Stryj ująwszy zwisający mu przy pasku klucz, otworzył podwoje swojej celi. Tak, pomieszczenie, do którego mnie przyprowadził, było bez wątpienia jego celą.

Przestąpiwszy próg rozejrzałem się ciekawie dookoła. Prosta prycza pod jedną ze ścian.

Sosnowy taboret obok sosnowego stołu ze stojącym na jego środku cynowym lichtarzem, szeroka, krótka ława, a na niej gliniana misa i dzban napełniony wodą. I wreszcie równie prosty drewniany klęcznik tak zużyty, że aż w miejscach, których zapewne dotykały całe pokolenia mnichów, poczyniły się wgłębienia. Nad klęcznikiem wisiał sporych rozmiarów krucyfiks z nadzwyczaj realistycznie

wyobrażaną postacią Ukrzyżowanego.

Stryj usiadł na pryczy, jednocześnie wskazując mi dłonią miejsce obok siebie.

– Wysłuchaj mnie uważnie, Hansie, bo rzeczy o których chcę ci teraz opowiedzieć, są niezwyklej wagi... Jak zapewne wiesz, ród nasz, z którego już tylko my dwaj pozostaliśmy, wielce jest starożytny i wielce szlachetny, chociaż może ani sławą, ani majątkością innym rodom niemieckim nie dorównuje.

Śród naszych przodków wielu było takich, których życiorysy można by nazwać interesującymi, lecz jeden z antenatów, porzuciwszy rodzinne strony i udawszy się na służbę do króla polskiego, noszącego imię Zygmunta III, a wywodzącego się z rodu Wazów szwedzkich, nie tylko ogromnego majątku się dorobił, ale i najwyższych dostojęństw w Polsce dostąpił.

– O kimże to mówisz, stryju? – zapytałem zaciekawiony tym dość intrygującym wstępem.

– Był to Teofil Semberk z Reichenbachu rodem.

– Ojciec mi nigdy o nim nie wspominał. Dlaczego?

– Pewnie gdyby Stwórca pozwolił mu żyć trochę dłużej, opowiedziałby ci o naszym dalekim przodku Teofilu. Ponieważ jednak musiał odejść do wieczności, akurat w momencie, kiedy dojrzałeś na tyle, iż mógł ci bez obaw powierzyć rodową tajemnicę, a nie zdążył uczynić tego, obowiązek zaznajomienia cię z nią, mnie przypadł w udziale. Chociaż... Jeśli mam być szczery, wolałbym tego nie czynić...

– Czemu?! – przerwałem stryjowi.

Stary mnich popatrzył na mnie uważnie i odparł:

– Bo owa tajemnica to brzemień ciężkie i nie wiem, czy będzie ci łatwo je dźwigać, o ile dźwigać je zechcesz... Ale wróćmy do początku. Otóż tenże Teofil Semberk tak się w Polsce zasłużył, że król Zygmunt w nagrodę obdarował go indygenatem, czyli polskie szlachectwo mu nadał. Mało tego, uczynił go generałem

swojej artylerii, podarował mu majątek Krzykosy – inna wersja głosi, iż się w ów majątek wzenił, wszakże czy tak, czy owak było, paskudna to nazwa, prawie dla mnie nie do wymówienia. A na koniec monarcha powierzył mu godność kasztelana krzemienieckiego.

Nietrudno się chyba domyślić, że ów Teofil – jako wojenny mąż – nie w jednym miejscu siedział.

Liczne wówczas Polska prowadziła wojny, a on w nich uczestniczył, więc szmat kraju zjeździł.

Miał kasztelan Teofil szczególne nabożeństwo do Męczenników Sandomierskich, błogosławionych mnichów dominikańskich, których – w starożytnym kościele św. Jakuba Apostoła, do dziś zresztą w Sandomierzu istniejącym – w roku 1260 okrutnie Tatarzy pomordowali. Dorobiwszy się więc ogromnego majątku postanowił, iż wybuduje kaplicę ku ich czci, przy tymże właśnie kościele, a w jej podziemiach, w krypcie murowanej, znajdzie po śmierci on, a później jego potomkowie, odpoczynek wiekuisty.

Starzec przerwał na chwilę, jakby raptem zgubił wątek, a może tylko dla odpoczynku, a później ciągnął na nowo:

– Jak zamyślił, tak też i uczynił. Około roku 1600 kaplicę – bardzo piękną zresztą, w stylu włoskiego renesansu – tak jak Teofil chciał, wzniesiono. Po śmierci, razem z żoną, w podziemnej krypcie go pochowano. Które z nich zmarło wcześniej, dziś już nie wiadomo, ale nie jest to dla nas ważne, ani zbytnio interesujące. I właściwie tyle o Teofilu rzec by można było.

Dodam tylko jeszcze, że spolszczył się zupełnie. Ożeniony z Polką, pozostawił spadkobiercę nazwiska i majątku, któremu było na imię Jacek. Ów żył, jak większość polskich szlachciców wówczas żyła i niczym szczególnym się nie wyróżniał. Pojął za żonę niejaką Katarzynę Jakubowską, która – jak zdaje się na to wskazywać data wypisana obok jej herbu na jednej ze ścian kaplicy Męczenników

Sandomierskich – zgasła w roku 1642...

– To byłeś, stryju, w Sandomierzu? Po cóż?

– Ciekawość mnie brała skąd ród swój wiodę, a i pomodlić się na grobach przodków chciałem, przy okazji pielgrzymkę do Błogosławionych Męczenników odbywając. Ale mi nie przerywaj...

– Kiedy umarł Jacek – nie wiadomo. Nie ocalały na ten temat żadne wzmianki. Ponadto, mniemać by można, iż na nim spolszczony ród Semberków z Reichenbachu wygasł. Ale tak się nie stało. My dwaj bowiem w prostej linii wywodzimy się od syna Jacka, a wnuka Teofila, noszącego imię Stanisław, który po nader barwnym i ciekawym życiu, chociaż prócz nazwiska z ojczyzną przodków nic go już nie łączyło, nie wiedzieć czemu, w wielkim popłochu, na kilka lat przed śmiercią, uciekł z Polski i zamieszkał w Niemczech. Tu, mimo iż był już starcem, ożenił się z młodą i ładną dziewczyną, jakąś ubogą szlachcianeczką, która pewnie złakomiła się na pieniądze starucha, a która zdążyła go jeszcze uszczęśliwić synem Wolfgangiem.

– Gdy Stanisław umarł, wdowa prócz pieniędzy, odziedziczyła po nim również rozliczne dokumenty – niektóre pisane po łacinie, niektóre zaś po polsku, oraz pewną mapę, kunsztownie na wielkiej pergaminowej karcie wyrysowaną...

– Ach! – krzyknąłem, skojarzywszy słowa starego mnicha z mapą, która tak mnie wcześniej fascynowała, a która wisiała na jednej ze ścian ojcowskiego gabinetu.

Stryj, spojrzawszy na mnie spod oka, ozwał się na to:

– Pewnie pomyślałeś o mapie, którą znasz, bo miałeś możliwość widywać ją w waszym domu?

– Tak, stryju.

– I masz rację. To ta sama mapa. Wróćmy jednak do wątku przerwanej opowieści... Stanisław Semberk rychło osierocił swego syna Wolfganga, który

może dlatego, iż wychowywany bez ojca, a może z powodu odziedziczenia pewnego sentymentalizmu i skłonności do mistycyzmu po swych polskich antenatach (bo jak wiemy, są to dla Polaków cechy raczej typowe), od kiedy przyszedł do używania rozumu, jął zajmować się sprawami, które bardziej by mnichowieremiecie przystawały, niż młodzieńcowi szlchetnego rodu i dziedzicowi nie najlichszej fortuny.

O której nota bene krążyły różne legendy: już to mówiące, iż Stanisław przywiózł z Polski skarby w dowód łaski przez króla przodkom jego dane, już to, iż sam je zdobył podczas dość tajemniczej wyprawy, jaką był odbył do Turcji.

– Tak czy owak, Wolfgang miał korzystać ze złota, bawić się i używać życia, w miarę jak przybywało mu lat, stawał się coraz większym odludkiem i zaszywszy się w domowym zaciszu, bezustannie wertował jakieś księgi, a największą uwagę poświęcał dokumentom pozostałym po ojcu, szczególnie tym, które spisane były po polsku. Aby poznać ich treść, bynajmniej nie wynajął tłumaczy, lecz sam nauczył się polskiego...

Starzec przerwał i w zamyśleniu wpatrzył się w posadzkę, ułożoną z czworobocznych szarych płyt piaskowcowych, której – podobnie jak całego klasztoru – nie oszczędził zęb czasu. Milczał dość długo zanim na nowo podjął wątek.

– Wolfgang nie przejawiał żadnego zainteresowania kobietami i pewnie przepędziłby życie w bezzennym stanie, gdyby nie nalegania matki. Po wielu namowach i nieustannym molestowaniu, wymogła na młodzieńcu, że – chyba raczej dla świętego spokoju, nie zaś z przekonania – wreszcie pojął żonę. Ale nie dał jej szczęścia. Po ślubie natychmiast wrócił do swoich dawnych upodobań i zajęć. Ożywiła go na krótko wiadomość, iż został ojcem i ma syna, ale poza tym, iż na cześć dziada kazał ochrzcić go imieniem Stanisław, dzieckiem się nie interesował zupełnie.

Za to coraz bardziej dziwaczał. A może raczej, może będzie to trafniejszym określeniem, jał podlegać jakowejś dziwnej przemianie. Stał się jeszcze bardziej skryty i milczący, i w miarę upływu czasu począł robić wrażenie człowieka, który czegoś się lęka i żyjąc w ustawicznym napięciu, zdaje się oczekiwać najgorszego.

Schudł, poczerniał. Jego rozbiegane oczy strzelały to na prawo, to na lewo, jakby wypatrując kogoś lub czegoś, co może chcieć mu zagrozić. Zdarzyło się, iż na całe dnie i noce zamykał się w swoim pokoju, otoczony księgami i rękopisami, nie przyjmując żadnych pokarmów, tylko od czasu do czasu domagając się to świec, to wody.

Matka i żona doszły zgodnie do wniosku, iż Wolfgang jest obłąkany, ale niestety żadna z nich nie umiała mu pomóc. Modląc się tedy, czekały tylko, pełne obaw, na jakiś dziki wybryk lub atak szału syna jednej, a męża drugiej.

Tymczasem stało się coś, czego żadna z kobiet się nie spodziewała. Oto któregoś wieczora Wolfgang polecił służącemu, aby ów przyprowadził do jego pokoju żonę, a gdy ta – głowiąc się, co by owo wezwanie miało oznaczać – natychmiast posłusznie przybyła, powiedział jej, że oto wreszcie, po wielu trudach, kosztem ogromnego wysiłku i stracie wielu lat, rozwikłał zagadkę swego ojca Stanisława i wie już czemu ten, na stare lata, porzucił rodzinne pielesze, i w popłochu uciekłszy z Polski, osiadł w Niemczech.

Wszystko to, co odkrył, opisał – po polsku – aby niepowołani ludzie nie mogli przeniknąć tajemnicy ich rodu i powierza owe zapiski jej właśnie, z prośbą – by zadbałszy wpierw o to, żeby ich syn nauczył się polskiego – przekazała mu je gdy dorośnie.

Gdy kobieta wzbraniała się przed przyjęciem wręczanego jej manuskryptu, mówiąc iż da go sam ich synowi za lat parę, Wolfgang tylko pokręcił głową i uśmiechnąwszy się smutno, odrzekł, iż jego życie dobiega kresu. Ona zaś – małżonka – ma zadbać, aby syn uczynił odpowiedni pożytek z wiedzy przekazanej



mu w tym dokumencie przez ojca. Tajemnica, którą dokument zawiera była tak ważna, że nie chciał umierać nie upewniwszy się, iż rozpoczęte przezeń dzieło zostanie w przyszłości ukończone.

Nie chciał jednakże powiedzieć swojej żonie czegoś więcej na ów temat. Wspomnił tylko, iż dla człowieka bez skrupułów przeniknięcie tajemnicy byłoby nieocenionym skarbem i kluczem do dobrobytu, że kiedyś wydarzyły się rzeczy straszne i obrzydliwe zarazem w swej ohydzie, że grzech przodka musi być odkupiony, inaczej – wcześniej czy później – w tym, czy też w innym pokoleniu, może wydarzyć się coś, co wprawi świat w przerażenie i zdumienie zarazem, a ktoś z ich rodu będzie musiał spłacić zaciągnięty przez Stanisława rodzaj długu w taki sposób, w jaki żadna ludzka istota nie chciałaby go spłacać. Choćby był potomkiem i w siódmym nawet pokoleniu...

Dodał jeszcze, iż prócz manuskryptu, który wyszedł spod jego pióra i mapy tajemniczej wyspy – niezbędnych pospołu do zrozumienia pewnych rzeczy – w przypadku gdyby one zaginęły, wskazówek dotyczących rozwikłania rodzinnej tajemnicy, można ponoć poszukać w krypcie grobowej Semberków pod kaplicą Błogosławionych Męczenników w Sandomierzu.

Wolfgang nie powiedział już ani jednego słowa więcej i chociaż zaintrygowana małżonka usiłowała wydobyć odeń coś jeszcze, nie otworzywszy ust, odprawił ją skinieniem ręki.

Mnich znowu zamilkł. Długie opowiadanie wyraźnie go męczyło. Po chwili jednak, westchnąwszy ciężko, kontynuował swą opowieść.

– Rankiem następnego dnia przerażona służba doniosła, że pan Wolfgang nie żyje. Gdy żona i matka czym prędzej pobiegły do jego pokoju, ujrzały widok niezwykle i przerażający zarazem.

Oto trup stał, wciśnięty pomiędzy bok wielkiej dębowej szafy, całej wypełnionej księgami, a wystający marmurowy gzyms kominka, w pobliżu którego

ustawiony był ów mebel. Wszakże nawet nie sama – nader niezwykła pozycja, w której znajdował się nieboszczyk – wprawiała obydwie kobiety w popłoch, lecz wyraz jego twarzy.

Wykrzywiona była w tak potwornym grymasie, że na pierwszy rzut oka trudno było ją rozpoznać. Usta w pół otwarte, jakby w zagasłym niemym krzyku. Szeroko rozwarte oczy nieruchomo wpatrzone w jeden punkt – w dziwną mapę rozwieszoną na przeciwległej ścianie. Włosy rozsypane w nieładzie. Jedna ręka zacisnięta całą mocą na krawędzi szafy, druga zaś w obronnym geście, ze szponiasto rozwartymi palcami, wyciągnięta do przodu, tak jakby umarły usiłował powstrzymać kogoś lub coś, co przyszło do niego.

Gdy służba z wielkim trudem wyszarpnęła zwłoki z ciasnego kąta, medyk zawezwany przez ogarnięte grozą kobiety, dokonawszy szczegółowych oględzin trupa orzekł, iż nie może tu zachodzić przypadek zabójstwa. Pan Wolfgang nie umarł też na żadną ze znanych medycynie chorób, a jedynym racjonalnym wyjaśnieniem zgonu może być wyłącznie strach, strach tak potężny, że aż zdławił serce, którego bicie ustało.

Co zaś strach ów mogło spowodować, Bóg jeden tylko wie i umarły, ale przecież ani od jednego, ani też od drugiego niczego dowiedzieć się nie można. On, medyk, nie czuje się uprawniony do snucia spekulacji i odradza czynić to innym. Cokolwiek jednak ujrzał pan Wolfgang, musiało to być zaiste przerażające, skoro przyprawiło o zgon mężczyznę w sile wieku i zupełnie zdrowego.

Wdowa pomna próśb i poleceń męża, jakie ten był jej wydał owego wieczoru, skon swój poprzedzającego, wyuczyła syna ich, Stanisława, po polsku i gdy dorósł przekazała mu manuskrypt ojcowy i wszystko, co wiedziała o przodkach nieboszczyka męża.

Próżno jednak młodzieniec usiłował pojąć to, co było zawarte w zapiskach ojca, próżno godzinami całymi wpatrywał się w mapę. Ni z jednego, ni z drugiego

dokumentu, niczego zgoła wyrozumieć nie mógł. Manuskrypt zawierał dziwaczne jakieś opisy, rojenia chorego umysłu przypominające, dla rozumu trzeźwego i racjonalnego bezsensowne zgoła.

Przypuszczał Stanisław, iż nie jest to bynajmniej samo rozwikłanie tajemnicy jego dziada, którego imię nosił, ale raczej klucz do niej, a może fragment klucza, bo przecież ojciec przed zgonem wspominał także i o ważności mapy.

Mimo licznych prób, z samozaparciem i uporem podejmowanych, nie udało się Stanisławowi rozwikłać zagadki. Mniemał, że pomocne by mu były zapiski i dokumenty dziadka, ale tych po dokładnym przeszukaniu całego domu nie odnalazł. Wyrozumiał z tego, że pewnie to jego ojciec je zniszczył, z sobie tylko wiadomych względów...

Wreszcie dał spokój całej sprawie, poświęcając się odtąd zajęciom przyziemnym zgoła i nic z tajemniczością nie mających wspólnego. I od tego czasu nikt z naszego rodu nigdy już do zagadkowych kwestii nie powracał. Ot, tak mapę, jak i manuskrypt przekazywano tylko z pokolenia na pokolenie, razem z opowieścią zawierającą ich dzieje.

Przez dwa stulecia, czyli poprzez sześć pokoleń – bowiem zwykło się przyjmować trzy pokolenia na stulecie – mapę i manuskrypt traktowano jedynie jako pamiątkę rodzinną i nic ponadto. Dopiero twój ojciec, a mój brat – Panie świeć nad jego duszą! – dostawszy dokument w swoje ręce, z ciekawości chyba i z nudów, zabrał się do zbadania zapisków naszego naddziada.

I rzecz szczególna, im dłużej się nimi zajmował, tym większej zmianie ulegał jego charakter i zachowanie. Z lekkoducha – niech mi daruje, że tak o nim mówię, ale przecie nie było inaczej! – przeistoczył się, w przeciągu kilkunastu miesięcy zaledwie, w człowieka poważnego i zamkniętego w sobie. Ba! Aby móc lepiej wszystko wyrozumieć, nie dowierzając widać tłumaczom, wyuczył się polskiego i tegoż języka kazał również uczyć i ciebie, gdy dzieckiem jeszcze byłeś, jakby

przeczuwając, iż sam nie ukończy rozpoczętego dzieła.

Nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów, chociaż obaj w tym samym mieście mieszkaliśmy.

Lecz nie z mojej winy tak było, tylko twego ojca, który nawet i własnego brata niechętnie widywał.

Aż oto – będzie ze trzy niedziele temu – przybył do klasztoru w wielkim popłochu i wręczając mi manuskrypt, poprosił abym go gdzieś dobrze ukrył. Nie chciał niczego szczegółowiej wyjaśniać. Dodał tylko, iż rozwikłał zagadkę przeszłości, że nasz ród ma jakiś dług do spłacenia i że gdyby jemu coś się stało, mam przekazać papiery tobie, z prośbą byś się nimi zajął. Do starych niezrozumiałych dokumentów dołączył też swoje wyjaśnienia w osobnej kopercie, zapieczętowanej lakową pieczęcią, z wyciśniętym na niej herbem naszego rodu, zaklinając mnie bym jej nie otwierał inaczej, jak tylko w twojej obecności Hansie i abyśmy obydwaj – przeczytawszy dokument, który tam umieścił, zajęli się sprawą niezwłocznie i gorliwie. Dlaczego zająć się musimy, nie chciał mówić, bo gdyby nie okazało się konieczne wtajemniczenie osób trzecich, sam doprowadzi rzecz do końca. My zaś mamy zająć się nią jedynie wówczas, gdyby go Pan Bóg powołał z tego świata do siebie.

Przeczuwał widać biedak swój rychły zgon i najwyraźniej się czegoś lękał. I przecucie go – jak widać – nie myliło. Nie żyje. A ponieważ on nie żyje, poprosiłem cię do siebie, byśmy – jak sobie życzył – zapoznali się z poruczonymi mej pieczy dokumentami.

– Mam je tutaj ukryte w celi i zaraz zajrzemy do nich.

Ojciec Sebastian podźwignął się z pryczy, lecz nie zdążył uczynić ani jednego kroku jeszcze, gdy naraz naszych uszu dobiegło dość ostre, natarczywe nawet, kołatanie do drzwi.

– Proszę! Proszę!... – ozwał się starzec.

Na te słowa drzwi się rozwarły, a na progu stanął młody mnich.

– Ojcie Sebastianie – powiedział. – Gwardian was wzywa. Macie natychmiast udać się ze mną. Sprawa jakaś ważna.

Starzec ze zdziwieniem spojrział na mówiącego:

– Przecież ojciec gwardian zwolnił mnie na dzisiejsze przedpołudnie z wszelkich obowiązków...

– Mnie nic nie wiadomo – młody mnich wzruszył ramionami.

– Zaczekaj tutaj Hansie – rzekł starzec odwracając się w drzwiach. – Postaram się jak najrychlej wrócić.

– Dobrze stryju, poczekam. – odparłem.

Gdy wyszli, bacznie rozejrzałem się po celi. Pomny słów stryja, mówiących, iż gdzieś w tym pomieszczeniu schował poruczone jego pieczy dokumenty, ciekaw byłem czy uda mi się odgadnąć miejsce ich ukrycia.

Próżno jednak zaglądałem we wszystkie zakamarki, próżno dokładnie zlustrowałem pryczę mniszą, nie szczędząc nawet siennika wypchanego niezbyt świeżą już słomą. Próżno oglądałem, a później opukiwałem ściany, mniemając, iż to któraś z nich kryć może jakowąś tajemną skrytkę.

Lecz wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne. Mimo jednak, że nie udało mi się zaspokoić swojej ciekawości, ucieszyłem się, iż papiery bez wątpienia są bezpieczne, bo skoro ja, który wiedziałem, że należy ich szukać nie gdzie indziej, tylko w tym właśnie pomieszczeniu, a nie udało mi się nawet natrafić na ich ślad i byłem wobec schowka stryjowego bezsilny, to co dopiero mówić o osobie trzeciej, nie mającej tej wiedzy co moja.

Upiwszy łyk zimnej wody z dzbana, bo naraz poczułem pragnienie, usiadłem na powrót na pryczy i jałem rozmyślać nad tym wszystkim, co mi stryj opowiedział. Czuję wielki zamęt w głowie i nie bardzo wiedziałem czy tak z całym przekonaniem mogę wierzyć w tę bez wątpienia starą i barwną legendę rodzinną,

czy też może raczej powinienem zachować do niej duży dystans.

Ale w tym momencie przypomniały mi się nieoczekiwanie własne dziwne doświadczenia i przeżycia sprzed lat, które bez wątpienia powiązać mogłem z mapą i z niczym innym.

Z korytarza doleciał mnie odgłos ludzkich kroków. Ktoś stąpał z pewnym wysiłkiem, lekko powłócząc nogami. Po chwili drzwi celi uchylły się z przeraźliwym skrzypieniem dawno nie oliwionych zawiasów i w progu miast stryja, ujrzałem postać nieznanego sobie mnicha.

Z postury sprawiał wrażenie sędziwego i słabego. Stał niepewnie, barkiem opierając się o kamienną framugę odrzwi. Twarzy przybysza nie mogłem dojrzeć, bowiem skrywał ją obszerny, naciągnięty aż na oczy kaptur. Przybyły skinął na mnie kościstą dłonią, a gdy się przybliżyłem, odwrócił się nieco bokiem, jakby obawiając się, żebym przypadkiem nie dostrzegł jego rysów (takie przynajmniej odniosłem wrażenie) i powiedział:

– Ojciec Sebastian, twój stryj młodzieńcze, prosił mnie, abym przekazał, iżbyś już więcej nie czekał na niego. Nieprzewidziane zajęcie zatrzymało go na dłużej i dzisiejszego dnia, żadną miarą nie będzie ci mógł poświęcić ani jednej chwili. Powiedział jeszcze, że kiedy indziej zdążycie jeszcze się nagadać.

Głos mnicha był jakiś dziwny, zbliżający się do granicy szeptu i jednocześnie syczący...

Przypominał mi coś... Z pokładów niepamięci wydobywał odległe wspomnienie... Już gdzieś... już kiedyś ów głos słyszałem... Ale gdzie?... Kiedy?...

Głos mnicha czynił na mnie niemiłe wrażenie, nie wiedzieć czemu – bowiem przekazywana przezeń treść nie mogła stanowić żadnego wytłumaczenia – wzbudzał we mnie dreszcz niepokoju... Nie, nie strachu, a niepokoju właśnie.

Ale nie miałem możliwości dłużej się nad tym zastanawiać, bo zakapturzona postać ponownie skinąwszy na mnie kościstą dłonią ruszyła przodem, wyrzekłszy

jedno tylko zdanie jeszcze:

– Pójdź za mną, a wyprowadzę cię z klasztoru.

Nie pozostało mi nic innego, jak zastosować się do polecenia. Toteż posłusznie ruszyłem za przewodnikiem.

Teraz dowodnie przekonałem się o tym, iż był on rzeczywiście człowiekiem bardzo słabym.

Co kilkanaście kroków przystawał, aby odpocząć. Idąc potykał się i starał trzymać blisko ściany, o którą co jakiś czas opierał się dłonią.

Jednak mimo poważnych trudności, jakie sprawiało mu chodzenie, czynił wrażenie osoby, której się bardzo śpieszy. Wyraźnie widać było, iż pragnie abym jak najrychlej opuścił mury klasztoru.

Dlatego wiódł mnie nie zwykłą drogą, ale używając skrótów. Wyszedszy z budynku przecięliśmy na ukos zadbany ogród warzywny zewsząd otoczony dość wysokim murem, częściowo zbudowanym z cegły, a częściowo z polnego kamienia. W murze tym, prawie ukryta pod płataniną łoż dzikiego wina, widniała niewielka żelazna furtka.

Gdy zbliżyliśmy się do niej, mój przewodnik z połów habitu wyłuskał mocno pordzewiały klucz i włożywszy go w zamek, z wielkim trudem przekręcił. Rygiel puścił ze zgrzytem, a po chwili rozwarły się i drzwiczki, z których płatami posypała się rdza. Wyszedłem na ulicę. Była to boczna ulica, wciśnięta pomiędzy mur klasztorного ogrodu i park. Zdaje się, iż nie uczęszczało nią zbyt wiele osób, bo szpary pomiędzy kamiennymi płytami chodnika zarośnięte były trawą.

Gdy posłyszałem głuchy łośkot zatrzasnącej się furtki, ruszyłem wolno przed siebie, kierując się w stronę drogi mogącej zaprowadzić mnie do domu.

Byłem trochę zły i zawiedziony, iż nie zaspokoilem do końca rozbudzonej przez stryja ciekawości. Toteż obiecałem sobie, iż następnego dnia, skoro tylko się obudzę, natychmiast postaram się z nim spotkać.

\* \* \*

Ojciec Sebastian wracał od gwardiana, który bynajmniej go nie wezwał, z lekka poirytowany.

„– A to smarkacz – myślał o młodym mnichu, który wywabił go fałszywą wiadomością – głupie żarty mu w głowie!”

Pocisnął klamkę i otworzył drzwi swojej celi. Była pusta. Bratanek zniknął. Jego nieobecność dodatkowo wzmogła niezadowolenie zakonnika.

– Nawet tych kilkunastu minut zaczekać mu się nie chciało. A wyglądało przecież, iż moja opowieść zaintrygowała go mocno – mruczał sam do siebie.

Dzień upłynął ojcu Sebastianowi podobnie jak wszystkie inne zwyczajne dni jego długiego klasztorного żywota. Skoro słońce jęło chylić się ku zachodowi, z dworu dobiegł jazgot wróbli, których rozćwierkane stadko obsiadło gęsto gałęzie krzaka bzu rosnącego w pobliżu studni.

Później powietrze jęło szarzeć, aż nareszcie mrok okrył szczelnie całą ziemię. Gdy na koniec, po dopełnieniu wszelkich przepisanych regułą obowiązków i skromnej wieczerzy, ojciec Sebastian mógł udać się na spoczynek, za oknem była już ciemna noc.

Leżał na niewygodnym pościeliu, a sen jakoś nie nadchodził.

„– Przydałoby się zmienić słomę w sienniku, ta się już ugniotła i stare gnaty bolą, gdy uwierają je deski” – myślał.

Wokół panowała niczym nie zmaćona cisza. Mnich, czując iż dający wytchnienie sen nie prędko tej nocy go nawiedzi, sięgnął po omacku ręką ku brzegowi stołu. Wziął różaniec i po chwili szeptał zdrowaśki, przesuwając w palcach wyślizgane od długiego używania, wytoczone z twardego drewna paciorki.



Nagle zdało mu się, iż z korytarza doleciał jakiś szmer. Lekki, prawie niesłyszalny... Uniósł się na łokciu i nadstawił ucha. Głowę obrócił bokiem, bo na lewe ucho słyszał lepiej. Nic, cisza.

Ułożył się znów, najwygodniej jak mógł i dalej pracowicie przesuwał paciorki różańca.

Modlił się na leżąco. Mniemał, iż dobry Pan Bóg uwzględni jego podeszły wiek i obolałe kolana.

Znów szmer. Tym razem głośniejszy i wyraźniejszy. Odgłos lekkiego stąpania. Czyjaś ręka poruszyła klamkę. Ojciec Sebastian usiadł na posłaniu.

– Kto tam? – zapytał. – Kto i czego szuka tu po nocy?

Lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Zastanawiał się czy przekręcił aby klucz w zamku przed udaniem się na spoczynek, ale nie musiał tego dłużej czynić, bo drzwi ze skrzypieniem się rozwarły, a w prostokącie wejścia ciemniejszą plamą zamajaczyła ludzka sylwetka..

Wiatr jak raz przegnał precz chmurę, która zakrywała pyzate oblicze księżycy w pełni, a ów zajrzał wprost do okna ojca Sebastiana. Jego srebrzysty blask był tak mocny, iż wszystko stało się doskonale widoczne, a jasno uczyniło się prawie tak jak w dzień.

– Kim jesteś? – ponowił pytanie starzec.

Lecz postać przyodziana w mniszny habit, a zbliżająca się powoli w stronę pryczy, zachowała zupełne milczenie.

Gdy przybysz znalazł się tuż, o dwa kroki może zaledwie od Sebastiana, uniósł ku górze kościstą, chudą dłoń i odrzuciwszy z głowy kaptur, tym samym odsłonił swą twarz.

Ukazała się ona w sinawej poświacie księżycy bardzo wyraźnie. Sebastian spojrzawszy w oblicze przybyłego zmartwiał ogarnięty grozą. Oczy wyszły mu z orbit, strach zacisnął się na gardle i sercu. Poczuł jak włosy podnoszą mu się na

głowie, a usta rozwierają do krzyku. Ale mimo, iż się natężył z całych sił, nie mógł wydobyć głosu. Wyglądało to tak, jakby jakaś potężna siła wpychała mu go z powrotem do krtani.

Stał niczym sparaliżowany, a postać przybyłego coraz bardziej nachylała swoją twarz ku jego twarzy. Po kilku minutach począł rzeźzić, a z piersi wydobyło się ni to łkanie ni to skowyt, przypominające skowyt katowanego psa. A potem ciało starca osunęło się bezwładnie i upadło z głuchym łoskotem na kamienne płyty posadzki.

\* \* \*

Gdy rankiem zakonnicy, zaniepokojeni nieobecnością ojca Sebastiana zarówno w kościele, jak i w refektarzu, udali się do jego celi, zobaczyli widok nie mogący zaliczać się do przyjemnych.

Trup mnicha leżał dziwnie poskręcany pomiędzy pryczą a stołem. Na twarzy zastygł mu wyraz grozy i przerażenia. Szeroko otwarte oczy zdawały się wpatrywać ciągle w owo „coś”, co swym widokiem przyprawiło go o śmierć.

W prawej dłoni umarły trzymał różaniec, przyciskając go – jakby w obronnym geście – do swego serca.

Gdy na koniec do celi przybył i gwardian, ujrawszy ciało ojca Sebastiana, na jego widok, na widok potwornie wykrzywionej twarzy, nie rzekł nic zgoła, tylko raz po raz się żegnając, cofał się ku wyjściu. A gdy już znalazł się na korytarzu, jął szeptać:

– Zlituj się nad jego duszą, Panie. I zlituj się nad nami, bośmy wszyscy grzeszni. Przed szponami szatana nas obroń...

Nikt nie miał najmniejszej choćby wątpliwości, iż ojca Sebastiana zabił strach.

\* \* \*

Po wyjściu z klasztoru cały dzień włóczyłem się po mieście. Zrezygnowałem z pierwotnego zamiaru natychmiastowego powrotu do domu. Bo i do czego miałbym się śpieszyć?

Z chwilą gdy odszedł ojciec, dom nie był już tym samym domem, co przez tyle lat. Zdało mi się, iż raptem stał się dziwnie obcy, chociaż jednocześnie każdy sprzęt, każdy przedmiot, każda rysa na posadzce, wszystko to przywodziło na pamięć wspomnienia minionych chwil, wspomnienia dzieciństwa.

Wędrowałem więc ulicami bez celu i planu. Czas jakiś posiedziałem w cieniu rozłożystego klonu, u którego stóp znajdowała się kamienna ławka.

Raptem poczułem głód, bo od poprzedniego wieczoru, prócz kilku łyków wody z dzbana w celi stryja, niczego więcej nie miałem w ustach. Podźwignąłem się zatem, chociaż niechętnie, bowiem miejsce, odosobnione od tłoku i gwaru ulic, działało na mnie kojąco i powędrowałem w poszukiwaniu jakiejś przyzwoitej restauracji.

Skoro pokrzepiłem się dość smacznym obiadem, do którego wychyliłem kilka kieliszków wybornego, choć taniego i mało znanej marki wina, humor wyraźnie mi się poprawił.

Zastanawiałem się nawet czy by nie wrócić do klasztoru i nie poprosić o widzenie ze stryjem, który do tej pory mógł już być dysponować wolną chwilą. Ale przemyślawszy sprawę raz jeszcze, doszedłem do wniosku, iż najlepiej uczynię, jeśli – tak jak postanowiłem wcześniej – pójdę do niego następnego ranka.

Udałem się zatem wprost do domu. Tutaj wprowadziłem kucharkę w rozpacz, odmawiając zarówno zjedzenia odgrzewanego (bo spodziewano się mojego powrotu o wiele wcześniej) obiadu, jak i kolacji. Wiedziałem, że kobiecina która władała kuchnią jeszcze za czasów młodości mojego ojca, chciałaby mi nieba przychylić, że traktowała mnie niczym własnego syna i że odmawiając

zdecydowanie choćby pokosztowania przyrządzonych przez nią z całym kunsztem, na jaki tylko było ją stać, potraw, czynię jej wyraźną przykrość. Nie potrafiłem jednakże się przemóc i po powrocie natychmiast udałem się do gabinetu mojego zmarłego ojca.

Od czasu pogrzebu nie miałem ani chęci, ani okazji przejrzenia pozostałych po nim papierów i chciałem uczynić to teraz. Przystąpiwszy próg gabinetu rozejrzałem się ciekawie po tym, do niedawna jeszcze zgoła niedostępnym dla mnie przybytku, a później jałem systematycznie przeglądać półki i szuflady.

Przecież niczego interesującego poza papierami wartościowymi, jakimiś zapiskami dotyczącymi prowadzonych przez ojca interesów i rachunkami bieżących wydatków, nie znalazłem.

Rozsiadłem się więc wygodnie przy ciężkim mahoniowym biurku i spojrzawszy na przeciwległą ścianę, dostrzegłem rozwieszoną na niej mapę, o której dzisiejszego ranka wspominał stryj.

Im dłużej wpatrywałem się w kontury wyrysowanego na niej nieznanego lądu, tym silniejszą falą nawracały ku mnie wspomnienia z dzieciństwa. Oto znów jestem małym chłopcem, który potajemnie, pod nieobecność ojca wślizgnął się do jego gabinetu.

I znów ogarnęła mnie dawna – zda się – zapomniana i przebrzmiała fascynacja ową mapą.

Wpatrywałem się w nią szeroko rozwartymi oczyma, usiłując odgadnąć kim lub czym są potworkowaci, zwierzęcokształtni ludzie, czy stwory nieznanne?... Czy rzeczywistością, dziwną i niesamowitą, czy raczej tworem jakiejś chorej wyobraźni?...

Wzrok znów najpierw prześlizgnął się, a potem wrócił i zatrzymał na wyobrażeniu okropnej głowy, człowieczą głowę przypominającej. Jej obraz przykuwał, wabił, zdawał się przyzywać, a jednocześnie... jednocześnie poczułem

jak w mojej piersi wzbiera lęk. Poczulem w sercu chłód, chłód tak dotkliwy, jakby do jego wnętrza wpłynął strumyk lodowatej wody, miast ciepłej krwi.

Usiłowałem popatrzeć w inną stronę, czy choćby zamknąć oczy, lecz mi się to nie udawało.

Spróbowałem wstać, aby jak najrychlej opuścić pokój, ale wówczas, z przerażeniem spostrzegłem, iż nie panuję nad swoimi mięśniami. Mięśnie rąk i nóg miałem jak z waty. Ściągnęła utraciły sprawność. Ciało nie chciało słuchać rozkazów płynących z mózgu.

– Boże... Boże... – szeptałem – Co się ze mną dzieje?...

Naraz obraz rzeczywistości rejestrowany przez źrenice jał mętnieć, rozmywać się, niknąć.

Poczulem, iż spadam w jakąś czeluść bez dna, coraz szybciej, coraz szybciej i szybciej, wokół mnie migocą miriady skier złocistych, purpurowych, jaskrawozielonych i skądś z oddali – wszakże całkiem wyraźnie – do moich uszu, a może raczej wprost do mózgu, dobiega powtarzająca się fraza dziwacznej, niby spokojnej, a jednocześnie budzącej dreszcz lęku muzyki.

W pewnym momencie zawisłem w próżni. Zawisłem pomiędzy materialnym i niematerialnym światłem, pomiędzy realnym, a nierealnym. Do mojego umysłu jęła przesączać się pewna myśl, myśl bluźniercza, którą zaraz odtrąciłem z trwogą. Lecz ona natrętnie wracała, aż pozwoliłem jej zawładnąć sobą i wówczas doznałem czegoś nieokreślonego, czegoś co było i bólem i rozkoszą jednocześnie.

Skry różnobarwne przestały wirować i muzyka ucichła. Oczy zakrył mi tuman purpurowej mgły, z której poczęły się wyłaniać kształty fantastyczne jakiegoś, nieziemskie, nierealne, a przecież – gdybym mógł wyciągnąć rękę i dotknąć ich – bez ochyby bym ich dotknął. Tyle, że ręki nie mogłem wyciągnąć...

Purpurowa mgła pociemniała naraz, przybierając barwę ciemnofiołkową. Od czasu do czasu rozświeślały je pozłociste refleksy, przypominające może nieco –

choć było to dalekie podobieństwo – błyskawice przecinające niebo podczas burzy. A później z owej mgły do moich uszu doleciał syczący szept:

– Złam pieczęcie... Złam pieczęcie...

\* \* \*

Rankiem obudziłem się zmęczony. Bolały mnie wszystkie mięśnie i pod czaszką czułem tępy ucisk. Rozejrzałem się dookoła, nie mogąc sobie zrazu uświadomić, gdzie się znajduję. Byłem w gabinecie ojca.

I oto naraz przypomniały mi się wszystkie koszmary, jakich doświadczyłem wczorajszego wieczora. Tyle, że teraz, w świetle dnia, nie byłem już taki pewny czy to była rzeczywistość, czy też może koszmarny sen, który mnie nawiedził, gdy się zdrzemnąłem oparty o biurko.

Ale jeśli to nawet był sen, to nader nieprzyjemny, po którym pozostał pewien niesmak i strzępy niepokoju. Wolałbym już nigdy nie śnić podobnego koszmaru.

Umyłem się, przebrałem i zjadłszy śniadanie, począłem zastanawiać, co czynić dalej.

Doszedłem do wniosku, iż gabinet ojca nie kryje niczego ciekawego, pomyślałem że najlepiej zrobię, nie zwlekając i natychmiast udając się do klasztoru franciszkanów, aby dokończyć rozmowę rozpoczętą wczoraj ze stryjem.

Ponieważ dzień był piękny, słoneczny, a do klasztoru dość blisko, postanowiłem nie korzystać – podobnie jak poprzedniego dnia – z żadnego pojazdu, tylko udać się tam na piechotę, zażywając przy okazji spaceru.

Przed wyjściem zadysponowałem, aby nie przygotowywano dla mnie obiadu, bo nie wiem kiedy wrócę i najprawdopodobniej zjem na mieście. Wprawiłem tym kucharkę w zły humor, nazbyt mnie jednak bolała głowa, abym miał się przejmować humorami służby.

Jak już wspomniałem, dzień był pogodny. Czystego błękitu nieba nie mąciła ani jedna chmurka. Słońce majestatycznie wspinało się na firmament, oświetlając całą ziemię swoim blaskiem.

Była jesień, październikowy ranek. Toteż mimo cudownej pogody w powietrzu czuć było ziąb nadciągającej zimy. Wzdłuż ulicy, którą zmierzałem ku klasztorowi drzewa stały nieruchome. Jedne już prawie zupełnie ogołoczone z liści, wyciągały czarniawe ręce konarów w błagalnym – zda się – geście ku niebu. Inne, płonęły szkarłatem i purpurą, jeszcze inne, ozłoczone, syciły oczy wspaniałą żółcienią liści, które powoli, od czasu do czasu, pojedynczo lub po kilka, osypywały się do ich stóp.

Brama klasztoru była zamknięta. Z boku sterczała drewniana rączka, przytwierdzona do dość grubego drutu, który niknął w otworze uczynionym w murze. Szarpnąłem za ową rączkę raz i drugi. Do moich uszu dobiegło klaskanie mnisznych sandałów i po chwili okienko w bramie otwarło się z trzaskiem.

Na mój widok puciołowata i jowialna twarz mnicha, przyjęła wyraz smutku i powagi.

Zamknął okienko, a otworzył bramę. Wpuszczając mnie do środka, rzekł:

– Bardzo rychło przybywacie, panie.

– No, nie jest już tak wcześnie, jak sugerujesz ojcze furtianie. Słońce zdążyło od świtu przewędrować kawał drogi – odparłem na tę jego uwagę.

Zakonnik nie powiedziawszy nic więcej, pośpieszył przodem, jednocześnie pokazując gestem, bym udał się za nim. Mniemałem, iż wiedząc że mam odwiedzić stryja, prowadzi mnie wprost do niego, ale się omyliłem. Powiodł mnie zgoła inną drogą niżli ta, którą przemierzałem wczoraj. Po jakimś czasie zatrzymał się u drzwi na końcu dość szerokiego, ale mrocznego korytarza. Zapukał do nich, a później uchyliwszy je nieco, mnie wpuścił przodem, a sam pozostał na zewnątrz.

– Ojcze gwardianie, przybył młody pan Semberk.

Drzwi zamknęły się za mną bezszelestnie.

Gwardian podźwignął się z klęcznika i zbliżywszy ku mnie, wyciągnął dłoń w geście powitania. Uścisnąłem ją mocno. Mnich był mężczyzną w sile wieku, o jasnych oczach, pełnych ciepła i życzliwości. Widocznie lubił się często uśmiechać, bo w kącikach warg i oczu widać było rozległą sieć drobniuchnych zmarszczek.

– Bardzo mi przykro, niewymownie mi przykro, mój synu... Spojrzałem nań szeroko rozwartymi ze zdumienia oczyma:

– O czym ojciec powiada? Dlaczego ojcu przykro?

– To ty o niczym nie wiesz, młodzieńcze? – tym razem zdziwił się gwardian. – Nie powiadomiono cię?

– Ależ o czym, na Boga, miałem być powiadomiony?

– Cóż... – gwardian zawiesił głos, jakby zbierał myśli, jakby zastanawiał się w jakie ubrać je słowa. – Cóż... nie będę kluczył. Ojciec Sebastian, twój stryj, nie żyje.

– Przecież to niemożliwe! – krzyknąłem. – Nie dalej niż wczoraj widziałem go w pełni sił!

Nie był młody, to prawda, ale przecież nie aż tak zgrzybiały, by można się było spodziewać, iż dzisiaj nie będzie go już pomiędzy żywymi! Cóż się właściwie stało? Choroba nagła? Wypadek?

– Przykro mi młodzieńcze. Sami nie bardzo wiemy, co było przyczyną zgonu naszego współbrata... Co najwyżej możemy się domyślać...

– Jak to nie wiecie? Mówisz zagadkami, ojcze! – zawołałem.

– Sądzę, iż najlepiej uczynisz, jeśli zajdziesz do celi nieboszczyka stryja – Panie świeć nad jego duszą! – i zobaczysz zwłoki, zanim przeniesiemy trumnę do kościoła.

Podszedł do drzwi i otwarłszy je energicznie, pierwszy wyszedł na korytarz,



mnie nakazując gestem abym podążył za nim. Szedł prędko, tak prędko, że ledwo mogłem nadążyć.

Zapusciliśmy się w labirynt korytarzy, po których echem niósł się odgłos naszych kroków, mącąc niczym poza tym nie skalaną ciszę. W powietrzu czuć było zapach wosku, uschłych kwiatów, kurzu i stęchlizny. Ściany były równo wybielone wapnem, a kamienie posadzki idealnie czyste.

Gdy znaleźliśmy się w celi mojego stryja, gwardian odezwał się do klęczących wokół trumny i modlących się mnichów:

– Wyjdźcie ojcowie, zostawcie nas tu przez chwilę samych.

A gdy zakonnicy tłocząc się u drzwi, w końcu znaleźli się na korytarzu, gwardian zbliżył się do trumny, w której spoczywało ciało ojca Sebastiana. Umarły przyodziany był w szaty kapłańskie, tak jakby miał odprawić mszę. Spod ornatu, alby i habitu wyzierały zniszczone skarpety. Zakon poskąpił mu nowych... Zresztą, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Dłonie umarłego złożone niczym do modlitwy, oplatał kilkakroć długi drewniany różaniec, zakończony sporych rozmiarów mosiężnym krzyżykiem. Wszystko niby wyglądało normalnie, z jednym wyjątkiem – twarz nieboszczyka przykryta była kawałkiem czarnego materiału.

Przeżegnałem się i prawie bezgłośnie poruszając wargami, wyszeptałem słowa modlitwy za umarłych, błagając Przedwiecznego, aby raczył mego stryja przyjąć do swej chwały.

Skończywszy, przeżegnałem się ponownie.

Gwardian ujrawszy to, ozwał się w te słowa:

– Byłeś ciekaw, synu, co mogło być przyczyną śmierci twego krewniaka? Ja odrzekłem że nie wiem, że co najwyżej mogłem się domyślać. Zresztą osądź sam.

Nagłym ruchem zerwał płat materii zakrywający oblicze trupa, a gdy spojrzałem na nie, poczułem mrowienie w krzyżu i coraz bardziej ogarniającą mnie grozę. Twarz, wykrzywiona w potwornym grymasie przerażenia wyglądała

okropnie.

Gwardian widząc, iż źle znoszę ten niemiły widok, przykrył oblicze ponownie. Odzyskawszy mowę, ale cały drżący jeszcze z przejęcia, wyszeptalem:

– Jego zabił strach... Umarł ze strachu...

– I ja tak mniemam – gwardian skinął głową.

– Zachowaj nas Boże od tego, co umarli zobaczył w chwili swego skonu!

Milczeliśmy czas jakiś, obydwaj zwiesiwszy głowy. Później zaś widząc, iż gwardian ma chęć opuścić już to miejsce, zapytałem:

– Ojczy gwardianie, czy mógłbym pobyc sam na sam ze stryjem?

Mnich przyzwalajaco skinął głową.

– Dobrze, zostań młodzieńcze. Wydam polecenie, aby ci nie przeszkadzano, aż sam opuścisz tę celę. Rozumiem cię doskonale... Wybacz jeśli rozdrapuję rany, wybacz... Najpierw ojciec, teraz stryj... Z tego co wiem, teraz zostałeś już sam na świecie.

Podszedł do mnie i szeroko rozwarłszy ramiona, objął mnie mocnym uściskiem, a później ucałował w głowę. Nie umiałem powstrzymać szlochu, który raptem targnął moją piersią.

Skoro zostałem sam, raz jeszcze gorąco pomodliłem się w intencji stryja, a później usiadłem na tej samej pryczy, na której wczoraj siedzieliśmy obaj. Teraz już miałem pewność, iż coś potwornego przed wiekami wywołał, chyba z samych trzewiów piekieł, mój przodek. Teraz już byłem pewny, że wszystko, o czym mi opowiedział stryj, to szczerą prawdą i że to co go minionej nocy zabiło, jednocześnie nawiedziło i mnie w koszmarnej majaku.

Tylko dlaczego jego zabiło, a mnie oszczędziło? Czyż dlatego, iż mną miało nadzieję w przyszłości posłużyć się do jakichś sobie tylko wiadomych celów? Przypomniałem sobie raz jeszcze wszystko, o czym opowiadał starzec. Przypomniałem, iż rzekł, że jeśli czemuś się nie zapobieże, to moc, którą wywabił

nasz naddziad Stanisław, najpóźniej do siódmego pokolenia, od tamtej pory licząc, wywoła coś, co wprawi świat w zdumienie i zgrozę zarazem.

Ach! Dlaczego wczorajszego dnia nie dane nam było dokończyć rozmowy, odczytać dokumentu doręzonego stryjowi w zapieczętowanej kopercie przez mojego ojca?...

Właśnie! Raptem uświadomiłem sobie, iż za wszelką cenę muszę zdobyć ów dokument, w którym zawierało się całe wyjaśnienie zagadki. Ponieważ wczoraj nader gruntownie przeszukałem celę stryja, a nie znalazłem nawet śladu skrytki, począłem się zastanawiać, czy czegoś aby nie ominąłem.

Badawczo rozglądałem się po całym pomieszczeniu i naraz... Tak, właśnie! Zapomniałem o posadzce! Rzuciłem się tedy czym prędzej na kolana i z twarzą przy ziemi, jąłem na czworakach obchodzić całą izbę dookoła, postukując w kamienne płyty z przejęciem i nadzieją, oczekując na głuchy odgłos, jaki winna wydać ta, która maskuje pustą przestrzeń pod sobą.

I nie omyliłem się. Niedaleko okna, w kącie pomiędzy pryczą a ławą, na której stała gliniana misa i dzban z wodą, natknąłem się na tę płytę. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe. Oto jeszcze kilka chwil. Już niedługo, a wreszcie dowiem się wszystkiego...

Usiłowałem podważyć kamień palcami, lecz prócz tego, iż połamane paznokcie, nie osiągnąłem niczego nadto. Pomógł mi przypadek, oto bowiem, gdy zupełnie niechcący oparłem się o jedną z rogów płyty, odskoczyła bezszelestnie na bok, wypchnięta jakimś sprężynowym mechanizmem, odsłaniając czarną czeluść.

Chciwie zajrzałem do środka, ale nie zobaczyłem niczego. Wtedy włożyłem tam rękę i dokładnie obmacałem schowek. Był pusty. Jeszcze nie dowierzałem sam sobie. Zabrałem płonąca świecę z jednego z lichtarzy ustawionych wokół trumny i oświetliłem wnętrze skrytki.

Niestety było puste. Ktoś musiał je opróżnić przede mną... Lecz kto i kiedy?

Na pewno nie mógł to być żaden z mnichów zamieszkujących ten klasztor, bo skąd niby miałby wiedzieć, iż można cokolwiek znaleźć w tajnej skrytce, w celi starego ojca Sebastiana.

Chyba... chyba, że ów wtajemniczył kogoś w całą sprawę.

Nie, nie. Zdecydowanie odrzuciłem ową myśl. Przypomniałem bowiem sobie z jaką powagą stryj potraktował papiery poruczone mu przez mego ojca, jak dbał o nie. A sam fakt, iż nie trzymał ich na wierzchu, lecz dobrze ukryte i w ten sposób zabezpieczone przed niepowołanymi oczyma (choć i tak nic owo nie pomogło!), zdawał się być dowodzić, iż zdecydowanie należy odrzucić hipotezę o kradzieży dokumentów przez kogoś wtajemniczonego w całą sprawę przez stryja.

A zatem? Zatem wniosek nieodparcie nasuwał się sam.

Dokumenty zabrał KTOŚ lub COŚ, kto przybył w nocy i swym widokiem tak przeraził starca, że ów wyzionął ducha ze strachu. To co odwiedziło celę owej nocy bynajmniej nie zjawilo się, iżby pozbawić życia mnicha, lecz zabrać dokumenty i tym samym przeszkodzić mi w zapoznaniu się z ich treścią. Ojciec Sebastian zginął niejako przy okazji...

Postanowiłem, iż muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym, jak miniony dzień, aż do udania się na spoczynek, spędził mój stryj.

Wyszedłem więc na korytarz z zamiarem ponownego udania się do celi gwardiana. Ale nie musiałem tego czynić. Stał on bowiem, z grupką mnichów, za załomem korytarza, wyraźnie czekając kiedy wreszcie opuszczę owo nader smutne miejsce, jakim było pomieszkание umarłego.

– Ojcie gwardianie – rzekłem. – Czy zechciałbyś mi odpowiedzieć na kilka pytań?

– Jeśli tylko będę umiał? Pytaj, młodzieńcze.

– Otóż, jak wiesz, odwiedziłem wczoraj mego nieżyjącego już stryja. Miał mi przekazać ważne wiadomości, ale nie zdążył i nie uczyni tego nigdy... Naszą

rozmowę przerwało wezwanie od ciebie, ojciec...

Nie zdążyłem dokończyć, gdy gwardian odpowiedział:

– Otóż, to dziwne. Twój stryj istotnie przybył do mnie, rzekomo wezwany. Tymczasem wcale po niego nie posyłałem.

– Ależ ja sam byłem przy tym, gdy przybył po stryja młody mnich.

– Tak, wiem. To nowicjusz, od niedawna bawiący w naszym klasztorze i nie znający jeszcze (jak mniemam) wszystkich ojców. Sądząc, iż zakpił sobie ze starowinki, zbeształem go za ów niewczesny żart. Kleryk jednak zaklinał się na wszystkie świętości, iż uczynił tylko to, co polecił mu – w moim rzekomo imieniu – pewien stary i dość dziwnie wyglądający zakonnik.

Coś mnie tknęło i dokładnie, ze wszelkimi, najdrobniejszymi nawet szczegółami, opisałem człowieka, kryjącego twarz pod kapturem, który wywiódł mnie z klasztoru poprzez niewielką żelazną furtkę.

Gwardian patrzył na mnie zdumiony.

– Istotnie, tę samą postać i dokładnie w taki sam sposób opisał mi wczoraj nowicjusz.

Wszystko się zgadza... Prócz jednego... Takiego mnicha nie ma w tym klasztorze...

Gdy domówił owych słów, zapadła nienaturalna cisza. Zakonnicy spoglądali po sobie zdumieni i przestraszeni zarazem.

– Dziwne to, doprawdy bardzo dziwne – jął mówić po chwili gwardian. – Jeśli mam być szczery, to niczego w całej tej historii nie rozumiem. Ów tajemniczy mnich, kimkolwiek on był i z jakiegokolwiek świata przybył pomiędzy nas – bo coś mi podszeptuje, iż nie z człowiekiem z krwi i kości była to sprawa – miał jeden chyba tylko cel.

– Jakież? – zapytałem zaintrygowany.

– To chyba oczywiste – odparł gwardian – Skoro podstępem wywabił ojca

Sebastiana z celi, a pod jego nieobecność czym prędzej wyprowadził cię poza obręb klasztoru, to chyba chodziło mu o to, aby was rozdzielić!

– Masz rację ojcze. I ja jestem o tym przekonany.

– Ale dlaczego? Dlaczego? Czy potrafiłbyś mi owo wytłumaczyć?

– Cóż, ojcze. Może mógłbym choćby w niewielkiej części zaspokoić twoją cierpliwość, ale z różnych względów wolałbym tego nie czynić. Jestem tylko człowiekiem i... boję się. Nie tylko o siebie, ale i o ciebie... Przypomnij sobie wyraz twarzy mego stryja...

– A zatem coś jednak wiesz? – zapytał gwardian.

– Owszem, coś niecoś wiem. Ale nazbyt mało, aby mogło to rozświetlić mrok tajemnicy dotyczącej mnie, mego stryja i owego dziwaczego mnicha, a jednocześnie może jednak dość dużo, by mogło stanowić zagrożenie dla ciebie, ojcze, lub któregośkolwiek innego z zakonników mieszkających w tym klasztorze. Lepiej zatem nie ryzykować i to co wiem zachowam dla siebie.

Być może nadejdzie kiedyś taki dzień, że przyjdę do ciebie, ojcze, po radę, albo i po pomoc?

Być może... Tymczasem jednak – jak mniemam – nie pora na to.

– Cóż, jeśli tak sądzisz, jeśli taka jest twoja wola, nie pozostaje mi nic innego, tylko ją uszanować. Czy zostaniesz z nami do czasu, aż przeniesiemy trumnę ze zwłokami ojca Sebastiana do kościoła?

– Oczywiście, zostanę – przytaknąłem skwapliwie.

Nie musiałem czekać długo, gdy mnisi wynieśli trumnę na własnych barkach i śpiewając jakąś pieśń łacińską, krętymi korytarzami udali się do świątyni.

Tutaj ustawiono ją na katafalku otoczonym z dwu stron świecami wstawionymi w wysokie drewniane lichtarze. Od razu odprawiono mszę żałobną za spokój duszy zmarłego. Potem zaś zamknięto wieko, zabijając je gwoźdźmi. Były jakieś śpiewy, kadzidła, modły. Orszak pogrzebowy ruszył powoli główną nawą kościoła ku

kruchcie, gdzie było wejście do podziemi, w których zakonnicy znajdowali miejsce wiecznego spoczynku.

Trumnę niosło na barkach czterech młodych mnichów, a czterech innych im asystowało. Gdy znaleźliśmy się w kruchcie, uchwyciwszy za brązowe uchwyty, z widowym trudem podniesiono i odsunięto na bok ciężką klapę dębową z zewnątrz obitą miedzianą blachą z wyrytym na niej jakimś wpół zatartym i zupełnie już nieczytelnym napisem.

Mnisi dźwigający trumnę poczęli zstępować w dół. Za nimi udał się tylko gwardian sprawujący obrzędy pogrzebowe i ja. Reszta pozostała na górze.

W krypcie podziemnej powietrze było stęchłe i wilgotne. Rzędem pod ścianami stały trumny.

Jedne w całkiem jeszcze dobrym stanie, inne wpół zbutwiałe, których wieka zapadły się ze starości, odsłaniając swoją makabryczną zawartość. W jednej z nich, spośród prochu i próchna, wyzierała żółtawa czaszka, szczerząc zęby w trupim uśmiechu.

Ustawiono trumnę z ciałem mego stryja w niedokończonym szeregu trumien, pod jedną ze ścian wymurowanych z nierównych, kanciastych białawych kamieni, a gdy gwardian dokończył obrzędów pogrzebowych, opuściliśmy podziemie. Ciężka drewniana klapa, obita z zewnątrz miedzianą blachą, zasunięta przez mnichów na swe dawne miejsce, z głuchym łoskotem zapadła się w przygotowane dla niej wyżłobienie, dokładnie i szczelnie zakrywając otwór. Wszystko się skończyło.

I oto nagle uświadomiłem sobie, iż jestem ostatnim jedynym Semberkiem na całym bożym świecie. Nie wiedzieć czemu, na tę myśl zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie.

Pożegnałem mnichów i gwardiana, który zapewnił mnie, iż nigdy nie zapomni o mojej osobie w swoich modlitwach. Podziękowałem mu zatem i nie wchodząc

już do kościoła, wysunąłem się na dwór.

Gdy z bocznej uliczki, przy której znajdował się klasztor, wyszedłem na jedną z głównych ulic mojego miasta, wmieszałem się w gwarny i ruchliwy tłum. Twarze ludzi, głosy ich rozmów, domy rozświetlone słońcem, którego refleksy odbijały się w szybach okiennych, oraz świeżość powietrza, jakże różnego od stęchlizny klasztoru, poprawiły mi nieco humor.

Tak jak zapowiedziałem służbie, obiad spożyłem na mieście. Zaszyłem się w przytulnej salce maleńkiej restauracyjki, którą znalazłem całkiem przypadkiem w jednym z zaułków, wciśniętych pomiędzy szare, brudne i odrapane mury czynszowych kamienic. Aż dziw, iż coś tak miłego znajdować się mogło w owej odpychającej swym wyglądem okolicy.

Restauracyjka była cicha, nastrojowa, obsługa uprzedzająco grzeczna, a jedzenie wyborne.

Toteż, zaspokoivszy głód i pragnienie, odprężyłem się zupełnie. Oczyszcilem swoją głowę z wszelkich myśli i odpoczywałem, naprawdę odpoczywałem, powolutku sądząc doskonały koniak. Ogrzewałem szkło kieliszka w dłoniach i wahałem z lubością wspaniały aromat alkoholu, albo też, unosiłem kieliszek nieco ku górze, zachwycając się bursztynowozłotą barwą trunku. Delikatnie smakowałem go, rozprowadzając po kilka kropel na języku i podniebieniu.

I oto naraz spokój mego ducha został zachwiany. Raptem spostrzegłem siedzącego o kilka stolików dalej, pod przeciwległą ścianą – znajomą mi już postać – dziwnego mnicha, o twarzy ukrytej pod kapturem, opadającym mu aż na oczy.

Zdziwiłem się ujrawszy go, bowiem nie widziałem, aby ktokolwiek wchodził do restauracyjki w czasie, kiedy się tam znajdowałem. Chociaż, zresztą... mogłem nie zauważyć.

Mimo, iż pierwszym moim odruchem na widok tajemniczej postaci był strach, potem – przemyślawszy rzecz całą – doszedłem do wniosku, że moje obawy są



chyba bezpodstawne, a wcześniejsze podejrzenia w stosunku do tego człowieka dziecinne i bynajmniej nieuzasadnione.

Skoro pokazuje się w miejscach publicznych, to chyba nie jest kimś niezwykłym?

Pomyślałem jeszcze, iż najlepiej uczynię, jeśli teraz, korzystając z okazji, porozmawiam z nim i tym samym rozwieję wszelkie swoje wątpliwości. Cóż, pewnie to jakiś dość ekscentryczny staruszek i tyle, a że nikt go nie zna w klasztorze franciszkanów? I to również niczego jeszcze nie dowodzi. Być może zjawił się tam przez pomyłkę, a cała reszta była jakimś zwykłym nieporozumieniem i niczym ponadto?

Skinąłem zatem na kelnera, który natychmiast stanął przy mnie i z unізonością, która drażniła mnie nieco, zapytał:

– Czym jeszcze mogę jaśnie panu służyć? A może podać rachunek?

– Nie, jeszcze nie. Proszę zapytać siedzącego przy tamtym oto stoliku zakonnika, czy nie zechciałby poświęcić mi kilku chwil na rozmowę w osobistej sprawie, i czy ewentualnie mogę przysiąc się do niego.

Kelner zmieszał się z lekka, z dziwnym zakłopotaniem spoglądając to na mnie, to w kierunku, który mu wskazałem.

– Hm, tak... Oczywiście... – jąkał się. – Tylko... tylko, proszę jaśnie pana... Wyraźnie nie mógł z siebie wykrztusić nic więcej.

– Co tylko?! – zirytowany podniosłem głos, może o ton za wysoko, niż usprawiedliwiała to sytuacja.

– Cóż, będę szczery, jaśnie panie. Ja... ja tam absolutnie nikogo nie widzę... Stolik, który łaskawy pan raczył mi wskazać jest... wolny.

Na chwilę zaniemówiłem.

– Jak to wolny?! – wyrzuciłem z siebie wreszcie. – Jak to wolny? Przecież nie jestem ślepy?!

Przecież wyraźnie widzę! Siedzi tam sędziwy mnich, z twarzą zakrytą kapturem.

– Hm, tak... – jękał się kelner. – Zapewne ma pan rację... Być może, iż łaskawy pan widzi tam mnicha... Wszakże JA go tam nie widzę.

Mówiąc to, jednocześnie delikatnym ruchem odsuwał ode mnie kieliszek z koniakiem.

Zauważyłem to natychmiast i schwyciłem go za nadgarstek.

– Proszę to zostawić! Nie jestem pijany!

– Ależ!... – sumitował się kelner. – Gdzież bym śmiał sugerować coś podobnego!... Może tylko... Może alkohol po prostu panu nieco zaszkodził?

Puścił kieliszek, który natychmiast przysunąłem na powrót do siebie, a potem ująwszy go dwoma palcami, wychyliłem do dna. Poczułem pieczenie wędrującego przełykiem alkoholu, a potem ciepło rozlewające się po żołądku. Przymknąłem na chwilę oczy, później zaś otworzyłem je i popatrzyłem w stronę stolika, przy którym dostrzegłem mnicha.

Był tam nadal. Tyle, że teraz wstawał i lawirując między stolikami, kierował się idąc na ukos przez salkę, ku wyjściu. Nie mogłem pozwolić by mi umknął. Podałem kelnerowi zapłatę za obiad, zda się o wiele za dużo, niż wszystko to razem warowało i nie czekając aż wyda mi resztę, rzuciłem się w pogoń za wychodzącym. W chwili gdy dopadłem drzwi, on akurat wysunął się już na ulicę.

W wejściu zderzyłem się z wchodzącym otyłym jegomościem, który jął mnie besztać jak uczniaka, zupełnie nie przebierając w słowach.

– Najmocniej pana przepraszam. Zupełnie niechcący potrąciłem łaskawego pana. Bardzo mi śpieszno. Byłbym nad wyraz wdzięczny, gdyby mi pan zechciał powiedzieć, w którą stronę się udał, wychodzący przed chwilą z tej restauracji, stary zakonnik?

– Jaki zakonnik? Panie? Chyba się panu przyśniło?! Stałem opodal wejścia do

tej knajpki dobry kwadrans, czekając na znajomego, z którym miałem zjeść tutaj obiad i przy okazji załatwić kilka interesów. Bądź pan pewny, rozglądałem się bacznie i na prawo, i na lewo, i w tył, i w przód, czy nie nadchodzi. Zatem kogoś tak charakterystycznego jak zakonnik, żadną miarą nie mógłbym przegapić, czy nie zauważyć!

– I co?

– I nic! Jak rzekłem musiało się panu coś przyśnić! Żaden zakonnik w ciągu minionego kwadransa ani tu nie wchodził, ani też stąd nie wychodził.

– Mógłby pan dać słowo?

– Aleś pan nudny! Mógłbym i przysięgę złożyć. A w jakimż to niby celu miałbym pana oszukiwać, mój panie?! Ale odczep się pan wreszcie ode mnie, bom głodny.

Bezceremonialnie odsunął mnie na bok.

Kelner widząc, iż jeszcze nie opuściłem na dobre restauracyjki, podszedł do mnie, chcąc wydać resztę. Ale machnąłem tylko na to ręką i wybiegłem na ulicę.

\* \* \*

Wędrowałem przed siebie, nie bardzo wiedząc dokąd idę.

„– Mój Boże! – myślałem. – Czyżby ogarniało mnie szaleństwo? Czyżby mącił mi się rozum? Czyżbym tracił zmysły?”

Tak jak ów grubas gotów był przysięgać, iż nikogo nie widział, tak ja gotów byłem uczynić to samo, upierając się jednak, iż w restauracji widziałem tego samego mnicha, który wyprowadził mnie z klasztoru i że na moment przede mną wyszedł na ulicę.

Cała sprawa jęła coraz bardziej dręczyć mój umysł, rozpalać wyobraźnię. Ileż bym dał za to, ażeby rozwikłać ową tajemnicę. Nie, z całą pewnością nie były to

ani przywidzenia, ani przypadki. To, co od kilku dni działo się wokół mnie, mimo iż dziwaczne i trącające niesamowitością, jednakże z całą pewnością było realne.

Pomyślałem, że bez ochyby jestem osaczony. Owo coś lub ktoś działało zgodnie z wcześniej ustalonym planem. Działo z żelazną konsekwencją, realizowało swój zamiar krok po kroku.

Tak, o tym wszystkim byłem już przekonany. Tylko... tylko nie wiedziałem najważniejszego, czego owo coś lub ktoś chce ode mnie. Do czego pragnie użyć mojej osoby, albo-li też mną się posłużyć.

Zacząłem się bać. Nie, nie bałem się, iż mogę stracić życie, jak tracili je moi przodkowie w zetknięciu z ową potworną tajemnicą. Bałem się czegoś zgoła innego – tego mianowicie, iż utracę wolę, iż coś zapanuje nad moją jaźnią, zniewoli mój umysł. Kim wówczas będę? Kukłą?

Manekinem? Gliną? Gliną, z której NIEZNANE uformuje, ulepi kształt jemu potrzebny?

\* \* \*

Do domu wróciłem późnym wieczorem, bardzo zmęczony i bardzo głodny. Ten ostatni fakt bardzo ucieszył kucharkę i natychmiast, skoro tylko umyłem się i przebrałem, kazała nakrywać do kolacji. Od śmierci ojca panoszyła się w domu, jakby była jego panią, ale zupełnie nie zwracałem na to uwagi. Było mi to całkowicie obojętne.

Siedziałem sam u szczytu ogromnego stołu, który oświetlał świecznik z jarzącymi się woskowymi świecami. Jadłem powoli, powoli popijając kęsy stawy starym reńskim winem.

Później zaś, obtarłszy usta śnieżnobiałą serwetą, przeszedłem do gabinetu ojca.

Zdecydowanie zbliżyłem się do ściany i zdjawszy z niej tajemniczą mapę,

rozłożyłem ją na blacie biurka, z którego wszystkie papiery i przedmioty po prostu zmiotłem jednym ruchem dłoni, wprost na podłogę. Oglądałem mapę bardzo dokładnie, cal po calu, mniemając, iż uda mi się na niej odkryć coś, co choćby w nieznacznym stopniu ułatwi przeniknięcie tajemnicy coraz mocniej jątrzącej mój umysł.

Ach! Jakże żałowałem, iż nie trafiły w moje ręce papiery naddziada Stanisława i wyjaśnienie mojego ojca. W umyśle odzywał się odległym echem głos stryja Sebastiana, mówiący, iż czasu nie ma już wiele, iż koniecznie musimy uczynić coś, aby zapobiec złu, aby unieszkodliwić TO, co z czeluści NIEZNANEGO wywołał nasz daleki przodek. Raptem wzrok mój padł na dół mapy, gdzie widziałem łaciński napis:

„ET VIDI LIBRUM SIGNATUM SIGILLIS SEPTEM”

„I UJRZAŁEM KSIĘGĘ ZAPIECZĘTOWANĄ SIEDMIOMA  
PIECZĘCIAMI...”

Ach!... Ten szept, dziwaczny, syczący szept, przejmujący grozą i obrzydzeniem... wtedy, w przeszłości, gdy byłem jeszcze dzieckiem i ostatniej nocy:

„– Złam pieczęcie... Złam pieczęcie...”

Siedem pieczęci... Tajemnicza księga... Dług zaciągnięty przez Stanisława Semberka, o którym opowiadał stryj... Dług zaciągnięty wobec KOGO lub CZEGO? Wobec nieznanej mocy, która prześladowuje nasz ród? Dług, który musi być spłacony, jeśli nie przez Stanisława, to przez jego potomka.

„– Choćby był potomkiem i w siódmym pokoleniu”

Tak, właśnie tak powiedział stryj.

O Boże! Nic z tego nie pojmuję! Nic zgoła! Dług, tajemnica, siedem pieczęci – siedem pokoleń. A może?... A może jedna pieczęć, to jedno pokolenie?...

A ja? Którymż to ja jestem pokoleniem? Stanisław Semberek żył około 1650

roku, teraz mamy rok 1857... A zatem? Zatem to ja jestem owym siódmym pokoleniem! To ja jestem ową siódmą pieczęcią!

Dokumenty przypadły. Niestety. Nigdy nie dowiem się ohydnie popełnionej przez mojego przodka. Nigdy nie pojmę tego, co mnie będzie spotykać. Nigdy. Będę płacił za coś, nie wiedząc za co. Doświadczę czegoś, czego nie będę rozumiał.

Nie! Cała moja wola buntowała się na myśl o tym. Dlaczego ja mam płacić za grzechy kogoś, kto żył dwieście lat temu. Dlaczego? Każdy odpowiada sam za siebie. Nie przyjmę potulnie cudzych win na własne barki. Jeśli zgrzeszył Stanisław, Stanisław winien zostać ukarany!

Tak, ale przecież stryj mówił o jakiejś monstrualnej, nieludzkiej mocy wywołanej z czeluści nieznanego.

Mocy, która – jeśli się jej nie unicestwi – wprawi świat w przerażenie. A zatem? Zatem można ją unicestwić!

Przecież by tego dokonać, należy poznać TO, z czym się będzie mieć do czynienia. Mam mapę, ale to zbyt mało... Zapiski zginęły... Właśnie! Czyż to nie potwierdzenie, iż można z owym czymś lub kimś wygrać, skoro owo coś lub ktoś stara się bym go nie rozpoznał? Nie zrozumiał? Nie znalazł sposobu?

I znów pojawiły się w mózgu słowa stryja:

„... prócz manuskryptu... i mapy tajemniczej wyspy – niezbędnych pospołu do zrozumienia pewnych rzeczy – w przypadku gdy one zginęły, wskazówek rozwikłania rodzinnej tajemnicy, można ponoć poszukać w krypcie grobowej Semberków pod kaplicą Błogosławionych Męczenników w Sandomierzu.”

Tak. Dokładnie tak powiedział. Czyż zatem – skoro wiem aż tyle – wolno mi zostawić całą sprawę własnemu biegowi? Przecież groźba wisi nie tylko nade mną, lecz i nad innymi, nad wszystkimi ludźmi, nad światem!

Nie mam wyboru. A zresztą... Cała owa tajemnicza – chociaż nadzwyczaj

niebezpieczna zagadka – mocno mnie zaintrygowała!

Wiedziałem już, że to uczynię. Sięgnąłem na jedną z półek i zdjawszy z niej mapę Europy, gorączkowo obrzuciłem ją wzrokiem. Gdzież ten Sandomierz, mój Boże, gdzież Sandomierz?

Polski już nie ma. Od dawna jej nie ma. Gdzież go zatem szukać? W Prusach, Rosji, czy Austro-Węgrach?

Palec wędrował od miejscowości do miejscowości. Aż nareszcie znalazłem. Był w Rosji, przy samej granicy austro-węgierskiej. Poczuję się dość dziwnie. Ogarnęło mnie pewne wzruszenie. Do tej pory pusto brzmiąca nazwa – Sandomierz, przestała być dla mnie czystą abstrakcją.

Wszak stamtąd wywodziła się odnoga rodu Semberków, do której należałem.

Mimo, iż nadal nie widziałem miasta, to już sam fakt, że umiejscowiłem ów drobny punkt na mapie sprawił, iż stało się dla mnie bliższe, bardziej realne i namacalne.

Zastanawiałem się jak wygląda, jacy są mieszkający tam ludzie? Ze wzruszeniem pomyślałem, że już wkrótce będę przemierzał te same ulice, którymi kiedyś chadzali moi przodkowie. Pomyślałem też, że ojciec chyba przeczuł – wiedziony jakimś przedziwnym instynktem – to co miało rychło nastąpić. Bo przecież nie darmo kazał mnie uczyć polskiego?

Odłożyłem mapę, zdmuchnąłem świecę i po omacku ruszyłem do swojej sypialni. Nie miałem z tym najmniejszych problemów. Dom znałem doskonale i mogłem zupełnie swobodnie poruszać się po nim w całkowitej nawet ciemności.

Gdy znalazłem się w pokoju sypialnym, nie zapalałem już świecy. Ułożyłem się w pościeli jak najwygodniej. Teraz, skoro wreszcie podjąłem jakieś konkretne postanowienie, wytknąłem sobie ściśle określony cel, poczułem się zdecydowanie lepiej. Lęk i jakiś nieokreślony smutek opuścił mnie zupełnie.

Zapadłem w bezdenną czeluść niepamięci. Bez marzeń sennych, bez majaków.

Po prostu spałem i odpoczywałem. Tak jak niegdyś, jak w czasach, gdy mojego spokoju nie zakłóciło jeszcze żadne bolesne przeżycie, gdy nie poznałem śmierci i nie rozumiałem jej, i gdy nie zetknąłem się z żadnym tajemniczym, budzącym dreszcz grozy wydarzeniem.

\* \* \*

Spałem długo, bardzo długo, co od dawna mi się już nie zdarzyło. Obudziłem się dopiero około południa i bez pośpiechu przyodziałem się, zjadłem śniadanie i – nie mając zamiaru wychodzić z domu – jąłem czynić przygotowania do podróży.

Zastanawiałem się czy z N., swojego rodzinnego miasta, nie udać się wpierw do Reichenbachu, gdzie tkwiły korzenie naszego rodu i może najpierw tam spróbować poszukać czegoś, co być może ułatwiłoby mi późniejsze poszukiwania w Polsce.

Z Reichenbachu mogłem później przez Śląsk udać się do Krakowa, a stamtąd pociągiem do mieszczącej się w Nadbrzeziu, przedmieściu Sandomierza, ale leżącym nie po rosyjskiej, lecz po austriackiej stronie granicy, stacji kolejowej, skąd od miasta oddzielałaby mnie tylko Wisła.

Byłaby to droga, znacznie wygodniejsza, którą mógłbym odbyć w zupełnie znośnych, jeśli nawet nie komfortowych warunkach.

Wszakże zastanowiwszy się nad całą tą sprawą dokładnie, doszedłem do wniosku, iż podróż do Reichenbachu nie ma najmniejszego sensu. Bo przecież mój przodek Stanisław wcale nie osiadł w tym mieście, gdy gnany trwogą uciekł z Polski, aby ukryć się na stare lata w bezpiecznym miejscu na niemieckiej ziemi. Uciekł do N., gdzie od jego czasów, nieustannie, przez z górą dwieście lat, ród nasz zamieszkiwał. Zatem w Reichenbachu nie ma absolutnie czego szukać. Był to jedyny logiczny wniosek, jaki można było wyciągnąć.

Wytyczyłem sobie więc zgoła inną trasę, chociaż może i dłuższą, i mniej



wygodną, ale przy okazji umożliwiającą mi załatwienie jeszcze pewnych spraw. Postanowiłem, iż pojedę najpierw do Berlina, a stamtąd do Warszawy, zawadzając po drodze o Poznań, gdzie właśnie chciałem załatwić sprawy, o których wcześniej wspomniałem. Co to takiego miało być, nie należy do tematu tej opowieści, zatem nie sądzę, abym musiał wspominać o owym więcej i szegółowiej zajmować się tą kwestią. Z Warszawy, jak nietrudno się domyślić, chciałem już wprost pojechać do Sandomierza.

Jak postanowiłem, tak też i uczyniłem. Nie sądzę, abym zainteresował kogokolwiek opowiadając o swojej podróży, bo nie zdarzyło się podczas niej nic zajmującego.

Zajęła mi ona wiele więcej dni niżeli wprzód zakładałem, nie wziąłem bowiem pod uwagę, iż załatwienie urzędowych spraw w Poznaniu przeciągnie się ponad miarę. Zmitrężyłem (całkiem niepotrzebnie, bo z wszystkimi możnaby się uporać w o połowę krótszym czasie) aż dwa tygodnie. Niestety samowola jednego z urzędników, któremu się wydawało, że jeśli piastuje państwowe stanowisko, jest równy samemu chyba Panu Bogu, sprawiły iż musiałem siedzieć w tym mieście tyle, ile właśnie przesiedziałem.

Gdy przybyłem do Warszawy, okazało się, iż wynikła pewna, nieprzyjemna dla mnie trudność. Otóż dowiedziałem się, iż dostać się koleją do samego Sandomierza jest niepodobieństwem, bowiem po stronie rosyjskiej droga żelazna nie dochodzi bynajmniej do tego miasta.

Wprawiło mnie to w najwyższe zirygowanie, bo komplikowało nieoczekiwanie, prostą na pierwszy rzut oka kwestię dotarcia na miejsce. Teraz miałem do wyboru albo wyjazd do Austrii, gdzie złapałbym pociąg do przedmieścia Sandomierza, Nadbrzezia, albo dwie inne możliwości.

Nader mili Polacy, ujęci tym, iż rodowity Niemiec – chociaż mocno kalecząc – ale przecież mówi po polsku, oraz wie iż przed sześcioma pokoleniami miał

polskich antenatów, wprost rozpływali się w uprzejmościach.

Jedni doradzali mi, ażebym udał się z Warszawy koleją przez Iwanogród do Ostrowca, stacji najbliższej Sandomierza leżącej po rosyjskiej stronie i tam wynająwszy bryczkę, wciągu czterech godzin, szosą wiodącą przez Opatów, dotarł do Sandomierza, oddalonego od Ostrowca o czterdzieści pięć wiorst.

Inni natomiast twierdzili, iż chociaż podróż wydłuży mi się o trzy godziny, to przecie mogę dotrzeć do Sandomierza w sposób o wiele wygodniejszy i bez wątpienia mniej męczący. Otóż radzili mi oni, iżbym wsiadłszy w Warszawie do pociągu udał się drogą żelazną przez Iwanogród do Puław, gdzie przesiądę się na statek kursujący po Wiśle, który do samego Sandomierza bezpiecznie mnie dowiezie. Stracę co prawda więcej czasu, ale przecież nie wytrzęsę tak kości, jak w przypadku jazdy bryczką po wyboistej drodze.

Muszę przyznać, iż dość długo zastanawiałem się, którą z owych dwóch możliwości wybrać.

Jazdę do Austrii wykluczyłem bowiem na samym początku, jako zgoła bezsensowną. Wreszcie, nie bez wahań, zdecydowałem się na statek. Pomyślałem, że znajdę na nim chyba dość wygod, a ponadto w ciągu tych licznych godzin podróży będę mógł sycić oczy do woli pięknem krajobrazów.

I nie omyliłem się. Droga choć długa, a przez to – co by nie rzec – męcząca, okazała się jednak dość interesująca. Podczas jazdy koleją niczego widzieć nie mogłem, ponieważ odbywałem ją nocą. Konduktor – nadzwyczaj grzeczny mężczyzna – gdy dałem mu kilka kopiejek, z uniżonością wielką wyszukał mi pusty przedział i obiecał czuwać i obudzić mnie, gdy tylko dotrę do swej stacji docelowej. I danego słowa dotrzymał. Dzięki niemu, chociaż w niezbyt wygodnej pozycji, ale przecież mogłem się porządnie wyspać.

Gdy wdzięczny za sumienne wywiązanie się z samorzutnie podjętego obowiązku, w nagrodę wręczyłem mu przy wysiadaniu srebrną półrublówkę, jał

mnie tytułować „wasze wysokabłagarodije”, jakbym co najmniej był księciem krwi podróżującym salonką, a nie zwykłym pasażerem.

Na statku ogarnęła mnie cisza. Och! Jakże cudownie wypoczywało się po jeździe pociągiem, gdzie na rozjazdach trzęsło niemiłosiernie, a ustawiczny stukot kół o szyny, mocno drażnił uszy.

Sapanie maszyny parowej i plusk wody było niczym w porównaniu z tamtym.

Szeroko rozlewająca się Wisła, na powierzchni której grały szkarłatnozłociste refleksy wstającego słońca, słała się szeroką, aksamitną drogą, która doprowadzić miała tam, dokąd gnało mnie chyba przeznaczenie. Chociaż odczuwało się chłód, bowiem wczesny ranek połowy listopada nie mógł być przecież inny, to jednak nie schroniłem się pod pokład, tylko dobrze otuliwszy paltotem, stanąłem na dziobie i podziwiałem widoki rozpościerające się przed moimi oczyma na obydwu brzegach rzeki.

Większość drzew i krzewów była całkiem naga, ale przecież spotykało się jeszcze takie, na których utrzymały się purpurowe, szkarłatne, pozłociste czy brązowe liście.

Gdy już nasyciłem oczy pięknem jesiennej przyrody, zszedłem pod pokład, gdzie zamówiłem i zjadłem sute śniadanie, popijając je mocną, gorącą herbatą z arakiem. Przy śniadaniu jacyś państwo usiłowali nawiązać ze mną konwersację. On wyglądał na przeciętnie zamożnego ziemianina, ona na kobietę znudzoną, na jedną z tych, którym śnił się książę z bajki, a przyszło im nader prozaicznie wyjść za mąż za dziedzica niewielkiego majątku, z którym co najwyżej mogła porozmawiać o pracy w polu, hodowli nierogacizny, płodozmianie czy podnoszeniu mleczności bydła, nigdy zaś o poezji, malarstwie czy też innych górnołotnych sprawach.

Ziemianin wyraźnie źle się czujący wśród obcych, dowiedziawszy się, iż jestem Niemcem, usiłował wywieźć się ode mnie jak najwięcej na temat uprawy

lucerny czy też wyki – nie pomnę zresztą czego – w moim kraju. Ale usłyszawszy, iż – choć szlachcic – jestem mieszcuchem, z wyraźną pogardą zdystansował się ode mnie. Zabawne indywiduum.

Jego małżonka natomiast, uchwyciła się kurczowo mojego ramienia, jakbym był jej ostatnią deską ratunku na tym padole i prosząc abym jej nie odmówił towarzystwa podczas przechadzki po pokładzie, dosłownie zasypała mnie opisem swoich najrozmaitszych – a każda z nich wyglądała na śmiertelną – dolegliwości.

Wyglądało na to, że z braku lepszego zajęcia, rozczytuje się w książkach czy też czasopismach medycznych, skąd czerpie opisy chorób, które oczywiście natychmiast wynajduje u siebie.

Zarzucała mnie pytaniami. Błagała o rady jak postępować by zwalczyć tę lub inną dolegliwość, ale gdym odpowiedział, iż – według mego skromnego zdania – najlepiej by jej uczyniło, gdyby znalazła sobie jakieś pożyteczne zajęcie, a prócz tego, każdego dnia, regularnie, czy to świątek, czy piątek, upał czy mróz, śnieżycą czy słońcem, jak najwięcej spacerowała, a wszystkie choroby miną, popatrzyła na mnie jak na wariata.

Dalsza rozmowa już się nie kleiła, toteż po jakimś czasie, skłoniwszy się uprzejmie, przeprosiłem ową damę i udałem się pod pokład. Gdy za chwilę znów wysunąłem się z czeluści statku na świeże powietrze i ulokowałem na dziobie, ani szlachciura, ani też jego małżonka nie podeszli do mnie. Najwyraźniej uznali, że nie ma z kim się zadawać.

Miałem więc szczęście, bo nikt więcej nie nagabywał mnie na rozmowę – na którą nie miałem absolutnie żadnej ochoty – aż do końca podróży. Do Sandomierza dotarliśmy wieczorem. W lecie byłoby jeszcze o owej porze wcześniej i widno, teraz jednak, w listopadzie, panowała już głucha noc. Gdy statek zacumował w przystani, trzymając się grupki podróżnych, którzy wysiedli w Sandomierzu wraz ze mną, udałem się do miasta.

Nie miałem najmniejszej trudności, aby dopytać się o nocleg. Skierowano mnie do Hotelu Podolskiego, dokąd zaprowadził mnie pewien wynędzniały malec, liczący zapewne na parę kopiejek zarobku. Oczywiście owych nadziei nie mogłem zawieść i dałem mu kilka miedziaków.

Przydzielono mi pokój pod numerem trzecim, bardzo wygodny, czysty i przytulny, chociaż bynajmniej nie największy. Ale ponieważ nie miałem zamiaru zatrzymywać się w Sandomierzu na dłużej, owo lokum, które mi się dostało, uznałem za wystarczająco dobre i nie było mi w głowie szukać czegoś innego.

Obmywszy się po podróży i przyodziawszy w świeże ubranie, poprosiłem o kolację do pokoju. Nie czekałem długo. W kilka minut zaledwie przyniosła mi je młoda i ładna, chociaż może nieco zbyt tłusta pokojówka, która najwyraźniej miała ochotę na pogawędkę.

Gdy zabierałem się do jedzenia, ona zamiast dyskretnie opuścić pokój, wciąż stała przy drzwiach, trzymając rękę na klamce.

– Czego panna chce? – zapytałem obojętnym tonem.

– Ja?... – nie bardzo wiedziała co odpowiedzieć. – Ja... czekam... bo wielmożny pan może sobie jeszcze czego zażyczyć?

– Jeśli będę czego potrzebował, to zadzwonię – odparłem.

Dygnęła i chociaż nacisnęła klamkę, jakoś ociągała się z wyjściem.

– No? Cóż jeszcze? – zapytałem, nie bardzo wiedząc co o tym wszystkim mam myśleć. – Czy panna nigdy w życiu Niemca nie widziała?

– O! Toż nie jednego! To nie to! Po tamtej stronie Wisły pełno ich. Często tu z Galicji przyjeżdżają – wyraźnie się ożywiła, uradowana, że zacząłem z nią rozmowę.

– Ale ja nie jestem Austriakiem.

– Nie? – zdziwiła się dziewczyna. – A kimże? Prusakiem?

– Jestem Bawarczykiem. To niemiecki kraj nader od polskich ziem odległy.

Bliżej stamtąd do Francji, niż do Polski.

Popatrzyła na mnie zdziwiona:

– Proszę o wybaczenie, wielmożny panie, ale chciałabym wielmożnego pana o coś zapytać...

– Więc pytaj – przyzwoliłem łaskawie.

Przybyłem do celu podróży, nie umęczony się nazbyt, a poza tym owa wścibska dziewczyna zaczynała mnie bawić.

– Więc pytaj – powtórzyłem, widząc iż się nieco waha.

– Ale jeśli łaskawy pan nie jest Austriakiem, tylko jakimś Niemcem Bawarczykiem, to jakimże cudem tak dobrze umie po polsku?

– Ach! To cię ciekawi! Cóż, mój ojciec nieboszczyk – Panie daj mu niebo – gdy dzieckiem jeszcze byłem, kazał mnie uczyć polskiego, ot i cała tajemnica.

– Lecz po co? Na co Niemcowi, który z Polakami nie ma do czynienia, umieć mówić po polsku?

– Taką widać miał zachciankę i nic nadto. A poza tym muszę ci jeszcze wyznać, iż wśród moich odległych przodków byli i Polacy.

Sam nie wiedziałem po cóż jej to wszystko mówię. Po co w ogóle wdaję się w jakąś dysputę ze służbą. Ale ona, usłyszawszy to com na końcu wyrzekł, klasnęła w dłonie i zakrzyknęła.

– Och! Teraz to już wielmożnemu panu mogę powiedzieć. W ruinach kościoła św. Marii Magdaleny, co to przy nim dawniej ojcowie dominikanie siedzieli, zanim ich stamtąd Austriacy nie wyrzucili i tak klasztoru, jak i domu bożego nie zmarnowali, przemieniając je na magazyn, otóż w tych rozwalinach ostało się jeszcze co nieco. Niedawno, gdym się tam z ciekawości zapuściła, pod wmurowaną w ścianę tablicą z czarnego kamienia z łacińskim napisem, widziałem portret szlachcica wymalowany na blasze. Owo wy, wielmożny panie, jesteście do tego człowieka z portretu podobni niczym dwie krople wody!

Usłyszawszy te słowa, zrazu zamarłem, a potem jękając się z lekka, zapytałem:

– A... czy... czy ów portret dalej wisi w tych ruinach?

Wzruszyła ramionami:

– Nie wiem... Skąd mam wiedzieć? Widziałem go kilka miesięcy temu. Do tej pory mógł go już kto albo zabrać, albo zniszczyć. Przecież zrujnowany kościół św. Marii Magdaleny, to ulubione miejsce zabaw uliczników.

Widząc, iż skończyłem jeść, zabrała naczynia i z tacą na ręku, dygnawszy grzecznie i życzywszy mi dobrej nocy, wysunęła się na korytarz.

Siedziałem przy stole, podparłszy głowę zaciśniętymi pięściami i rozmyślałem nad tym, co mi dziewczyna rzekła. Coś nie dawało mi spokoju, coś zdawało się szeptać do ucha, bym nie czekał do rana, bym nie czekał aż świt zaróżowi nieboskłon, ale teraz, zaraz, natychmiast, ubrał się i jak najprędzej odszukał ruiny kościoła, o których wspomniała mi pokojówka.

Ubrałem się ciepło, opatrzyłem ślepą latarkę, którą ukryłem pod połą paltota i zszedłem z pięterka, gdzie znajdował się mój pokój, na dół. Za niewielkim kontuarem siedział starszy mężczyzna o długich, opadających na kark siwiuteńkich włosach i sumiastych, obwisłych wąsiskach, bez wątpienia jeszcze pamiętający cesarza Napoleona.

– A dokądże to łaskawy pan wybiera się po nocy? – zapytał, wyraźnie zdziwiony moim widokiem.

– Ot, chciałbym zażyć nieco powietrza przed snem. Zawsze tak zwykłem czynić, taki mam już zwyczaj – skłamałem, nie widząc powodu do wtajemniczenia w swoje sprawy obcego człowieka. Po czym, skinąwszy mu lekko głową, wyszedłem na dwór.

Na moje szczęście była pełnia. Ogromny księżyc wypełził już ze swojej kryjówki, gdzie się schował na dzień i rozparłszy się wygodnie na nieboskłonie, oświetlał ziemię swoją srebrzystosiną poświatą, w której przyczajone przedmioty

nabierały nierealnych kształtów, a przemykający jeszcze gdzieś ulicami ludzie, sprawiali wrażenie nieco widmowych.

Z dopytaniem się o ruiny kościoła św. Marii Magdaleny i dawnego konwentu dominikańskiego, nie miałem najmniejszych nawet trudności. Zaczepiony przeze mnie, wyglądający na drobnego urzędniczynę, przypadkowy przechodzień objaśnił szczegółowo jak tam trafić. Wyraził tylko zdziwienie, że chce mi się po nocy oglądać pamiątki przeszłości. W końcu pewnie uznał, rozpoznając po wymowie, iż jestem Niemcem, że taki sam dziwak i ekscentryk, jak i wielu innych moich współrodaków.

Do ruin było bardzo blisko – należało minąć kilka uliczek za ledwie. Doszedłem do rynku, przeciąłem go na ukos, mijając przysadzistą bryłę tkwiącego tam pośrodku ratusza i zapuściwszy się w boczną ulicę w kilka minut znalazłem się u celu.

Budowla wyglądała zaiste imponująco, ale nawet w blasku księżycowej poświaty widać było, iż znajduje się już w agonii, że dni jej żywota są policzone i że pewnie rychło młoty i oskardy rozkruszą te starożytne mury – świadków dawnej świetności miasta – obalą je, zamieniając w kupę gruzu i tak zniknie na zawsze świątynia będąca kiedyś dumą mieszkańców Sandomierza.

Zbliżyłem się do wejścia. Drzwi były rozbite, zatem bez najmniejszego nawet trudu można było dostać się do środka. Wszedłem w czarną czeluść bez chwili wahania. Tam, ukryty przed ludzkimi oczyma, wyciągnąłem ślepą latarkę i zapaliwszy ją, jałem obchodzić kościół dookoła, szukając tablicy i portretu, o którym wspomniała pokojówka.

Wędrowałem wzdłuż ścian, uważnie stawiając stopy, aby nie potknąć się i nie przewrócić na kupach gruzu, zwałowiskach śmieci, ułomkach przegniłych desek, zaścielających grubą warstwą marmurową posadzkę.

Potężne filary ginące hen, w mroku, podtrzymywały zapewne nie mniej potężne



sklepienie.

W tej przed laty wspaniałej świątyni, teraz znalazły pomieszkanie sowy i nietoperze. Nie było już ani głównego, ani bocznych ołtarzy. Widniały też puste, okaleczone ściany naw i filarów, z których powyrywano niektóre epitafia. Widząc to, jąłem tracić nadzieję, czy uda mi się odszukać to, co mnie interesowało.

Pocieszyłem się, że może jednak tak, ponieważ niektóre z tablic epitafijnych jednak nadal tkwiły na swych dawnych miejscach. Minąłem nagrobek jakiegoś rycerza w zbroi, który wspierał głowę na hełmie zwieńczonym pióropuszem. Penetrowałem teraz przestrzeń pod chórem.

I oto naraz... Tak! Oczy mnie nie myliły! Spostrzegłem sporych rozmiarów tablicę, na której po łacinie wypisano mniej więcej oto takie słowa:

*D.O.M.*

*Stanisławowi Semberkowi z Krzykos. Wielkiemu dobrodziejowi naszego klasztoru. Na wieść o tym, iż w ziemi niemieckiej żywot swój zakończył. Ku pamięci przyszłych pokoleń. Prosząc o pobożne westchnienie za jego duszę ojcowie z konwentu magdaleńskiego ten pomnik kładą. Anno domini MDC...*

U dołu była jeszcze data, ale ktoś wylupał kawałek płyty, tak iż w żaden sposób nie dało się jej odcyfrować do końca.

Spojrzałem ponad epitafium, jednocześnie unosząc do góry ślepą latarkę i oświetlając mdłym blaskiem wiszący tam, wymalowany na owalnym kawałku blachy, portret człowieka w kwiecie wieku.

Najprawdopodobniej portret ów wykonano w czasach, gdy Stanisław przebywał jeszcze w Sandomierzu. Tylko dlaczego znalazł się on u św. Marii Magdaleny, a nie w kościele św. Jakuba Apostoła, gdzie pod kaplicą Błogosławionych Męczenników Sandomierskich znajdowała się krypta grobowa rodziny Semberków? Tego nie mogłem odgadnąć.

Być może, iż to dominikanie świętojakubscy portret ów przekazali

dominikanom magdaleńskim, gdy owi wmurowali w swoim kościele płytę upamiętniającą Stanisława, ich dobrodzieja, wiedząc że i tak nigdy w rodzinnej krypcie nie będzie złożony, a zatem portret jest im zbędny.

Przyjrzałem się dokładnie obliczu tego, który wyrwał z głębin NIEZNANEGO coś lub kogoś, co niosło nieszczęście naszemu rodowi i – być może – wisiało groźbą ponad światem.

Zlustrowałem szczegółowo owo oblicze i mimo woli przeszedł mnie dreszcz trwogi. Z portretu spoglądał na mnie człowiek z półuśmiechem na ustach, mającym w sobie coś bluźnierczego. Lekko przymrużone oczy z ironią i pewnością siebie patrzyły kędyś w dal.

Dostrzegało się w nich – i malarz uchwycił to znakomicie – jakieś szaleństwo. Szaleństwo, które nie zawahałoby się chyba przed niczym, przed żadną ohydą.

Ostrożnie zdjąłem portret ze ściany i ukrywszy go pod połą paltota ruszyłem ku wyjściu. I oto naraz posłyszałem za sobą ciężki, świszczący oddech, a później krótki zduszony jęk..

Odwróciłem się gwałtownie, krzycząc:

– Kto to? Kto tu jest?!

Wówczas ujrzałem znajomą mi już sylwetkę tajemniczego mnicha, którego miałem okazję spotkać w swoim rodzinnym mieście. Ogarnęła mnie zgroza, ale przemogłem się i rzuciłem się na dziwną postać, z pragnieniem jej pochwycenia. Och! Gdybym mógł TO dostać w swoje ręce!...

Lecz w tej samej chwili, raptownie, nie wiedzieć czemu, zgasła latarka. Skądś spod sklepienia kościoła do moich uszu doleciał stłumiony koszmarny chichot...

Jak wyostałem się ze świątyni, jak i kiedy wróciłem do hotelu? Tego nie wiem.

\* \* \*

Rankiem następnego dnia obudziło mnie słońce, którego promienie wpadały do pokoju pozłocistą smugą, w niej wirowały migotliwe skierki – drobiny pyłu. Moje jedyne okno wychodziło na wschodnią stronę, a ponieważ wieczorem nie zaciągnąłem zasłon, dlatego nie dane mi było pospać dłużej.

Ale otworzyłem oczy czując się rześki i wypoczęty, zatem nie rozzłościło mnie to, iż obudziłem się z pierwszym brzaskiem dnia. Obmywszy się i przyodziawszy, teraz, w pełnym świetle jałem przypatrywać się bardzo dokładnie portretowi Stanisława Semberka, dziedzica Krzykos, a mojego odległego przodka.

Tak, pierwsze wrażenie, które odniosłem ujrzawszy go wczorajszego wieczora przy blasku ślepej latarki, potwierdziło się teraz – nie była to złudna gra światła i cieni. Patrzyłem w oblicze gładkie, nie pozbawione pewnej, szczególnego typu, nieco surowej męskiej urody. Była to twarz człowieka bez wątpienia obdarzonego ogromną siłą woli i chyba pozbawionego wszelkich skrupułów, człowieka który odrzucił precz wszelkie hamulce moralne i gotów był realizować wytknięty sobie cel nie bacząc na nic – ni na niebo, ni na piekło.

Było też w tej twarzy coś diabolicznego, coś, czego niewyraźne zarysy zdawały się przezierać poprzez gładkość oblicza. Na z lekka wykrzywionych ustach błąkał się bluźnierczy – nie umiałbym znaleźć dlań trafniejszego określenia – półuśmieszek, a nasycone szaleństwem oczy, zdawały się spoglądać w dal tak odległą, do której zwykły śmiertelnik nie umiałby dotrzeć.

Z bijącym od emocji sercem ująłem portret w obydwie dłonie i stanąwszy przed lustrem jałem spoglądać na przemian – to na swoje oblicze, to na lico wyobrażone na kawałku blachy przed wiekami przez jakiegoś nieznanego malarza.

Poczułem mrowienie w plecach. Istotnie... Tak, z całą pewnością pokojówka miała rację.

Byłem uderzająco podobny do Stanisława Semberka. Nasze rysy, kolor oczu

i włosów, kształt nosa, ułożenie podbródka, lekkie skrzywienie warg – wszystko było identyczne.

Wszakże różniliśmy się jednak. I była to różnica zasadnicza. Na portrecie, przez skórę mego przodka zdawała się przezierać dusza zła, oszpecona występkiem, skażona bluźnierstwem, ohydna i pełna nienawiści. Z mojej twarzy natomiast emanował spokój. Mną nie targały emocje i chociaż nie byłem człowiekiem idealnym, niejednego się w życiu dopuszczając grzechu, to przecież ze szpetotą Stanisława nie mogłem mieć nic wspólnego. To stwierdzenie przyniosło mi znaczną ulgę i pociechę. Jednakże uświadomiłem sobie, iż decydując się na walkę z owym kimś lub czymś, muszę pamiętać, iż na swojej drodze napotkałem przeciwnika nie mniej duchowo schorzałego, niż był nim mój antenat. O ile nie bardziej jeszcze. Jego portret dawał mi zaledwie pewien przedsmak tego, co moje oczy mogły zobaczyć w przyszłości.

Posiedziałem w zadumie jeszcze czas jakiś nad portretem, a później ukrywszy go dobrze na dnie sakwojaża, wyczekawszy pory śniadania, zadzwoniłem po pokojówkę, prosząc żeby przyniosła mi posiłek na górę, bo nie miałem ochoty schodzić do jadalni.

Posiliwszy się solidnie, założyłem ciepły paltot, okryłem głowę i wyruszyłem ma miasto z postanowieniem, iż jak najrychlej muszę odnaleźć kościół św. Jakuba Apostoła i kaplicę Błogosławionych Męczenników Sandomierskich, będącą jednocześnie grobową kaplicą mojego rodu.

Ale znalazłszy się na ulicy już wiedziałem, iż wcale nie podążę najpierw tam, dokąd zamierzałem. Oczarował mnie widok miasta, widok zaiste przepiękny, chociaż pełen smutku i przywodzący na myśl marność i znikomość tego świata, po którym przyszło nam wędrować od dnia narodzin, aż po dzień śmierci.

Oto wspaniałe budowle z dawnych epok – gotyckie, renesansowe, barokowe, wyglądały niczym najwspanialsze klejnoty, niczym najczystszej wody brylanty,

rubiny, szafiry oprawne nie w kunsztownie obrobione złoto, ale w lichą miedź albo-li też i gorszy jeszcze metal.

Tak właśnie prezentowały się pośród nędznych, niedawno wzniesionych lada jakich domów, które powpychały się między piękne kamieniczki z podcieniami. Tak wyglądały pośród chałup przyklejonych niczym jaskółcze gniazda do resztek murów obronnych, do rozwalin ocalałych ścian gmachów ongiś potężnych i przyciągających oko, dziś zaś porosłych pokrzywami, bylicą i łopianem.

Ulice, na których miejscami uchował się jeszcze bruk, pełne były dziur i wybojów. Rynek tylko, pośród którego rozsiadł się piękny renesansowy ratusz zwieńczony koronkową attyką, nieco lepsze sprawiał wrażenie. Podobnie też lepiej prezentowała się ulica wiodąca ku wspaniałej gotyckiej katedrze pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Panny Maryi.

Gdy się patrzyło na to wszystko, nieodparcie przychodziło na myśl łacińskie powiedzenie:

SIC TRANSIT GLORIA MUNDI TAK PRZEMIJA CHWAŁA ŚWIATA.

Wszakże to nie ząb czasu doprowadził Sandomierz do ruiny, lecz głupota i barbarzyństwo ludzi, którzy przez wieki całe z jakimś szczególnym uporem, z jakąś – zda się – niewytłumaczalną zawziętością, a może i nienawiścią, ilekroć tylko miastu udawało wydzwignąć się ze zgliszczy, rujnowali je na nowo. Przebiegali tędy żądni krwi Tatarzy, Rusini, Litwini, Jadźwingowie. Niszczyli je Szwedzi, wojska Rakoczego, Moskale, Austriacy... A ono, choć okaleczone i zda się w agonii – mimo wszystko uparcie, na złość, na przekór losowi, trwało nadal. Wędrowałem, dumając nad tym wszystkim, wąskimi, malowniczymi uliczkami, to mozolnie wspinającymi się pod górę, to stromo opadającymi w dół. Jakże pięknie musiało tu być wiosną, gdy piana kwiecica okrywała te jakże liczne jabłoniowe i morelowe sady, które rozsiadły się na stokach lessowych wzgórz wokół miasta, a i w mieście samym. Pomiedzy sadami, gdzieniegdzie, dostrzec można było

jeszcze resztki zdziczałych i zapuszczonych winnic – jeszcze jeden z dowodów upadku.

Wreszcie, nakarmiony do syta widokami, spuściłem się stromo opadającą uliczką spod Katedry i minąwszy dumny ongiś Zamek Królewski, teraz przemieniony na więzienie, jałem wspinać się na sąsiednie wzgórze, na którym widniał, z daleka już lśnić w promieniach słonecznych, przyciemnioną czerwienią cegły, starożytny, romański kościół świętego Jakuba.

Z dziwnym jakimś wzruszeniem i nabożeństwem zbliżyłem się doń, aż tu naraz posłyszałem skrzekliwy, starczy głos:

– Zatrzymaj się, łaskawy panie! Zatrzymaj chwilkę!

Odwróciłem się zaciekawiony. Na niskim murku, u stóp rozłożystej, sędziwej lipy, siedział szpetny staruch, przyodziany w łachmany i uśmiechał się do mnie bezzębnymi ustami.

– Czegoż to sobie życzysz, dobry człowieku? – zapytałem.

– Gdybyś tylko zechciał, jaśnie panie, mógłbym ci coś niecoś o tej świątyni powiedzieć... Daj parę kopiejek, a nie pożałujesz.

Przyjrzałem mu się bacznie. Twarz poorana zmarszczkami, małe świńskie ślepka, czerwonawy z siwawym odcieniem nos, oraz jakiś szczególny, typowy dla pijaków wyraz oczu, jasno mi pokazały, z kim mam do czynienia. Ot, widząc obcego, usiłuje wykorzystać okazję i wyłudzić parę miedziaków, za które bynajmniej nie kupi chleba, lecz miarkę czy dwie – zależy na ile wystarczy – gorzałki.

Już miałem przygadać mu ostro i iść w swoją stronę, ale... coś mnie powstrzymało.

Pomyślałem, że przecież o te kilka kopiejek nie zbiednieję, a ów, chociaż pijak, to przecież też człowiek. Niechże się za owe groszaki ucieszy. Ja nie zbankrutuję, a on będzie szczęśliwy aż do czasu, gdy wytrzeźwieje i znów odczuje głód

alkoholu.

– A cóż takiego ciekawego chcesz mi opowiedzieć? – zapytałem podchodząc do nędzarza.

– Ach! Wszystko, jaśnie panie! – zawołał rozradowany, widząc iż ryba – czyli ja – połknęła haczyk.

– Tedy mów.

– Świątynia, przed którą się znajdujesz, panie, to najstarszy gmach tego miasta. Zaś lipy, które przed nimi rosną, sam, własnoręcznie, święty Jacek sadził...

Naraz przerwał w pół zdania. Spojrzałem na niego uważnie. Zmienił się na twarzy nie do poznania. Oczy rozwarł szeroko, tak szeroko, iż omal nie wyszły mu z orbit. Na licu odmalował się wyraz przerażenia. Stał się tak blady, że aż kredowobiały. Wargi wykrzywione w dziwnym grymasie drżały mu. Widziałem, iż usiłuje coś powiedzieć, ale nie jest w stanie wydobyć głosu z krtani.

Podszedłem do niego i potrząsnąłem mocno. Ale nic to nie pomogło. Myślałem, iż – być może – nadszedł raptem, jak to częstokroć u pijaków bywa, kres jego żywota, ale byłem w błędzie.

Wiele chwil minęło, gdy wreszcie zdławionym głosem, charcząc, wyrzucił z siebie:

– Wielmożny panie, on znów tu był... Znów...

– Kto?! Człowieku, o kimże mówisz?! Któż cię tak śmiertelnie wystraszył?!

– Ach, znów tu był... – drżącą ręką wskazał niezbyt głęboki wązozik, którego wylot znajdował się prawie dokładnie na wprost wejścia do kościoła. – To chyba sam szatan...

Prędko... jeśli pan chce go zobaczyć...

Nie czekałem aż skończy, popędziłem co sił w nogach we wskazanym kierunku.

Już dość daleko, mniej więcej w połowie wązozu stał mnich, tajemniczy mnich

z kapturem nasuniętym na oczy. Na mój widok poważnie skinął głową, jakby w ten sposób chciał mnie pochwalić za to co czynię i powoli oddalił się, rychło niknąc za zakrętem.

Rozumiałem, iż nie ma sensu gonić zjawę, bo przecież nie ze zwykłym człowiekiem była to sprawa. Zdziwiłem się jednak mocno, że mnich kiwnął mi głową, jakby wyrażając aprobatę dla moich poczynań. Do tej pory bowiem byłem przekonany, iż jest raczej moim prześladowcą.

Wszakże teraz, po ostatnim wydarzeniu, doprawdy nie wiedziałem już co o tym wszystkim mam sądzić. Wróciłem zatem pod lipę, gdzie pozostawiłem swego ciężko wystraszonego niedoszłego przewodnika. Siedział tam nadal. Mimo, iż nieco już spokojniejszy, to przecież jednak ciągle wylękniony.

– I czego żeś się, człowiecze, aż tak wystraszył? Ot, zwyczajny mnich i tyle. Mnicha nigdy nie widziałeś? – pytałem, starając się by w głosie przebrzmiała nutka ironii, jednocześnie niepewnie się uśmiechając, bowiem sam – mimo iż, jeśli można tak rzec, przywykły do widoku nieznanego – również odczuwałem lęk.

– Nie mów tak, panie! – obdartus gwałtownie zaprzeczył. – To nie zwykły – jak mniemasz – zakonnik! To w ogóle nie człowiek! To chyba sam szatan, przyobleczony w ludzkie kształty!

Mój ojciec – a dawno to przecież było – powiedział, iż TO, cośmy tutaj oba widzieli, a co mi ongi opisał dokładnie, tak że nie miałem najmniejszych nawet trudności z rozpoznaniem TEGO, pokazuje się czasem w Sandomierzu, od wielu, wielu lat, w momentach zbliżających się nieszczęść.

Na chwilę umilkł, jakby dla złapania oddechu, a potem ciągnął dalej:

– Ostatni raz widziano koszmarne mnicha na pięć czy sześć lat przed zniszczeniem miasta przez Austriaków, które się dokonało roku 1809. Teraz pokazał się znowu. Och! Jezusie Nazareński! Jakieś nowe nieszczęście musi wisieć nad miastem!



– Bredzisz! – skrzywiłem się pogardliwie. – Bredzisz i tyle.

– Nie! Nie! – zaprotestował gwałtownie. – Rozpytajcie się, panie, wśród starszych ludzi, oni potwierdzą to co mówię. Bez ochyby potwierdzą.

Wiedziałem, że nie łąe. Wiedziałem, iż mówi prawdę, ale nie uważałem za stosowne ani mu przytakiwać, ani tym bardziej dzielić się z nim swoją wiedzą i domniemaniami na temat tajemniczej postaci.

Widząc że wciąż drży jeszcze, wcisnąłem mu do ręki całego rubla i rzekłem:

– No, dobrze już, dobrze. Uspokój się człowieku. Idź do karczmy i napij się gorzałki za moje zdrowie. To ci pewnie i humor poprawi, i uspokoi.

Podziękował mi, kłaniając się nisko. Potem zaś – oglądając się co i raz za siebie, jakby przepełniony lękiem, iż mnich gotów podążyć jego śladem – jął schodzić stromą drogą wiodącą ze wzgórza ku miastu.

Stałem jeszcze jakiś czas obok lipy, śledząc wzrokiem oddalającą się sylwetkę, aż wreszcie zniknęła mi z oczu. Wtedy dopiero powoli skierowałem się ku drzwiom kościelnym. Były podwójne, zwieńczone trójłukiem w kształcie liścia koniczyny, osadzone w pysznie wyrobionym z cegły, bogato ornamentowanym portalu.

Nacisnąłem wielką, żelazną klamkę i uchyliwszy masywne dębowe podwoje, wszedłem do środka świątyni. Cechowało ją surowe dostojeństwo. Ściany i filary wzniesione z czerwonej cegły, kamienna posadzka, niewielkie okienka, prosty strop drewniany, brak jakichkolwiek ozdób, wszystko to nastrajało powagą, wprowadzając przybysza w modlitewny nastrój.

Przy głównym ołtarzu akurat jakiś zakonnik dominikanin kończył odprawiać mszę. Ukląłem w jednej z ławek. Ogarnęła mnie zaduma i dziwna nostalgia. W gardle poczułem skurcz, jakiś bolesny ucisk, tak jak niegdyś, w dzieciństwie, gdy byłem smutny i zbierało mi się na płacz.

„– Mój Boże! – myślałem. – Oto jestem w miejscu, w którym przed wiekami

bywali moi przodkowie... Ci sami, którzy spoczywają tu snem wiekuistym, czekając Dnia Sądu Ostatecznego, kiedy to na głos trąb archanielskich umarli powstaną z grobów i stawią się przed obliczem Wiekuistej Sprawiedliwości.”

Celebrans zakończył mszę i odszedł od ołtarza.

Podniosłem się z ławki i począłem obchodzić całą świątynię wokoło. Na jednej ze ścian naliczyłem sporo tablic epitafijnych z herbami. Niektóre były czytelne, niektóre nie. Jedne pisane literami, których odcyfrowanie nie stanowiło dla mnie najmniejszego nawet problemu, inne zaś takimi, których kształt był mi zupełnie obcy i chociaż wiedziałem, iż są to łacińskie napisy, nie byłbym w stanie odczytać z nich ani jednego słowa.

Z biciem serca zbliżyłem się do kaplicy Męczenników Sandomierskich. Oglądałem obraz w ołtarzu, oglądałem freski przedstawiające rzeź dominikanów, odczytałem ich imiona wypisane u wejścia.

Później zaś jałem bacznie rozglądać się dookoła, szukając gdzie też mogłoby znajdować się wejście do naszej krypty grobowej, a gdy je w końcu znalazłem, miałem już w głowie ułożony cały plan.

Westchnąłem do Boga za dusze moich przodków, których prochy kryły się pod tą posadzką, po czym nie śpiesząc się, wyszedłem na dwór.

Ponieważ wspaniała słoneczna pogoda utrzymywała się nadal, postanowiłem, iż nie zmarnuję takiej doskonałej okazji, zażyję ruchu i powietrza. Krążyłem więc wąskimi uliczkami, przechadzałem się brzegiem Wisły, wpatrując się jak powoli, bez pośpiechu, jednako niezmiennie od wieków, toczy swoje szare wody kędyś hen, daleko ku morzu.

Było już dobrze po południu, gdy jał mi dokuczać głód. Udałem się zatem na powrót do hotelu, gdzie kazałem sobie dać jeść to, co mają najlepszego. Zaspokoiwszy nasyciwszy i napoiwszy, wdrapałem się do siebie na pięterko i rozdziawszy z wierzchniego odzienia, postanowiłem zdrzemnąć się nieco przed

czekającą mnie nocną wyprawą.

Ułożyłem się zatem wygodnie w pościeli i przymknąwszy oczy usiłowałem zapaść w sen.

Niestety, wszelkie wysiłki spełzły na niczym. Byłem nazbyt podniecony tym, co miało nadejść, abym mógł bez oporów pogrążyć się w otchłani niepamięci.

Przewracałem się z boku na bok godzinę może, albo i więcej, aż wreszcie widząc, iż próżno się męczę, wstałem, ubrałem się na nowo i usiadłem przy stole, zastanawiając się, jak też spędzę czas do zmroku. Na miasto ponownie już mi się wychodzić nie chciało.

Wszakże dzień dość szybko się kurczył, zatem jąłem przygotowywać się powoli do tego, co zaplanowałem uczynić tej nocy. Opatrzyłem ślepą latarkę i uzbroiłem się w krótki, ale bardzo ostry i mocny sztylet z doskonałej stali. Miał mi on posłużyć zarówno do ewentualnej obrony – jeśliby oczywiście było się przed kim bronić – oraz, może bardziej jeszcze, jako dość uniwersalne narzędzie, mogące się przydać, gdyby coś przyszło podważyć, przeciąć...

Otuliwszy się szczelnie paltotem, pod którego połą – tak jak poprzedniego wieczora – ukryłem ślepą latarkę, wyszedłem z hotelu. Stojąc już w progu, odwróciłem się i poinformowałem tkwiącego za kontuarem starca, iż na tę noc nie wrócę i można mnie oczekiwać dopiero jutrzejszego ranka.

Skinął na to beznamiętnie głową i przymknąwszy oczy jął kołysać się miarowo w tył i w przód, w tył i w przód.

Nie było jeszcze całkiem ciemno, ale mrok z minuty na minutę gęstniał. Przyspieszyłem zatem kroku, aby dotrzeć przed kościół św. Jakuba znaną już sobie drogą, zanim zapadnie całkowita ciemność.

Zdążyłem w sam czas. Przez niewielkie okienka świątyni przesączał się nikły blask płonących we wnętrzu świec. Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Mnisi odprawiali jakieś nabożeństwo.

W ławkach siedziało kilkanaście osób – przeważnie starszych kobiet – mozolnie przebierających palcami paciorki różańca.

Nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Powolutku, aby nie rzucić się w oczy, krok po kroku, od samych drzwi wejściowych znajdujących się w połowie północnej nawy, cofałem się ku mrocznemu kąтови pod chórem. Dotarwszy tam, ukryłem się za posągiem jakiegoś świętego i cierpliwie czekałem końca nabożeństwa.

Nie musiałem czekać długo. Mnisi odeszli do klasztoru. Ludzie z ławek pojedynczo wychodzili z kościoła. W końcu wokół ołtarza jął się krzątać starowinka – zakrystian. W ręku dzierżył długie gasidło, którym – jeden po drugim – zduszał płomyki kolejnych świec.

Wreszcie zapanowała prawie kompletna ciemność, rozpraszana tylko mdłym blaskiem pozostałej już tylko jednej jedynej jarzącej się niewielkiej łożówki, tkwiącej w przenośnym mosiężnym lichtarzyku.

Ukończywszy swoją pracę, staruszek – zakrystian wziął go do ręki i oświetlając sobie drogę, zniknął w bocznym wejściu, wiodącym widać wprost do klasztoru.

Ogarnęła mnie cisza i ciemność. Cisza taka, iż słyszałem bicie własnego serca i pulsowanie krwi w skroniach. Ciemność była prawie namacalna, a tak gęsta, że nie widziałem wyciągniętej przed siebie ręki.

Zastanawiałem się czy nie warto byłoby już zabrać się do zaplanowanej pracy, doszedłem jednak do wniosku, iż może lepiej uczynię, jeśli odczekam jeszcze jakiś czas, aż mnisi udadzą się na spoczynek, bo tylko wtedy będę mógł mieć pewność, że nikt mnie tu nie zaskoczy.

Usiadłem więc wprost na posadzce, chociaż ciągnęło od niej dojmująco zimno, oparłem głowę o cokół, na którym stał posąg świętego i przymknąłem oczy...

\* \* \*

Zbudził mnie przenikający aż do szpiku kości ziąb. Całe ciało miałem skostniałe i wstrząsały mną dreszcze. Z trudem podźwignąłem się na nogi.

W pierwszym momencie po przebudzeniu nie mogłem uzmysłwić sobie tego, gdzie się znajduję, ale już po chwili przypomniało mi się wszystko.

Skądś, z oddali, do moich uszu doleciał dźwięk zegara wybijającego godziny. Liczyłem uderzenia. Naliczyłem ich dwanaście – była zatem północ. Gdy zegar na dzwonnicy katedralnej umilkł (bo był to bez wątpienia głos owego zegara), drżącymi rękoma zapaliłem latarkę i ująwszy ją jedną ręką, drugą zaś zaciskając na rękojeści sztyletu, powoli ruszyłem w kierunku krypty grobowej.

Serce waliło mi w piersi niczym oszalałe...

Szedłem powoli, ostrożnie stawiając kroki, aby czasem nie obudzić drzemiącego w pustej świątyni echa. Zbliżywszy się do klapy maskującej otwór wiodący w głąb krypty, przyklęknąłem i ująwszy oburącz za uchwyt, uniosłem ją do góry.

Była ciężka, ale przecież dałem radę. Odciągnąłem ją w miarę delikatnie na bok i chociaż starałem się to uczynić jak najciszej, nie mogłem uniknąć wywołania hałasu. Zamarłem zatem w bezruchu, nasłuchując, czy aby moje poczynania nie przywabią tu mnichów, jeśli – nie daj Boże!

– ich uszu doleciał rumor, którego narobiłem w kościele.

Wszakże niepotrzebnie się obawiałem. Mijała minuta za minutą, czas włókł się w nieskończoność, a nie pojawiał się nikt.

Zadowolony, iż pierwsza część zadania przebiegła nader gładko, chociaż przygotowany byłem na większe trudności i komplikacje, ostrożnie, bacząc aby się nie przewrócić, opuściłem się w głąb lochu. Szedłem niskim i wąskim korytarzykiem, oświetlając sobie drogę uniesioną ku górze latarką.

Rychło dotarłem do dosyć obszernej, sklepionej krypty, znajdującej się pod posadzką kaplicy Męczenników. Jeśli miałem wcześniej nadzieję, iż ujrzę tutaj jeśli

nie sarkofagi, to chociaż porządne metalowe trumny swoich antenatów, to okazało się, iż byłem w błędzie.

Owszem, trumien tutaj nie brakowało. Pod jedną ze ścian piętrzył się ich cały stos. Wszystkie były zbutwiałe i na poły przegniłe, bez śladu ozdób. Zapewne praktyczni mnisi, dowiedziawszy się, iż już żaden Semberk nie spocznie w owym podziemiu, wykorzystali je, chowając tutaj innych zmarłych.

Prócz trumien, w których poprzez pozapadane wieka i powybijane dziury dało się dojrzeć ludzkie szczątki, a nawet gdzieniegdzie przetrwałe kawałki tkanin, w jakie niegdyś nieboszczycy byli przyodziani, to w krypcie znajdowały się też i liczne luźne kości, ułożone we wcale spory stos.

Zastanawiałem się, bacznie przyglądając się temu wszystkiemu, gdzie mogą znajdować się prochy Semberków, aż w końcu doszedłem do przekonania, iż zapewne ich trumny po pogrzebie zostały po prostu zakopane w żółtej glince podziemia i nigdy nie znajdowały się na wierzchu.

Nawet nie dziwiłem się mnichom, iż na swój sposób wykorzystali owo – puste przecież pomieszczenie. No bo niby dlaczego miało stać przez lata i stulecia niewykorzystane? Tak, uczynili słusznie, wykorzystując kryptę do pochówków innych ludzi. Kogo? Nie sposób było tego dociec. Może bogatych mieszczan, którzy za zaszczyt poczytywali sobie znalezienie miejsca wiecznego spoczynku tu właśnie, a nie zwyczajnie, na cmentarzu obok jednego z parafialnych kościołów?

Przysiadłem na ułamku kamiennego ciosu, który nie wiedzieć po co ktoś tutaj przytaszczył.

Byłem pełen zawiedzionych nadziei. Oto wszystko rozwiało się niczym dym z ogniska w nagłym podmuchu wiatru. Mniemałem, iż znajdę tutaj coś, co pomoże mi rozwikłać rodzinną tajemnicę, uwolnić się od przekleństwa zawisłego ponad moją głową. A tymczasem?

Tymczasem trafiłem – przejechawszy setki mil i włożywszy w owo tyle

wysiłku! – na zwyczajną, nie różniącą się niczym od niezliczonych innych, znajdujących się jak Europa długa i szeroka, kryptę grobową. Kryptę pełną truchel cuchnących, zatęchłą i wilgotną.

Obraz jaki się tutaj roztaczał, jeszcze kilka miesięcy temu wywołałby we mnie zapewne dreszcz grozy i obrzydzenia. Tymczasem teraz? Tak już przywykłem do zjaw, upiorów, ludzkich szczątków, niesamowitości, iż nie czynił on na mnie zgoła większego wrażenia.

Już miałem się podnieść i co rychlej opuścić zatęchłe i niemiłe miejsce, aby doczekać świtu i otwarcia kościoła, ukryty za posągami świętego, gdy oto naraz... Tak!... Słuch mnie nie mylił!...

Oto z korytarzyka prowadzącego od wejścia do krypty doleciał mnie odgłos ciężkiego stąpania i szmer oddechu. Niczym błyskawica przeleciała mi przez głowę myśl:

„– Och! Zostałem odkryty! Tego tylko brakowało! Któż mi uwierzy, iż nie przybyłem tutaj w złych zamiarach. Zapewne wezmą mnie za zwyczajnego rabusia, złodzieja okradającego groby.

Ani chybi trafię przed sąd! Co zrobić?! Co zrobić?!”

Wszakże nic mądrego nie byłem w stanie wykoncypować. W głowie miałem pustkę.

„– Może ukryć się za trumnami? Nie, to na nic. Zaciekawiony zakonnik bez wątpienia przeszuka – i pewnie nader dokładnie – całe podziemie. A jeśli nawet i nie, to zasunie klapę i uwięzi mnie w owym grobowcu. Czy dam radę odsunąć ją potem, wypychając od spodu? Jest przecież ciężka. Jeśli dam radę, to ocaleję, a jeśli nie?...”

Wolałem o tej drugiej ewentualności w ogóle nie myśleć. Długie dnie i noce, a właściwie tylko jedna nie kończąca się noc, bowiem przecież w ciemności zatraciłbym poczucie upływającego czasu męki głodu, męki pragnienia. Wreszcie

skon, będący ulgą i przynoszący wybawienie od strasznych, piekielnych nieomal katuszy. Pewnie bym krzyczał, wzywał ratunku, ale czy mój głos wydobyłby się na powierzchnię? Zaalarmował ludzi? Wątpię.

Kroki były coraz bliższe, oddech wyraźniejszy.

Postanowiłem spokojnie czekać na przybysza, a gdy ów wejdzie do krypty obezwładnić go, związać, zakneblować i wyprowadzić z podziemia, by w ukryciu zaczekać z nim do rana na otwarcie kościoła.

A skoro tylko okaże się to możliwe, wymknąć się ze świątyni, czym prędzej udać się do hotelu, spakować i w godzinę przedostać na drugą stronę Wisły, do Austrii, gdzie byłbym już bezpieczny.

U wylotu korytarzyka zamajaczyła ciemną plamą ludzka sylwetka. Uniosłem do góry latarkę, oświetlając nadchodzącego, a jednocześnie gotując się do ataku, gdy oto naraz... zdrętwiałem ze zgrozy. Ramię ze światłem gwałtownie opadło ku dołowi, a z gardła wyrwał mi się zduszony, chrapliwy krzyk przerażenia, który przeszedł na końcu w charkot.

Włosy zjeżyły mi się na głowie, jąłem szczekać zębami, a w piersi poczułem lodowaty chłód i dziwny jakiś ucisk, stalowymi kleszczami obejmujący moje serce.

Czoło zrosił mi zimny pot...

Boże! Oto ujrzałem kogoś, kogo zupełnie nie spodziewałem się ujrzeć! Przede mną stał nie jeden z dominikanów mieszkających w klasztorze przylegającym do tego kościoła, lecz... tajemniczy mnich!

Posuwał się w moją stronę powoli, uważnie stawiając krok za krokiem, jakby lękając się, iż może się potknąć i przewrócić. Ja zaś, również krok za krokiem, cofałem się pod jedną ze ścian, aż wreszcie oparłem się plecami o stos zbutwiałych trumien.

Jedna z nich pod naciskiem pękła i rozpadła się na części, a na mnie posypało się próchno i zbutwiałe ludzkie szczątki. Pod nogi potoczyła się żółtawobiała



czaszka, szczerząc zęby w niesamowitym, ohydny trupim uśmiechu. Jej dolna szczęka, odpadłszy, oparła się o jeden z moich butów. Ze wstrętem odskoczyłem na bok..

Tajemniczy mnich zatrzymał się o kilka kroków przede mną i gestem nakazał spokój. Byłem jak sparaliżowany. Mózg przesywała mi – raz po raz – jedna tylko myśl:

„– Chwycić sztylet... Uderzyć w zjawę... Uderzyć... Uderzyć... Uderzyć...”

Ale nie mogłem wykonać najmniejszego choćby ruchu.

I oto posłyszałem syczący szept:

– Nie lękaj się... Nie lękaj... Nie uczynię ci krzywdy...

W moim gardle wezbrał dziwaczny jakiś bulgot, którego nie mogłem początkowo przemóc, aż wreszcie wyartykułowałem zdanie:

– Kim jesteś?... Czemu mnie prześladujesz?...

– Jesteś w błędzie, młodzieńcze. Nie prześladuję cię, a wręcz przeciwnie – strzegę i bronię.

– Przed czym? Przed kim?

– Przed wszystkim i przed każdym, ktokolwiek lub cokolwiek mogłoby ci zagrozić lub stanąć na drodze przeznaczenia.

– Jakiego przeznaczenia? Co to znaczy... zjawo?

– Zostałeś przeznaczony do wykonania rzeczy wielkich i doniosłych, rzeczy, które zmienią oblicze świata, rzeczy które uczynią ludzkość czymś zgoła innym niżli była dotychczas...

Umilkł, jakby czekając jakiejś mojej reakcji na to, co usłyszałem z jego ust.

Ale ja milczałem, milczałem uparcie, nie wiedząc co mogę odrzec, nie rozumiejąc znaczenia wyrzeczonych przez przybysza słów... Nie pojmowałem po co tu przyszedł i czego chce ode mnie. I znów dobiegł mnie syczący szept:

– Najwyższa pora... iżbyś zajrzał za zasłonę... Uchylił rąbka TAJEMNICY.

Jeśli przemożesz sam siebie, jeśli pokonasz własną słabość, własny lęk – zwyciężysz. Będziesz mógł odkryć coś, czego istnienia – realnej obecności w szarym codziennym życiu człowieczym niewielu się tylko domyśla, a jeszcze mniej jest tego pewnych... Wszakże ty miałbyś nad nimi wszystkimi przewagę, niezaprzeczalną przewagę – oni muszą zadowalać się wiarą, ty zaś posiadalbyś wiedzę.

Zamilkł, ale wiedziałem iż nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. Jeszcze nie teraz. Zamilkł, by dać mi czas na to, by jego słowa dotarły do wnętrza mojego umysłu, zagnieździły się w nim, spęczniały, zaczęły kiełkować. A potem mówił dalej:

– Czy nie pragniesz osiąść WIEDZY? Ach! Ja wiem, że pragniesz. Wiem to od czasu, gdy będąc dzieckiem z zachłannością wpatrywałeś się w mapę wiszącą w gabinecie twego ojca, zastanawiając się, cóżby takiego mogła ona przedstawiać... I oto nadszedł czas... chwila, w której możesz zdecydować... Ach! Wiedza kusi, wiem to. Nie daje spokoju... Wiedza doczesna, ziemską, nijaką, dotykającą błahych, nieważnych problemów. Nawet taka wiedza. Ty zaś... Ty zaś masz teraz szansę... Jedyną i niepowtarzalną okazję osiąść WIEDZĘ ZUPEŁNĄ, JEDYNĄ I OSTATECZNĄ... Możesz stać się... równy BOGU!

Usiłowałem odpowiedzieć coś na to. Otwierałem usta, by mu odpowiedzieć. Ale on podniósł w górę obie dłonie w nakazującym geście:

– Cicho! Nic nie mów. Nic nie mów. Zastanów się, przemyśl wszystko. Mamy czas. Do rana daleko.

Podszedł jeszcze bliżej. Tak blisko, iż słyszałem jego ciężki oddech.

Przymknąłem oczy. Nie wiem czemu. Uczyniłem to jakby wbrew sobie. I oto pod powiekami jęły mi się przesuwać obrazy niczym ze snów. Pełne widoków i postaci, których nigdy nie spotyka się na jawie, przesycone barwami nieznanymi naturze.

Słowa tajemniczego mnicha, które był przed chwilą wypowiedział wniknąwszy do umysłu, wcale nie chciały tam pozostać, rozpełzły się po całym moim ciele, przeniknęły do każdej tkanki, potraçały każdy nerw, nasycaly kości. I już wiedziałem, że CHCĘ TEJ WIEDZY, o której wspominał, że dla niej gotów byłbym na wszystko, że nic już dla mnie oprócz niej się nie liczy.

Pojąłem, iż osiąść tę wiedzę, znaczy nic innego, tylko zamieszkać w świecie, który przesunął mi się pod powiekami. I że znaczy przestać być człowiekiem, a stać się jedną z tamtych nieziemskich istot. I zrozumiałem też, iż owe obrazy, przemykające pod przymkniętymi powiekami, niosące w sobie – zda się – cząstkę, ułomek przedwiecznej mądrości, to ledwie przedsmak tego, co mi może być dane zakosztować.

Tylko kędyś, na dnie duszy, słaby, na wpół zduszony głos, przytłumiony natłokiem nowych, niezwykłych wrażeń, feerią barw, zdawał się ostrzegać:

„– To ułuda. Omamienie. Strzeż się. Strzeż, bo zginiesz!”

Wszakże natychmiast nowa fala obrazów przelewała się przeze mnie, ukazując świat inny od znanego dotychczas. Nie płaski, szary, pospolity, lecz cudowny, choć szalony i niesamowity.

– Chcę tej wiedzy. Daj mi ją. Daj.

Mój własny głos dobiegł do mnie z niezmierzonej dali, jakby skądś, dokąd ja sam miałem dopiero dotrzeć...

– Jeszcze tylko niewielka próba. Jeśli uda ci się przemoc najsilniejsze z człowieczych uczuć – strach, w przyszłości dostąpisz łaski objawienia CAŁEJ WIEDZY – posłyszałem syczący szept.

– Czy gotów jesteś na to? Ostrzegam. Jeśli się ulęknie, już na zawsze pozostaniesz martwy w tym podziemiu...

Ależ tak, byłem gotów. Pożądałem czegoś, co mi obiecano, chociaż przecież nie wiedziałem do końca czym owo jest, zaledwie przeczuwając mające nadejść!

Ależ tak, byłem gotów! Nikt i nic nie mogłoby mnie chyba powstrzymać przed wyrażeniem zgody.

Uczyniłem to.

I wówczas mnich, powoli, jakby z namaszczeniem, a jednocześnie starając się w ten sposób spotęgować nastrój wyczekiwania, spotęgować do tego stopnia, iż zacząłem odczuwać duchowy ból z owego powodu, począł unosić obydwie ręce ku górze.

Dłonie były zwyczajne, ludzkie, o smukłych kościstych palcach z pogrubiętymi nieco stawami, a powleczone żółtawą, cienką skórą. Wreszcie ujął owymi palcami brzegi kaptura i odrzucił go do tyłu jednym zdecydowanym ruchem, odsłaniając mi swoją twarz...

Spojrzałem w nią i przejęty grozą zachwiałem się na nogach. Choć psychicznie przygotowany na zobaczenie czegoś potwornego, nie spodziewałem się aż takiego widoku.

I naraz poczułem jak lęk napływa skądś, nie wiedzieć skąd – zda się z każdej strony. Emanuje i z istoty, która stoi przede mną i ze ścian krypty i z nieogarnionych pustek kosmosu, z głębin ziemi, z samych trzewi piekła. Lęk tak potężny, że aż ugiąłem się pod nim, niczym pod nazbyt wielkim brzemieniem, które narzucono na moje barki.

Stałem. Stałem, ale nie mogłem ustać. Stałem, ale nie mogłem upaść. Chwiałem się na boki, jęcząc i skamlając. Skowycząc niczym katowany pies, charcząc i stękając.

A on z odkrytą głową pochylał się ku mnie i patrzył. Przenikał mnie wzrokiem do samego środka.

Zaglądał w głąb mózgu, odnajdując w nim najtajniejsze skrytki – zda się – niedostępne nawet dla samego Boga. Tym przenikliwym spojrzeniem rozdzierał mi serce, wyłuskując zeń jedno uczucie po drugim... Jedno po drugim... A potem je

miażdżył i unicestwiał, pozostawiając mi samą tylko pustkę i nicość.

Patrzyłem w ową twarz – w twarz CZEGOŚ, dla czego nie umiałbym znaleźć nazwy. Twarz, z grubsza może przypominająca oblicze człowieka, na poły przegniłą, o spękanej skórze, spod której przezierało sinofioletowe, z czerwonymi żyłkami, mięso.

Jego oczy okrągłe niczym u ryby, wylupiaście i nieruchome, o barwie szkarłatnej z zielonkawymi, prószącymi fosforycznym blaskiem źrenicami, rozstawione szerzej niż u ludzi, po obydwu stronach czegoś, co być może kiedyś było nosem, teraz zaś tylko dwoma zaognionymi i zropiałymi otworami na środku twarzy.

TO rozchyliło pokryte czarniawymi wrzodami wargi, odsłaniając ostre i cienkie niczym szydła szewskie zęby, spomiędzy których wysunął się długi, wąski, rozwidlony na końcu – niczym węzowy – język. Zachybotał przez chwilę w powietrzu i na powrót zniknął w potwornej gębie.

Czaszka monstrum, pozbawiona uszu i owłosienia, pokryta była szarawą łuskowatą skórą i to się wysuwała, to chowała głębiej w luźny otwór habitu.

Tę twarz ohydną, szaloną, bluźnierczą, twarz niczym z koszmarne sennego majaku, stworzyć mógł tylko demiurg schorzały w swojej wyobraźni, opętany nienawiścią, zdziczały, potworny.

I owa twarz jęła nachylać się coraz bardziej i bardziej ku mojej twarzy, a ja nie miałem mocy ni woli, by się odsunąć, ani nawet aby zamknąć oczy.

Rozwidlony język znów wysunął się spośród szydlastych zębów – dotknął moich policzków, źrenic, omiótł włosy i na koniec... Och, co za tortura!!!... wsunął się pomiędzy moje wargi, wniknął do ust i wsączył w nie lepłą maź o smaku miodu, a zapachu piołunu.

Wówczas, gdy owa maź rozpływała mi się po podniebieniu i przetykiem ściekała do żołądka, świat cały zawirował mi przed oczyma. Jąłem unosić się wysoko, coraz wyżej i wyżej, ponad ziemię, ponad chmury. Tkwiałem zawieszony

między gwiazdami na firmamencie granatowego nieba i sam byłem jedną z gwiazd.

Już nie lękałem się bluźnierczego monstrum. Zrozumiałem, iż jest mi bliskie, że wyobraża tę część mojej natury, która przez cały ów czas, od dnia narodzin, aż do minionej chwili żyć musiała przytłumiona, zniewolona, zepchnięta kędyś w mroczną czeluść mojego jestestwa, bez szansy na to, aby i ona zakosztowała uroków życia, nasyciła się blaskiem słonecznych promieni.

Powoli, bardzo powoli wpełzłem na powrót do swojego ciała, które skulone, zwinięte w kłębek, przypominające zewłok trupi, leżało pośrodku krypty, a nad nim pochylało się owo COŚ.

Poruszyłem palcami u jednej ręki, zacisnąłem drugą w pięść. Tak, już mięśnie i ścięgna były posłuszne mózgowi. Odzyskiwałem władzę nad samym sobą. I wtedy znowu doleciał mnie syczący szept:

– A zatem wytrzymałeś próbę... Dane ci będzie dokonać wielkich rzeczy...

Spojrzałem w szkaradną twarz bez obrzydzenia i bez lęku.

– Czemu zabiłeś mego stryja Sebastiana? – zapytałem.

– Stał na twojej drodze. Stał na NASZEJ drodze. On by nie pozwolił, aby dopełniło się to, co przed wiekami zostało rozpoczęte. Dlatego musiał odejść. Musiał... A teraz... Teraz mój czas dobiegł kresu... Odchodzę... Lecz nim się to stanie, muszę przekazać ci coś jeszcze.

– Cóż takiego?

– Czyżbyś zapomniał, w jakim celu przybyłeś do owej krypty?

– Nie, nie zapomniałem. Lecz nie znalazłem niczego, żadnej wskazówki, żadnego dokumentu...

– Och! Przyszedłeś szukać tutaj pergaminów? Głupcze!

Do moich uszów doleciało coś, co przypominało trochę śmiech, a trochę ciche końskie rżenie.

Monstrum wyciągnęło chudą dłoń i wskazując nią miejsce nieopodal

zwałowiska ludzkich kości, rzekło:

– Tutaj kop, a gdy znajdziesz coś, co zostało przed laty ukryte, zrozumiesz, iż nie będzie ci już potrzebny taki przewodnik, ani opiekun jak ja. Kop! Czemu zwlekasz? Kop! Lada chwila się rozwidni!

Rzuciłem się na kolana, wbijając ostrze sztyletu we wskazane mi miejsce i jałem ryć ziemię.

Uniosłem głowę raz jeszcze chcąc spojrzeć na swojego niesamowitego towarzysza, lecz okazało się, iż jestem już sam.

Wróciłem więc do przerwanej czynności.

Pomny słów ohydneho mnicha, nie próżnowałem. Glina, wbrew pierwotnym przypuszczeniom nie ustępowała tak łatwo pod uderzeniami sztyletu. Rozkruszałem zatem warstwę po warstwie, a później luźną już ziemię wygrzebywałem po prostu dłońmi, odgarniając ją na bok. Praca posuwała się powoli, ale jednak posuwała, tak iż dość szybko wydłubałem całkiem spory i całkiem głęboki otwór.

Zastanawiałem się, jak długo jeszcze może potrwać kopanie, gdy naraz ostrze zazgrzytało o jakiś metalowy przedmiot, na który natrafiło. Gorączkowo powiększałem i poszerzałem jamę, aż nareszcie dostrzegłem wieko metalowej szkatuły. Podważając ją sztyletem i palcami, które przy okazji poobcierałem, wprost wyrwałem ją z ziemi.

Przez chwilę pomyślałem o tym, aby nie czekając otworzyć wieko i zajrzeć do wnętrza, doszedłem przecież do wniosku, iż i tak już wiele czasu zmitrężyłem w krypcie i jeśli nie chcę zostać tutaj odkryty przez mnichów, winienem co rychlej wydostać się na powierzchnię i zasunawszy klapę maskującą otwór, samemu skryć się za figurą świętego.

Jak pomyślałem, tak też i uczyniłem. W pośpiechu zapomniałem zabrać sztylet z grobowca, ale umieściwszy już klapę na swoim miejscu, nie chciałem ponownie

otwierać krypty i wracać po zgubę. Cóż, nie była to jakaś szczególnie cenna broń. Zwykły sztylet przywieziony przed laty przez mojego ojca, jako pamiątka z podróży do Italii czy Hiszpanii.

Skoro tylko uporałem się z klapą, mocno zaciskając palce na znalezionej w krypcie szkatułce, ukryłem się w ciemnym zakątku pod chórem, dodatkowo osłaniany przez figurę świętego.

Chociaż jeszcze brzask nie przedarł się przez maleńkie okienka do wnętrza świątyni, ujrzałem – tego co minionego wieczora – zakrystiana, który podszedł do ołtarza z płonąca łożówką w ręku.

W jej mdłym blasku krzątał się pracowicie, wygładzając obrus i wyrównując lichtarze stojące po obydwu stronach tabernakulum. Wreszcie począł zapalać tkwiące w nich świece, wyraźnie przygotowując wszystko jak należy, do odprawienia porannej mszy.

Skoro uporał się z tym, poczłapał ku drzwiom wejściowym i włożywszy w otwór zamka wielki żelazny klucz, przekręcił go ze zgrzytem.

Siedziałem w swojej skrytce nie śmiejąc oddychać, lękając się, aby starowinka mnie nie odkrył. I chociaż – wiedziałem to – nie zawahałbym się go zadusić, by móc swobodnie zbiec, wolałem nie ryzykować.

I miałem rację zdobywając się na jeszcze trochę cierpliwości. Rychło zakrystian opuścił kościół, udając się do jakichś innych zajęć, a ja nie czekając, szybko zmieniłem miejsce.

Wyszędłszy z kryjówki, usiadłem w jednej z ławek i przysłoniwszy twarz dłońmi udawałem człowieka zatopionego w modlitwie, który czeka aż wyjdą ze mszą.

Powoli poczynali schodzić się ludzie. Żegnali się, maczając końce palców w miedzianej kropielnicy przytwierdzonej u stóp krucyfiksu, do filara znajdującego się prawie na wprost wejścia.



Jakiś mężczyzna usiadł obok mnie. Usunąłem się nieco na bok, robiąc mu więcej miejsca.

Przyjął to ze zrozumieniem i skinąwszy mi głową, rozparł się wygodnie.

Najchętniej uciekłbym z kościoła już, zaraz, natychmiast, nie czekając nabożeństwa.

Ciekawość co może zawierać szkatułka, jakąż to przedziwną tajemnicę kryje, nie dawała mi spokoju, wprost spalając mnie od wewnątrz.

Nie ruszałem się przecież, tkwiąc na zajęтым uprzednio miejscu, aby przedwczesnym wyjściem nie wzbudzić czyjegoś zainteresowania. Wolałem nie zwracać na siebie uwagi.

Teraz, gdy znajdowałem się już o krok zaledwie od rozwikłania – ostatecznego rozwikłania – rodzinnej tajemnicy, wspominając niesamowite nocne przeżycia, nie miałem zamiaru ryzykować czymkolwiek, czy w jakikolwiek sposób narażać swoją zdobycz. O tym, iż mógłbym ją utracić, nie chciałem nawet myśleć.

Nareszcie posłyszałem dźwięk sygnaturki i ujrzałem celebransa zbliżającego się do ołtarza.

Msza zdawała się wlec w nieskończoność, chociaż w rzeczywistości była przecież krótka.

Wszakże wszystko co ma początek, musi mieć i koniec.

Z ulgą powitałem słowa kapłana, gdy odwracając się od ołtarza twarzą do ludu, wyrzekł:

– *Ite missa est* – Idźcie, msza skończona.

Pierwszy podniosłem się z ławki i ruszyłem ku wyjściu.

Na dworze owionęło mnie chłodne jesienne powietrze. Chociaż drżałem od chłodu, to jednak otrzeźwiło mnie ono nieco. Noc – nieprzespana, pełna niesamowitych przeżyć – bardzo mnie wyczerpała.

Teraz dopiero poczułem jaki jestem zmęczony. Chociaż usiłowałem

przyspieszyć kroku, nie udawało mi się owo zupełnie. Szedłem więc powoli, schodząc stromą uliczką w dół, ku podstawie Wzgórza Zamkowego.

Minąłem drewniany mostek przerzucony nad dawną fosą, teraz na wpół zarośniętą jakimś zielskiem i wierzbiną, i jąłem na odmianę mozolnie wspinać się ku górze.

Gdy osiągnąłem szczyt Wzgórza Zamkowego, który łagodnie przechodził w skłon Katedralnego, musiałem zatrzymać się dla odpoczynku i złapania oddechu. Oparłem się o chropawy pień starej powykręcanej akacji, o grubej spękanej korze. Do moich uszu dolatywał głos dzwonów wzywających wiernych na poranne msze do innych kościołów miasta.

Nie wiedzieć czemu, ich głosy zirytowały mnie, a przecież zawsze lubiłem wsłuchiwać się w te – mniej czy bardziej – melodyjne dźwięki. Poczulem wprost fizyczną odrazę do owych dzwonów. Jakaś przedziwna, nieznana mi wpród nienawiść, odezwała się w mojej duszy.

Nienawiść ku wszystkiemu i wszystkim...

Odpocząwszy, powędrowałem dalej.

Teraz miasto nie czyniło już na mnie żadnego wrażenia. Mierziło mnie nawet. Najchętniej opuściłbym je jak najrychlej i podążył tam, kędy COŚ mnie wołało. Bo od chwili rozmowy z poczwarą, która odwiedziła mnie w grobowej krypcie, najwyraźniej czułem zew NIEZNANEGO, tęsknotę ku czemuś, co mnie pożałowało...

Nareszcie dowlokłem się do drzwi hotelu. Starzec – zda się przyrośnięty do krzesła ustawionego poza kontuarem – uprzejmie mnie przywitał, lecz ja minąłem go bez słowa, udając się wprost do swego pokoju na pięterku.

Znalazłszy się już tam, nareszcie spokojny, ciesząc się, iż po tylu trudach w końcu dane mi będzie zajrzeć do środka tajemniczej szkatułki, przekręciłem od wewnątrz klucz w zamku i czując się w ów sposób zabezpieczony przed niepowołanymi osobami, wyciągnąłem z zanadrza cenne znalezisko.

Alem srodze się mylił, sądząc, iż nareszcie będę miał spokój. Oto bowiem ktoś mocno i energicznie zastukał do drzwi. Zakławszy z cicha, zapytałem:

– Któż tam?

– To ja, pokojowa. Proszę, niechże wielmożny pan otworzy.

– Nie mam teraz czasu. Przyjdź później.

– Ale proszę jaśnie pana, tak nie można...

Byłem wściekły, wsunąłem szkatułkę do sakwojaza i otworzyłem drzwi.

– Czego nie można?! – krzyknąłem prawie na wsuwającą się do środka mojej kwatery dziewczynę.

Stała, wystraszywszy się chyba mego krzyku.

– No bo jakże tak... No jak... – jąkała się.

– Nie było pana całą noc w hotelu. A gdy pan z rana przyszedł, widać jak bardzo utrudzony, zamiast wpierw zjeść śniadanie, zamyka się pan w pokoju.

Wyciągnęła przed siebie tacę z jedzeniem:

– Proszę. Niechaj się pan posili. Tak nie można. Trzeba dbać o siebie. Inaczej łatwo popaść w chorobę.

Rozśmieszył mnie ów nadmiar troskliwości i chociaż nadal byłem wściekły, iż mi przeszkodziła, ozwał się cieplejszym nieco głosem.

– To się panie chwali. Doskonała z panny służąca. Prawdziwy skarb i podpora tego hotelu.

Jeżeli wszystkich podróżnych panna tak traktujesz, jeśli dla wszystkich jednakoś troskliwa, to zapewne ów hotel cieszy się w okolicy doskonałą reputacją.

– A pewnie! – zawołała uradowana. – Pewnie, że wszyscy go chwalą. Zdarza się, iż brakuje u nas miejsc, to wówczas stali bywalcy, zmuszeni szukać gościny gdzie indziej, bardzo na to narzekają.

Sięgnąłem do kieszeni, aby dać jej kilka kopiejek napiwku, lecz nie znalazłem bilonu.

Wyjąwszy tedy pugilares, wyciągnąłem zeń banknot i podałem go dziewczynie, nie zwracając – przez roztargnienie – uwagi na nominał.

– O Jezu! – zawołała. – Dzięki jaśnie panie! Serdeczne dzięki! Niech Pan Jezus i Najświętsza Paniienka stokrotnie ową hojność panu wynagrodzą...

Raptem urwała i raz jeszcze popatrzawszy na trzymany w ręku pieniądz, cichym szeptem zapytała:

– A może wielmożny pan się pomylił?... Toż to całe dziesięć rubli!

Pewnie, że się pomyliłem, ale nie chciałem już prostować owej pomyłki, a tylko jak najrychlej pozbyć się dziewczyny z pokoju.

No, zmykaj panna już, zmykaj! Wszystko w porządku. Gdy zjem, zadzwonię, żebyś panna zabrała naczynia.

Serce biło mi gwałtownie, a ręce drżały z przejęcia, gdy wyjmowałem z ukrycia tajemniczą szkatułkę. Była niezbyt wielka – może rozmiarów średniej książki – i dość płaska, lecz ciężka.

Całą ją oblepiała ziemia i brud stuleci.

Zmoczyłem zatem chustkę do nosa w wodzie z dzbanka stojącego obok miednicy w kącie pokoju, oddzielonym parawanem i delikatnie jąłem przecierać powierzchnię przedmiotu, usuwając z niej zanieczyszczenia.

Po jakimś czasie, gdy uporałem się z tą pracą, moim oczom ukazała się szkatułka w całej okazałości. Był to przepiękny przedmiot – arcydzieło sztuki jubilerskiej, wykonany z kutego srebra, poczerniałego ze starości, a i pewnie z tej przyczyny, iż przez wieki spoczywał zagrzebany w ziemi.

Na wierzchu wyobrażone były jakieś postacie filigranowe i misterne, przecież wcale wyraźne.

Zbliżyłem się ze szkatułką do okna, gdzie było lepsze światło, aby móc podziwiać kunszt złotnika sprzed wieków.

Scena przezeń wryta wyglądała mniej więcej tak: oto w tle wznosiły się góry

o stromych i nagich ścianach skalnych. U ich stóp zaś gromada jakowychś istot przedziwnych, trzymających się za ręce tworzyła krąg taneczny. Owi tancerze byli bez wątpienia ludźmi, lecz znacznie różniącymi się od zwykłych śmiertelników.

Ich postaci, karykaturalnie poskręcane, miały w sobie coś zwierzęcego, coś dzikiego, coś co przywodziło na myśl pierwotne siły, które władały tą ziemią, zanim na niej powstała cywilizacja.

Był w nich niepokój pradawności. Zdawali się sprawiać wrażenie kapłanów jakiegoś dziwaczego kultu. To ostatnie przypuszczenie potwierdzał widniejący w pośrodku tanecznego kręgu kształt, będący bez wątpienia ołtarzem.

Na mensie ołtarzowej siedziała zaś postać człowiecza, zdecydowanie większa od tych, które ją otaczały i przyodziana zupełnie inaczej – w długie luźne szaty i koronę z piór (a może były to cudacznie poskręcane rogi?) na głowie. Rysy twarzy miała niestety zatarte. Zastanawiałem się, czy jest to istota żywa, która przewodniczy w uroczystości, coś w rodzaju maga bądź arcykapłana, czy raczej posąg pogańskiego bóstwa.

Ale tego żadną miarą – na podstawie samej tylko misternej płaskorzeźby, wykutej na wieczku, nie mogłem odgadnąć.

Podobnie jak wierzch, również i boki szkatułki były bogato ornamentowane. Na tych ostatnich wszakże nie dopatrzyłem się ani człekokształtnych, ani zwierzęcokształtnych postaci, lecz wyłącznie motywy geometryczne i roślinne. Przeważał symbol odwróconego trójkąta i liści bluszczu. Prócz nich, w dwu miejscach ujrzałem też rysunek zgoła przedziwnego kwiatu, który miał coś z lilii, lecz lilią przecież nie był, bez wątpienia nieznanego w strefie naszego klimatu, a wyrosłego pewnie kędyś hen, pod niebem krainy, w której panuje wieczne lato.

Na samym końcu zlustrowałem i spód szkatułki, ale ten był zupełnie gładki, bez jednej choćby kreski czy wypukłości.

Oglądałem przedmiot ze wszystkich stron, szukając w nim zamka, który

mógłbym podważyć i otworzyć, aby zajrzeć do środka. Ale nie znalazłem czegoś takiego. Wieczko przylegało ściśle do boków i na próżno usiłowałem je odgiąć palcami.

Przez wszystkie te lata i stulecia zespolił je brud, a zawiaski przestały się obracać. Pozostało mi tylko jedno: podważyć wieczko jakimś ostrym narzędziem i przy użyciu siły sprawić, aby się rozwarło, ukazując wreszcie tajemniczą zawartość wnętrza.

Chociaż lękałem się, iż mogę w ów sposób uszkodzić ten piękny i cenny – arcydzieło jubilerskiego kunsztu – przedmiot, nie miałem innego wyboru. Gorączkowo rozglądałem się wokół, szukając czegoś odpowiedniego. Jakże brakowało mi teraz sztyletu, który pozostał w podziemiu.

Jedyne czym mogłem się posłużyć, to był nóż kuchenny, widać przez nieuwagę przyniesiony na tacy wraz ze śniadaniem przez pokojową. Wziąłem go więc do ręki i począłem ostrzem podnosić wieko.

Początkowo szło mi opornie, ale w miarę jak mijały chwile, jałem dostrzegać efekty swego wysiłku. Milimetr po milimetrze przykrywka ustępowała, unosząc się ku górze, a powstająca przy tym szpara powiększała się. W końcu stała się tak szeroka, iż mogłem włożyć w nią palce i używając całej mocy mięśni rąk, rozerwać szkatułkę całkowicie.

Skoro to uczyniłem, postawiwszy ją na stole, z ciekawością zajrzałem do środka. Jeżeli spodziewałem się zobaczyć tam czy to zwitek pergaminu z jakowymiś tajnymi informacjami, czy też może przedmiot mogący dostarczyć mi dalszych wskazań do rozwikłania frapującej mnie rodzinnej tajemnicy, to okazało się, iż byłem w błędzie, bowiem we wnętrzu szkatułki nie było nic zgoła. Tak, była pusta!

Lecz cóż to? Skoro wpadło do środka powietrze i światło, naraz, tuż przy dnie, pojawił się drobny kłaczek czegoś, co przypominało wyglądem smużkę mgły

snującej się wczesnym rankiem ponad ziemią. Tyle, iż owo COŚ miało barwę najpierw żółtawą, która później przeszła w zieloną, by ostatecznie stać się ciemnofiołkową.

Kłaczek mgielny – będę używał takiego określenia, ponieważ żadne inne, lepsze, nie przychodzi mi do głowy – rozrastał się i powiększał. W końcu wypełnił całą szkatułkę i jął z niej wypelzać.

Po jakimś czasie przybrał kształt skręconego słupa dymu z ogniska, dymu powstałego wówczas, gdy na ogień rzuci się przygarść świeżej trawy i zielska. Po wielokroć stał się większy od samej szkatułki, a rychło sięgnął sufitu, jednocześnie szybko rozprzestrzeniając się na boki.

Nióśł się odeń zapach dziwny jakiś i – jeśli można się tak wyrazić – niepokojący, chociaż bynajmniej nie przykry, ani też nieprzyjemny. Wręcz przeciwnie – zapach ów podobał mi się i z lubością wciągnąłem go w nozdrza. Stało się to w tym samym momencie, gdy tuman fiołkowej mgły rozpełzł się po całym pokoju, a ja znalazłem się w jego środku.

I wtedy... wtedy poczułem dziwny ucisk w piersiach i zawrót głowy. Cały świat zawirował mi przed oczyma, rozmył się i zniknął. Ja zaś – aż do bólu – wypełniłem się uczuciem tak silnym, iż zdawało mi się, że jeżeli nie opuści mnie ono jak najrychlej, spłonę od środka. Było to uczucie NIENAWIŚCI...

Gdyby ktoś zapytał mnie wówczas do kogo lub czego konkretnie nienawiść tę odczuwam, nie potrafiłbym odpowiedzieć. Była to jakaś nienawiść przedziwna, ogarniająca wszystko: i czas, i przestrzeń, i życie, i śmierć, i stworzenia, i żywioty, i... samego siebie.

Och, teraz to wiem, ludzka istota nie jest w stanie, jeśli nie chce popaść w szaleństwo, poddać się bezkarnie takiemu uczuciu. Gdy go doświadczy, po pewnym czasie – nie wiem czy liczyć go w sekundach, czy może raczej w godzinach, a może całkiem inną miarą – zatem gdy go doświadczy, poczyna

odczuwać rozpacz.

Bowiem człowiek został stworzony do miłości, mogąc wszakże wybrać nienawiść, a jeżeli pozwoli się jej opanować bez reszty, jako coś zupełnie przeciwnego naturze ona zniszczy go, porazi, unicestwi, do momentu, aż wypalony do cna, zupełnie zatraci swoje człowieczeństwo.

Moja rozpacz była tak wielka, iż próbowałem targnąć się na własne życie. Próbowałem, a właściwie ograniczyłem się do myślenia o tym. Chciałem, ale nie mogłem. Owo coś, co mnie posiadało, sterowało nie tylko moimi uczuciami, lecz również i ciałem. Mięśnie stężały wespół ruchu. Stałem niczym kamienny posąg niezdolny do niczego, zdany na łaskę i niełaskę NIEZNANEGO.

To przykre (nie potrafię tego inaczej nazwać) doznanie jęło wreszcie ustępować, a jego miejsce zajmowało coś nie mniej dziwnego. Coś, czego już po dwakroć, chociaż w o wiele mniejszej mierze miałem możność doświadczyć.

Oto zdało mi się, iż wysunąłem się ze swej cielesnej powłoki i uniósłszy ponad ziemię zostałem wchłonięty przez COŚ lub KOGOŚ, kto przerastał potęgą i mocą wszystko, cokolwiek i kiedykolwiek zaistniało pod słońcem od czasu stworzenia człowieka.

Ogarnęła mnie noc – ciemność tak gęsta, że aż prawie lepka i naraz, wpośród owej nocy, jęły wybuchać wypływające nie wiedzieć skąd, skądś z niezmiernych głębin NIEZNANEGO kolorowe kule.

Płynąłem wśród różnobarwnych skier – złocistych, szkarłatnych, fiołkowych, jaskrawozielonych, purpurowych, wśród skier o barwach, których nie umiałem nazwać. Doznałem poczucia siły, ale jednocześnie i osamotnienia.

Byłem potężny i przekonany, iż – jeślibym tylko tego zapragnął – nikt i nic nie byłoby mi się w stanie oprzeć. Ta moc dawała mi rozkosz, niewyobrażalną wprost rozkosz.

Tylko... tylko kędyś... w najtajniejszej tajni, w najskrytszym zakamarku serca,



odezwał się jakowyś głos, a może raczej szept, który owo COŚ w czym tkwiłem, starało się stłumić, zagłuszyć, wymazać – bez powodzenia wszakże. I ów głos serca zdawał się mówić:

„– I cóż ci z tego? Cóż? Czyż moc, potęga i chwała to wszystko zgoła, czego należy w tym życiu pożądać? Czy rozkosz jest aby tym samym co szczęście? I czy samotność to nie nazbyt wysoka cena, jakiej od ciebie żądają?...”

I jakby w odpowiedzi na to niepokojące pytanie, z czerni roziskrzonych barwnymi rozbłyskami, napłynęła odpowiedź:

„– Przyobiecano ci również i WIEDZĘ... Czyż wiedza nie jest aż tak pożądana, iżbyś się wahał zapłacić za nią samotnością?”

Głosy ucichły, a ja nadal tkwiłem zawieszony w próżni NIENAZWANEGO. Czerń gdzieś zniknęła, znikły też różnokolorowe skry, a ja, jakby z wysokości niebieskiej powały spoglądałem w dół. Pode mną widać było szafirowobłękitne morze. Po jego środku omywana falami rozbijającymi się w bryzgi białawej piany, osiadającej na czerniawych skałach wybrzeża, znajdowała się wyspa.

Jej zarys był mi znany. Ależ tak! To była wyspa z mapy zawieszanej na ścianie ojcowskiego gabinetu. Zrozumiałem, iż muszę tam dotrzeć i że doprowadzi mnie do niej moc uwolniona ze szkatułki. Nie mogłem tylko pojąć jak to uczynić.

\* \* \*

Skoro znów wróciłem do realnego świata, natychmiast spakowałem się i przygotowałem do podróży. Uregulowawszy należność za czas spędzony w hotelu i spożyte tam posiłki, rozpytałem się o możliwość jak najrychlejszego dotarcia poprzez Nadbrzezie do Krakowa, a stamtąd do rodzinnego N. Okazało się, iż mogę wyruszyć w drogę już za kilka godzin.

Spędziłem je w hotelu. Ciekawość miasta, miasta, z którego kiedyś uciekał

w popłochu jeden z moich antenatów, nękany – nie wiem: realną nieludzką siłą, którą wyzwolił, lecz nie był w stanie jej opanować, czy może raczej wyrzutami sumienia, gdzieś zniknęła, rozplynęła się, rozsunęła, zamilkła w nowym wnętrzu mojego jestestwa. We wnętrzu, które oczyścił poczwarny mnich, wymazując zeń wszelkie zwyczajne ludzkie uczucia, radości i smutki, lęki, przywiązania i niechęci, moce i słabości, a wypełniła mgła ze szkatuły.

Tak, nie byłem już sobą – Hansem Semberkiem z N., młodzieńcem usiłującym rozwikłać dziwną zagadkę rodzinną. Z Hansa Semberka pozostał tylko cielesny zewłok, w którym osiedliło się coś, co nie pozbawiając mnie ni pamięci, ni samoświadomości, opanowało jednak bez reszty, rozparło się wygodnie w moim ciele i posługiwało moim umysłem.

Było to coś, co chyba potrzebowało wniknięcia w żywą rozumną materię, aby w ogóle móc się przejawić. Wybrało mnie, bo widocznie nie mogło stać się inaczej i chociaż owo COŚ obiecało mi tak wiele w zamian, na razie oprócz duchowego cierpienia, które zresztą zaakceptowałem bez oporów, nie dało mi niczego nadto.

Oto w ciągu tej jednej jedynej nocy i kilku przedpołudniowych godzin, barwy otaczającego mnie świata zbladły, zszarzały, aż wreszcie przytłumiła je wszechobecna i wszechogarniająca czerń – czerń w najrozmaitszych odcieniach i głębiach, bez jednej, choćby mała widocznej, plamki bieli.

Ujrzałem nicość mojej dotychczasowej egzystencji. Pojąłem, iż nic spośród tylu rzeczy, które do tej pory robiłem, tak naprawdę nie miało żadnego znaczenia. Pełnia ukazała mi się pustką, radość – smutkiem, sens – bezsens, a to co uważałem za bezmiar i głębię mądrości, teraz śmieszyło mnie ograniczonością i płytkością.

Chociaż moja wewnętrzna perspektywa pogłębiała się i wydłużała – zda mi się – w nieskończoność, jednocześnie doświadczyłem bolesnego uczucia mroku i pustki, w centrum których tkwiłem, nie mając żadnej możliwości – wiedziałem

o tym – wyrwania się z ich okowów.

Ogromnemu przeobrażeniu uległo też poczucie upływającego czasu. Jeszcze do niedawna wiedziałem, iż minuta jest minutą, a godzina godziną. Dzień dniem, a miesiąc miesiącem.

Jeszcze do niedawna...

Teraz zaś czas, w którym się znalazłem nie miał ni początku, ni końca. I już nie wiedziałem czy dziś jest dziś, czy może raczej dniem wczorajszym, lub też dniem, jaki ma dopiero nadejść.

A ponad tym wszystkim dominował smutek, smutek tak wielki, że aż odciskający się bolesnym piętnem na mojej twarzy, ściągając jej rysy w grymas trudny do opisania.

Gdy opuszczałem hotel, pokojówka, ta sama która próbowała się ze mną nieco spoufalić, na mój widok odskoczyła do tyłu z przerażeniem w oczach i szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa, uczyniła na piersi szeroki znak krzyża, na widok czego przebiegł mi po plecach niemiły dreszcz – obrzydzenia zmieszanego z lękiem.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, był moment wsiadania do pociągu zmierzającego ku Krakowowi. Co było dalej? Nie wiem... Wszystko tonie w mroku niepamięci...

## Część Druga

Obudził mnie tępy ból pod pokrywą czaszki. Ból tak ostry, że aż zbierało mi się na wymioty.

Jednocześnie dokuczało nieznośne gorąco i pragnienie. Z wysiłkiem, przemagając własną słabość i dotkliwe fizyczne cierpienie, uniosłem opuchnięte powieki.

Leżałem na plecach, z szeroko rozwartymi ramionami. Pod palcami czułem rozgrzany żarem słonecznym miazga i suchy piasek. Ponad głową rozpościerał się bezkres błękitnego nieba, którego nie mąciła ani jedna chmurka.

Słońce ogromne, złocistobiałe, wisiało nade mną niczym płonąca kula. Wiedziałem, że jeśli nie schronię się do cienia, wysie ze mnie wszystką wilgoć, a wraz z nią i życie, że zabije mnie.

Usiłowałem zatem się podnieść, podpierając na łokciu. Przekroczyło to jednak moje możliwości i z jękiem opadłem z powrotem na piasek.

Ostry świdrujący ból przenikał na wskroś mój mózg, jakby chciał go rozerwać na strzępy.

Delikatnie obmacałem głowę. Na potylicy wyczułem sporych rozmiarów obrzmienie i rozciętą skórę. Włosy były pozlepiane zaschlą już krwią.

Raz jeszcze, zbierając cały zapas sił, jaki ostał się w moich mięśniach, ścięgnach i kościach, spróbowałem się podnieść. Tym razem się udało. Potykając się i zataczając począłem iść, z trudem przestawiając stopy, w kierunku rysujących się przede mną zarośli.

Och! byle tam dotrzeć! Byle dotrzeć! Poza sobą słyszałem poszum morza, delikatny plusk fal pieszczotliwie ocierających się o brzeg, lecz nie miałem siły by się obejrzeć.

Zarośla przede mną, to był cień, życiodajny cień. Pozostanie na plaży – bowiem wędrowałem plażą – oznaczało rychłą śmierć. A ja nie chciałem umierać! Wargi miałem spękane, wyschłe podniebienie i opuchnięty język. Prócz gorąca, nękało mnie jeszcze pragnienie. Za łyk zimnej, czystej wody, gotów byłbym oddać pół życia.

Parłem tedy uparcie – zataczając się i potykając – ku krzakom, mając nadzieję, iż prócz cienia, może znajdę tam jeszcze i wodę. Chociaż pas parzącego piasku nie był w rzeczywistości nazbyt szeroki, sądziłem, iż moja wędrówka nie będzie mieć kresu i że nigdy się nie skończy.

Plaża łagodnie podpełzała do skalistego wzniesienia, które niezbyt stromym skłonem zbiegało ku pasmu piachu. Stałem pewniej, poczuwszy twardey grunt pod nogami.

Skąła była rudawa z szarawymi plamami i mocno zniszczona przez erozję. Szczeliny i rozpadliny wypełniała ziemia, której nawiał tu wiatr z głębi wyspy, zasiewając w niej jednocześnie pierwsze rośliny.

Krzaki, długimi, mocnymi korzeniami czepiały się kamienia, rozpychając pęknięcia i szpary, zagarniając nowe połacie jałowej płaszczyzny, którą z czasem miała pokryć warstwa gleby powstałej z opadłych liści i spróchniałych, obłamanych gałęzi i pędów. Na razie jednak roślinność nie czuła się tu jeszcze nazbyt pewnie.

Usiadłem pod jednym z silnie rozrośniętych krzewów, kryjąc głowę w cieniu, który rzucał.

Ogarnął mnie miły chłód i chociaż ból ciągle dokuczał, to przecież zelżał nieco. Zelżał do tego stopnia, iż mogłem już zebrać myśli.

Tą, która w owym momencie najbardziej mnie pochłaniała i zaprzętała całą uwagę, była myśl o wodzie. Zimnej, czystej, krystalicznej wodzie.

Szczęście wyraźnie mi sprzyjało i widać było, iż los nie chce bynajmniej mojej

zagłady, bo oto posłyszałem nikły, ale przecież realny odgłos plusku spadających – chyba do jakowejś sadzawki – kropel. Podpełzłem na kolanach w tamtym kierunku.

To, co ujrzałem, trudno było by nazwać sadzawką. Niewielkie zagłębienie w skalistym podłożu, mniej więcej o objętości i powierzchni dużej miednicy, wypełnione były po brzegi tym, czego akurat pożałowałem najbardziej – wodą.

Skapywała ona ze stromego nawisu skalnego, znajdującego się tuż ponad zagłębieniem, przesączała się przez ledwie widoczną szczelinę – ot, rysę zaledwie. Nadmiar wody w zagłębieniu przelewał się przez jego brzeg i spływał wąskim strumyczkiem ku plaży, kędy ginął wsiąkając w piach.

Położyłem się na brzuchu i zanurzywszy całą twarz w zimnej wodzie, piłem ją długimi łykami. Piłem, dokąd nie poczułem ulgi, a ciecz nie wypełniła mi wnętrza, sięgając gardła.

Ze zdumieniem skonstatowałem, iż znajduję się w zgoła nie znanym sobie miejscu, do którego kiedy i w jaki sposób dotarłem, nie miałem pojęcia. W jeszcze większą konsternację wprowadził mnie fakt, iż przez cały ten czas – przez czas kiedy wędrowałem plażą, szukałem wody i gasiłem pragnienie – otóż, iż przez cały ten czas kurczowo zaciskałem jedną dłoń na zwiniętym w rulon pergaminie, przewiązanym kawałkiem jedwabnego sznurka, drugą zaś na srebrnej szkatułce.

Nareszcie pojąłem wszystko i wszystko sobie przypomniałem. Przed oczyma przesunęły mi się obrazy przeszłości – niezwykła fascynacja starodawną mapą, gdy byłem jeszcze dzieckiem, opowieść stryja, zdarzenia w Sandomierzu...

Bez wątpienia znajdowałem się na owej wyspie, którą wyobrażała mapa zdobiąca kiedyś jedną ze ścian ojcowskiego gabinetu, mapa którą teraz kurczowo ściskałem w ręku.

Mimo usilnych starań nie mogłem sobie przypomnieć absolutnie niczego od czasu, gdy w Nadbrzeziu, przedmieściu Sandomierza, wsiadłem do pociągu, aż do momentu odzyskania przytomności na nadmorskiej plaży.

Wszakże zauważyłem coś, co mnie ucieszyło. Oto znów byłem sobą. Zwyczajnym, ludzkim, władającym własnymi zmysłami i duszą Hansem Semberkiem. Siła, Moc, Inteligencja – nie wiem jak owo nazwać – słowem owo COŚ co mnie wypełniało, gdy oczyszczony zupełnie ze swego człowieczeństwa przez zakapturzonego mnicha otworzyłem tajemniczą szkatułkę ze srebra, teraz mnie opuściło. Jego zadaniem widać było przyprowadzenie mnie na tę wyspę i tu zwrócenie wolnej woli.

Dlaczego? Jakąż to misję miałem do spełnienia? Jakie zadanie? Czego ode mnie oczekiwano?

Chyba musiały to być rzeczy nader ważkie, skoro wypełnić je mogła jedynie istota absolutnie wolna i świadoma tego co czyni.

Gdy sobie to uświadomiłem, poczułem lęk.

Nie wiedziałem gdzie się znajdowałem i po co się tu znajdowałem. Samotny, zagubiony, bezbronny.

Ale przecież nie mogłem tak siedzieć w nieskończoność. Umknąłem morderczym promieniom słonecznym, zaspokoilem pragnienie, odzyskałem siły, wszakże teraz na odmianę począł mnie dręczyć głód.

Rozejrzałem się bacznie dookoła, szukając czegoś, co mogłoby się nadawać do zjedzenia, lecz prócz piasku omywanego morskimi falami, rudawej skały i krzewów pokrytych skórzastymi, ciemnozielonymi liśćmi, nie było tu więcej niczego.

Chcąc żyć, nie mogłem tkwić w nieskończoność w jednym miejscu. Trzeba było podnieść się i ruszać w drogę. Rozłożyłem mapę na ziemi, przyciskając brzegi kamieniami, aby jej nie porwał podmuch wiatru. Wpatrywałem się bacznie w zblakły nieco rysunek.

Chociaż wykonana przed stuleciami i według reguł tamtoczesnej sztuki kartograficznej, mapa była nad wyraz dokładna. Bez większych kłopotów

odnalazłem na niej miejsce, w którym się teraz znajdowałem. Na północny zachód od niego wznosił się – nieomal w sercu wyspy – niewielki, podwójny łańcuch górski. Brały z niego początek cztery rzeki, czy może większe strumienie. Dwa z nich po jednej stronie działu wodnego toczyły swe wody na wschód i na południe, dwa zaś potężne po drugiej stronie owegoż działu, na północ i północny zachód. Ten zdążający na północny zachód przepływał przez niewielkie jezioro.

Według mapy prawie cała wyspa była gęsto porośnięta lasami i miała strome, skaliste brzegi, ostrymi obrywami opadające ku morskiej toni, uniemożliwiające tym samym lądowanie statków.

Jedynym dostępnym miejscem był niewielki i wąziuchny skrawek plaży ścielącej się nad równie niewielką i cichą zatoczką. Cała północna część wyspy, a dokładnie ta jej część, która rozciągała się od podnóża gór, aż po wybrzeże morskie, była jednym, wielkim grzędzawiskiem.

Zastanawiałem się, czy ów skrawek lądu, rzucony na bezmiar oceanu – nawet nie wiedziałem, w którym punkcie globu ziemskiego – jest zamieszkały, czy też nie. Po namyśle i zastanowieniu doszedłem do przekonania, iż jest to nader mało prawdopodobne, a jeśli nawet, to tubylców należałoby szukać chyba tylko w pobliżu gór.

Był to jedyny logiczny wniosek, nasuwający się po uważnym przestudiowaniu mapy.

Nie miałem jednak pojęcia, jak do owych gór dotrzeć. Bo zdecydowany byłem to uczynić.

Nie wyobrażałem sobie spędzenia reszty życia w samotności i chociaż budziły się we mnie obawy, iż mogę trafić na przykład na kanibali, to wolałem nawet zaryzykować życiem, niż skazać się świadomie i dobrowolnie na samotność. Drżałem na myśl, iż mogę się okazać jedyną rozumną istotą na całej wyspie.

Zdecydowałem, iż muszę wyruszyć natychmiast – do czego zresztą przymuszał



mnie głód, coraz ostrzej dający znać o sobie – i że obiorę drogę wzdłuż tego ze strumieni, w pobliżu którego według mapy się znajdowałem, a który niechybnie zaprowadzi mnie do gór, kędy miał źródła.

Napiłem się nieco wody, niejako na zapas, żałując iż nie posiadam żadnego naczynia, do którego mógłbym jej zaczerpnąć na później. Chociaż miałem wędrować cały czas w górę strumienia, nie miałem gwarancji, czy jego woda nadaje się do picia. Płynął bowiem przez gęsty las tropikalny, a zatem mogło się w nim znajdować całe mnóstwo butwiejących szczątków roślinnych.

Ruszając przed siebie, wiedziałem, iż mapę muszę zabrać, bowiem będzie mi niezbędna jeżeli chcę się swobodnie poruszać po wyspie. Co jednak miałem uczynić ze szkatułką? Był to przedmiot dość ciężki i zupełnie w mojej sytuacji nieprzydatny. Już miałem ją wyrzucić, gdy uświadomiłem sobie, że chociaż srebro jest miękkim metalem, to przecież w razie konieczności może uda mi się wykonać zeń jakieś ostrze.

Może to wydawać się dziwne, ale zupełnie – sam nie wiem dlaczego – nie myślałem o tajemniczej zawartości tego przedmiotu, o MOCY zdolnej wpędzić w szaleństwo, o przeznaczeniu, które mnie tutaj przygnało, o wszelkich potwornościach, koszmarach, zjawach i tym wszystkim, czego doświadczyłem od śmierci ojca i stryja.

Teraz mój umysł – chociaż w żaden racjonalny sposób nie był w stanie wytłumaczyć jak trafiłem, jak w ogóle mogłem trafić, na ten okruch lądu, ze wszech stron otoczony falami – zatem, teraz mój umysł nastawiony był raczej sceptycznie do wszelkich nadprzyrodzoności.

Zaprzątała go zaś tylko jedna jedyna myśl – co muszę uczynić, aby ocalić życie i wywikłać się z matni, w którą wpadłem.

Wędrowałem powoli, cały czas uważnie rozglądając się dookoła i bacząc czy przypadkiem nie ujrzę gdzieś smużki dymu, wzbijającej się ponad korony drzew

tropikalnego lasu. Lecz do momentu, w którym wszedłem pomiędzy pierwsze drzewa, niczego podobnego nie zauważyłem.

Później ogarnął mnie tajemniczy zielonkawy półmrok, a ponad głową zawisło sklepienie utworzone z poskręcanych, splątanych ze sobą gałęzi. Niektóre, na poły zbutwiałe, pnie puszczańskich olbrzymów, potężne konary i załamki grubej kory, porastały kępy rozmaitych roślin. Były tam mchy przedziwne, porosty i paprocie, były całe kępy cudownych storczyków o barwach kwiatów tak urzekających, iż zdawało się, że to sen nie jawa.

Dotarłszy do brzegu dość szerokiego, lecz nader płytkiego strumienia, powędrowałem w górę jego biegu. Droga nie była łatwa. Wilgotne, gorące powietrze z trudem syciło płuca. Nogi ślizgały się po czerwonej rozmięklej ziemi, albo na odmianę plątały się w gąszczu roślin, których mocne pędy utrudniały marsz.

Coraz bardziej doskwierał mi głód. W koronach drzew słyszałem głosy ptaków, lecz żadnego z nich nie mogłem nawet dostrzec. Czasem słyszałem też szelest przemykającego kędyś w pobliżu jakiegoś większego zwierzęcia, lecz na próżno natężałem wzrok.

W żołądku czułem pustkę i bolesny ucisk. Coraz bardziej opadałem z sił. Pomyślałem, że jeśli zaraz nie przełknę choćby kilku kęsów jakiegokolwiek strawy, upadnę tu, i być może nie podźwignę się już nigdy.

Jedyne stworzenia, które mogłem widzieć, ba! mieć je na wyciągnięcie ręki, to były ryby pomykające tuż pod powierzchnią krystalicznej, przejrzystej toni strugi. Lecz jakże pochwycić rybę gołymi rękoma?

Przypadek przyszedł mi z pomocą. Oto naraz zobaczyłem, iż w pobliżu strumienia znajduje się dość rozległa kałuża, powstała zapewne w czasie przyboru wody, która opuściwszy swoje łożysko, rozlała się szerzej.

W owej kałuży, na wpół już wyschłej, wystawiając grzbiety ponad

powierzchnię, z trudem pływały trzy czy cztery ryby, które uwięzły w pułapce. Gdy po powodzi rzeczulka wracała do swego koryta, one nie wróciły wraz z nią.

Wszedłem na płyciznę rozlewiska i starałem się pochwycić którąś ze znajdujących się w nim ryb. Lecz były one zwinne i śliskie. Wymykały mi się nieustannie. Zezłościło mnie to i jednocześnie jeszcze bardziej wyostrzyło apetyt.

Ułamałem tedy dość solidny kij z krzewu rosnącego tuż nad brzegiem i jałem nim bić bez opamiętania całą powierzchnię kałuży, aż woda i błoto wielkimi bryzgami chlapały dookoła.

Moje polowanie zakończyło się sukcesem. Oto wszystkie ze znajdujących się tam stworzeń ogłuszone znieruchomiały. Teraz widać było ich boki nie grzbiety, boki pokryte srebrzystozieloną łuską.

Wyciągałem ryby jedną po drugiej i przykucnąwszy opodal bajorka łapczywie i zachłannie zatapiałem ostre zęby w surowym, chłodnym, soczystym mięsie. Rwałem je kawałami, i nawet nie rozgryzając nazbyt dokładnie, połykałem. Gdy prócz płetw i kupki większych ości nie pozostało nic więcej, syty, podniosłem się, by powędrować dalej. Miałem nadzieję, iż być może jeszcze przed nocą wyjdę z dżungli, która nie tylko mnie bardzo męczyła, ale i napawała jakimś dziwnym, nieokreślonym niepokojem i smutkiem.

Postanowiłem więc, że – o ile tylko wystarczy mi sił – będę uparcie podążał naprzód. Bałem się, iżbym nie musiał spędzać nocy w lesie, w którym mogły mieszkać drapieżniki wychodzące po zmroku na łów. A ja byłem nader łatwym łupem dla nich.

Maszerowałem zatem tak śpiesznie jak tylko się dało, z niepokojem obserwując gęstniejący z minuty na minutę półmrok gęstwiny. Wreszcie, ku mojej ogromnej radości, spostrzegłem, że leśne olbrzymy poczynają ustępować miejsca drzewom mniejszym zgoła, że pojawia się coraz więcej krzaków, a ziemia pod stopami nie jest już oślizgła i nie lepi się do butów. Mogło to zwiastować jedno – wychodziłem

z dżungli.

Istotnie tak było. Rychło drzewa znikły zupełnie, a ja znalazłem się na kamiennym gruncie porośłym gęsto wielkimi kępami srebrzystozielonkawej trawy, pomiędzy którymi tylko gdzieniegdzie dostrzec można było niewielki, rachityczny krzaczek.

Nic nie świadczyło, iż ziemi tej dotknęła kiedykolwiek ludzka stopa. Czuję się zatem z lekka podniecony, jak chyba każdy odkrywca, gdy po raz pierwszy przemierza dziewiczy ląd.

Strumień był tutaj o wiele węższy i płynął dużo szybciej niż w lesie. Nie chcąc pobłądzić, cały czas pilnie trzymałem się jego brzegu. Widziałem, iż wielka słoneczna kula zniżyła się już ku ziemi i lada chwila może zapaść zmrok, a ja do tej pory nie znalazłem jeszcze żadnego, na tyle wygodnego, by nadawało się na nocny spoczynek, miejsca.

Ucieszyłem się ogromnie, gdy nieopodal strumienia, ale nie nad samym jego brzegiem, lecz w pewnym jego oddaleniu, ukazał się moim oczom ogromny płaski głaz. Pomyślałem, iż chyba najlepiej uczynię, jeśli wymoszczę sobie na nim wygodne legowisko z tej trawy, której pełno rosło dookoła.

Zbliżając się zatem do głazu zrywałem ją całymi garściami i z ogromnym naręczem jąłem – dotarwszy już doń – wspinać się jednym z boków łagodnie opadających ku ziemi, a posiadającym coś, co można było nazwać stopniami.

Pomyślałem, że jak na uczynione przez naturę, stopnie są nazbyt regularne i nazbyt wygodne, ale cieszyłem się przecież – nie zastanawiając więcej nad ową sprawą – iż zaoszczędziły mi trudu mozolnego wdrapywania się na samotny głaz.

Wymoszczenie na nim posłania nie nastręczyło wielkich trudności. Kilkakroć obracałem – w tę i z powrotem – z pękami trawy wydającej dość miłą, chociaż słabą woń, aż zgromadziłem jej tyle, iż nie tylko mogłem leżeć na niej, lecz nawet się nią przykryć.

Ogarnęło mnie zadowolenie, iż zdążyłem z tym wszystkim uporać się jeszcze przed nocą i ułożywszy się wygodnie na miękkim legowisku, z dłońmi pod głową, oddałem się rozmyślaniom nad tym, czego doświadczyłem do tej pory i nad tym, czego jeszcze mogę doświadczyć.

Naraz, skądś z pobliza, do moich uszu doleciał dziwny odgłos, ni stęknienie, ni westchnienie, zakończone krótkim piskiem. Uniosłem się zaniepokojony, podpierając się na łokciu i bacznie rozglądając dookoła. Nie wiedziałem – człowiek to, czy zwierzę? Cokolwiek to jednak było, zrozumiałem iż nie mogę tutaj czuć się zupełnie bezpiecznie. Umysł pracował gorączkowo:

„– Co zrobić? Co zrobić?” – kłębiło mi się pod czaszką.

Wszakże cóż mogłem zrobić innego, niż to, co już zrobiłem? Gdzież mogłem szukać pewniejszego schronienia, skoro słońce lada chwila miało się zapaść w głąbię oceanu, a świat miał spowić mrok?

Pomyślałem, że co ma się stać, to i tak się stanie i że mój lęk niczego tu nie zmieni. Zacząłem tedy na powrót układać się jak najwygodniej na swoim barłogu i wówczas... wzrok mój padł na coś, czego uprzednio nie spostrzegłem.

Oto na wielkim, płaskim głazie widniały na wpół zatarte, ale jeszcze w miarę czytelne rysunki. W oczy rzucał się motyw odwróconego trójkąta i liści bluszczu. A zatem był to ten sam ornament, który zdobił srebrną szkatułkę z grobowej krypty Semberków!

Chciałem dokładniej zbadać naskalne ryty, ale w tym momencie, tak jak to bywa w tropikach, dzień raptownie – bez pośredniej fazy zmierzchu – przemienił się w noc i ogarnęła mnie smoliściczarna, gęsta ciemność.

Uczucie strachu, którego od momentu znalezienia się na wyspie nie doświadczyłem raczej nazbyt mocno, teraz wróciło potężną falą. Leżałem zagrzebany w trawie, jednocześnie nasłuchując czy ktoś lub coś nie skrada się w ciemności. Wiedziałem, iż najlepiej byłoby gdybym zasnął, bo wówczas nie

tylko przestałbym się bać, lecz również odzyskałbym siły nadwyrężone forsownym marszem i głodem. Bo cóż to za posiłek – cztery niezbyt wielkie ryby zjedzone na surowo w ciągu całego dnia?

Przymknąłem zatem oczy, usiłując pogrążyć się we śnie, ale po kilku chwilach gwałtownie je otworzyłem, próbując przeniknąć ciemność, w której – jak mi się wydawało – coś skradało się ku mnie. Trwało to dość długo, w końcu jednak zmęczenie poczęło brać górę nad lękiem. Jąłem zapadać się w mroczną czeluść bez dna, oddając się bez reszty pod opiekę snu, który tej nocy był dla mnie łaskawy i litościwy, otulił szczelnie swoją opończą niepamięci i nie zesłał żadnych – ani przyjemnych, ani też nieprzyjemnych majaków.

\* \* \*

Obudził mnie rozgwar ptasich głosów, dobiegający z pobliskiej dżungli i słoneczne światło padające wprost na moją twarz. W pierwszej chwili nie bardzo mogłem sobie uświadomić, gdzie się znajduję i musiało upłynąć kilka chwil, zanim nie przypomniałem sobie wszystkiego.

Podźwignąłem się z posłania, strąciłem z odzienia źdźbła traw, które tam przylgnęły, powybierałem je z włosów i ruszyłem ku strumykowi, aby się w nim obmyć.

Splukawszy resztki snu z twarzy, zacząłem rozmyślać, co mi dalej czynić wypada.

Rozumiałem, że nim ruszę w dalszą drogę, muszę się posilić. Ku ogromnej radości dostrzegłem, iż w płyciźnie zakola strumienia znajduje się całe mnóstwo małży. Nie zastanawiałem się nad tym czy są jadalne czy nie, i czy ich spożycie może mi zaszkodzić, tylko wybierałem je z wody, a ułożywszy spory kopczyk na kępie trawy, jąłem rozwierać muszle ostrym płaskim ułamkiem obsydianu, czyli

szkła wulkanicznego, który tam znalazłem.

Później wyluskiwałem małże palcami i przełykałem je, starając się nie rozgryzać, a puste skorupy odrzucałem precz. Zaspokoiwszy głód pomyślałem, iż winienem uczynić zapas na później, bo gdzież miałem pewność, że znajdę jeszcze tegoż dnia cokolwiek zdatnego do zjedzenia. Gorączkowo rozglądałem się za czymś, w co mógłbym nazbierać mięczaków, wszakże czegoś takiego nie dostrzegłem.

Pomyślałem, iż w tym gorącym klimacie długie rękawy u koszuli są mi zgoła niepotrzebne, oderwałem je więc i związawszy przy mankietach, uczyniłem z nich coś na kształt długich a wąskich worków, które wypełniłem małżami. Teraz, zabezpieczywszy sobie pożywienie na później, poczułem się raźniej i na koniec napiwszy się wody, powróciłem na głąz, kędy spędziłem noc, aby w pełnym blasku słońca móc dokładniej obejrzeć dostrzeżone tam minionego wieczora ryty.

Tak, nie myliłem się. Były to te same motywy i ornamenty, które widniały na posiadanej przeze mnie szkatułce. A zatem? Zatem zbliżałem się ku miejscu, do którego ktoś lub coś postanowiło mnie doprowadzić. Przyjrzałem się również stopniom prowadzącym na płaszczyznę głązu. Teraz nie ulegało już dla mnie najmniejszej choćby wątpliwości, iż nie wyrzeźbiła ich natura, lecz były dziełem rąk ludzkich.

Zsunąłem się z kamienia i – tak jak minionego dnia – ruszywszy w górę strumienia powędrowałem na spotkanie swemu przeznaczeniu. Uszedłem może kilkaset kroków, ot tyle tylko, że straciłem z oczu blok skalny służący mi za noclegowisko, a przede mną rozciągnął się widok tak cudny i wspaniały, iż mimo woli wyrwał mi się z piersi okrzyk niekłamanego zachwyty.

Stałem na niewielkim wzgórku, u stóp którego rozpościerała się niezbyt duża łączka, cała pokryta przepięknymi kwiatami. Rosły tak gęsto, jeden obok drugiego, że z pewnego oddalenia wyglądały niczym wspaniały dywan utkany przez

największe mistrzynie w swoim zawodzie.

Zszedłszy z wyniosłości, zatrzymałem się na skraju owej łączki, sycąc oczy kształtem i barwami kwiatów.

Ich ciężkie, okazałe główki wyrastały na wyniosłych bladozielonych o złotawym połysku, grubych, sztywnych łodygach, które wychylały się z rozet liści szerokojajowatych, miękkich, pokrytych lśniącym metalicznie kutnerem.

Same kwiaty nie przypominały mi niczego znanego. Chociaż... może nieco lilie. Płatki miały mięsiste, o jedwabistym połysku i rozmaitych barwach, od blad różowych, poprzez szkarłatne, aż do ciemnopąsowych. Ze środka kielichów wychylały się fioletowe słupki, otoczone wieńcem srebrzystych pylników.

Nie, żaden, najdokładniejszy nawet opis, nie jest w stanie oddać urody owych kwiatów.

Patrzyłem na nie i patrzyłem, zatraciwszy poczucie miejsca i czasu. A one kołysały się leciuchno w ledwo wyczuwalnym oddechu wietrzyku.

Wreszcie, wiedziony jakowąś dziwną pożądlivością, nakazującą osiąść na własność to, co wzbudza nasze zainteresowanie, co w szczególny sposób podziwiamy, pochyliłem się nad rozkołysanym łanem i ująwszy w palce jedną z wyniosłych łodyg, ułamałem ją. Później zaś, gdy nasyciłem już oczy urodą kwiatu, podziwianego teraz z bliska, wtuliłem weń twarz, z lubością wdychając przedziwną woń, którą wydzielał.

Była ona mocna i słodkawa, z lekkuchnym, ledwo wyczuwalnym, cierpkawym odcieniem, który podkreślał tylko wspaniałość zapachu. I miał ów kwiat dość dziwną właściwość, różniącą go od innych kwiatów. Wiadomo, że im dłużej wchłania się jakiś zapach, nasz zmysł powonienia rychło go w ogóle przestaje odczuwać. Tu było inaczej – im dłużej wachałem kwiat, tym zapach potężniał, narastał przenikał mnie całego.

Odczuwałem dziwną błogość, rozlewającą się niczym ciepła, łagodna fala po



wszystkich cząstkach mojego ciała, przenikającą do najdalszych zakamarków, nasycająca skórę, mięśnie, ścięgna, krew. W końcu odczułem jej obecność w mózgu i w sercu.

Nie byłem zdolny odrzucać kwiatu od siebie. Zrywałem go przekonany, iż to ja go posiadałem.

Tymczasem było zgoła inaczej – to on posiadał mnie.

Odczułem lekkie drżenie mięśni, jakąś słabość dziwną, podobną nieco do omdlenia, albo raczej półomdlenia – gdy na chwilę znajdziemy się na granicy świadomości i nieświadomości.

Tyle, że w moim przypadku owa chwila rozciągnęła się w nieskończoność...

A później, później zdało mi się, że moją głowę obejmują czyjeś ciepłe, delikatne dłonie, że kołyszą ją miarowo w tył i w przód... W tył i w przód... Świat cały zwariował przed oczyma. Już nie byłem sobą, byłem jednym z owych kwiatów, których łan rozpościerał się u mych stóp. I tylko w chwili, w której jałem zapadać w czarną czeluść, odczułem straszny ból osamotnienia i grozę, grozę nadciągającą zewsząd, wypełzającą z każdej cząsteczki mojego mózgu. Ogarnęła mnie rozpacz, rozpacz potworna, rozpacz od której może wyzwolić tylko śmierć może... Tylko śmierć... Posłyszałem jeszcze wznoszący się, wibrujący bólem i strachem krzyk... Chyba to ja krzyczałem?... A później?... Później zapadłem w nicość...

\* \* \*

Pośrodku rozległej, chociaż niskiej jaskini, której dno wyścielał miękki biały piasek, otoczone wieńcem krągłych kamieni płonęło niewielkie ognisko. Rozedrgane, złotopomarańczowe, czasem pobłyskujące szkarłatem płomienie strzelały wysoko, pożerając stos wyschłych na pieprz gałęzi.

Ledwo wyczuwalny prąd powietrza nie pozwalał, aby dym gromadził się pod sklepieniem, lecz wywiewał go poza obręb pieczary.

Obok ogniska siedziała jakaś drobna, skulona postać, której cień rozedrgany i ogromny, tańczył na jednej z wapiennych ścian podziemia. Krwawy poblask pełzał po suficie i nie docierał tylko do najbardziej odległych kątów i zakamarków, w których rozsiadł się mrok – tajemniczy i niepokojący.

Postać przy ognisku miała kształty człowiecze, ale przyjrząwszy się jej bliżej widomym się stawało, iż człowiekiem nie jest. Ogromna głowa, pozbawiona śladu owłosienia pokryta była matową skórą barwy brunatnej czy czarniawej, trudno było ją dokładnie rozeznać przy blasku chybotliwych płomieni.

Miast uszu, po bokach czaszki widniały po cztery maleńkie otworki pełniące chyba ich rolę, a osłonięte czymś, co może najbardziej przypominało rybie płetwy ogonowe. Najohydniejszą wszakże okazała się twarz. Jej pomarszczona skóra zwisała płatami, tak iż policzki sięgały piersi monstrum. Usta, a raczej to co je przypominało, wykrzywiało dziwaczny, budzący odrazę grymas.

Fioletowe, grube, mięsiste wargi pokryte gęstym śluzem, co i raz skapującym na podbródek, od czasu do czasu rozchyłały się nieco, ukazując wnętrze potwornej gęby. Nie było w niej zębów, tylko coś, co przypominało łukowato, na kształt szczęk wygięte ostre krawędzie, mające spełniać zadanie odgryzania i rozdrabniania pokarmu. Krawędzie przypominały trochę wyszlifowany obsydian i były tak samo ostre jak i on.

Klatka piersiowa istoty była zapadnięta, co sprawiało wrażenie, jakby stwór był chory.

Ramiona miał prawie kwadratowe i długie, tak długie jak u małpy, ręce, zakończone dłońmi o trzech chwytnych palcach. Mógł chodzić zarówno na czworakach, jak i na samych tylko, kosmatych, krzywych, zakończonych kopytami nogach.

Stwór siedział przy ognisku, trzymając na kolanach sporych rozmiarów księgę. Tak, była to bez wątpienia księga. Oprawna w zielony safian, bez tytułu, lecz za to nader bogato zdobna wymyślnym złotym ornamentem. Z boków księgi zwisało siedem wielkich woskowych pieczęci, a na każdej z nich odcisnięty był inny znak, przypominający jakiś symbol kabalistyczny.

Pieczęcie te uniemożliwiały otwarcie woluminu i zajrzenie do jego środka.

Stwór gładził pieśczożliwie okładkę, mrując przy tym z cicha i kołyszając się na boki.

Zapatrzony był w płomienie, które zdawały się urzezać go swym wyglądem. Mijała chwila za chwilą, a monstrem nie zmieniało miejsca, cały czas wydając z siebie dziwne odgłosy i cały czas głaszcząc wolumin.

Dopiero gdy z dworu dobiegł świergot ptactwa, a słońce jęło majestatycznie wypływać na firmament, wydał z siebie dziwaczny, budzący niemiły dreszcz, syk. Na ów dźwięk zda się, iż było to wołanie, albo może rozkaz – ze skrytych w mroku kątów jęły wypęzać inne stwory podobne jemu, chociaż nieco mniejsze i zda się, uznające w siedzącym swego pana. Stały w pewnym oddaleniu odeń, jakby oczekując poleceń, a on podźwignąwszy się nareszcie, zakołysał niezdarnie na swych kusych nóżkach i lustrując twarze otaczających go pobratymców, zasyczał ponownie.

Stwory jeden po drugim znikły za naturalnym filarem skalnym przedzielającym pieczarę na pół. Z owego drugiego pomieszczenia wyniosły – z widocznym wysiłkiem – pogrążonego w głęboki uśpieniu Hansa Semberka.

Znów syknięcie i nieokreślony gest dłoni ich przewodnika czy władcy, po czym ułożyły młodzieńca w pobliżu ognia, na tyle jednak odeń daleko, by nie mogło doskwierać mu gorąco.

Przewodnik czy też dowódca – nie wiadomo jak go nazwać – zbliżył się powoli do nieprzytomnego i przykucnąwszy przy nim, najpierw uniósł mu jedną powiekę

i gałkę oczną dokładnie wysmarował lepkiem śluzem skapującym z własnych warg, później uczynił to z drugą.

Na końcu zaś, przywoławszy pomocnika, nakazał mu rozewrzeć usta Hansa, a sam, schwyciwszy ostry kawałek kamienia, głęboko sobie nim rozciął przedramię. Z rany natychmiast jąła wypływać żółtozielonkawa, gęsta, lepka ciecz. Wsączał ją w usta nieprzytomnego czas jakiś, a później odsunął się odeń na bok, czekając efektu.

Nie zważał na to, iż ciecz nadal wypływała ze skaleczenia, napęlniając pieczarę niebywałym smrodem. Trudno byłoby go określić, ale dało się w nim wychwycić i odór siarki, i gnijącego mięsa, i kloaczego dołu, i palących się piór.

Pozostałe stwory, a było ich w pieczarze kilkanaście, stały wokół Hansa w pewnym oddaleniu. Na ich ohydnych, potwornych, niesamowitych obliczach, dało się odczytać pełne napięcia oczekiwanie.

Gdy wreszcie nieruchomy, leżący niczym umarły, młodzieniec raz i drugi poruszył się lekko, z ich piersi wydobył się odgłos przypominający westchnienie ulgi. Podeszły do leżącego, otaczając go ciasniejszym kręgiem. Lecz przywódca nie dozwolił, aby zbliżały się zanadto.

Znów podźwignął się z piasku i kołysząc niezdarnie, gestem nakazał, iżby się stwory cofnęły, a sam przyklękawszy przy Hansie, długo, bardzo długo wpatrywał się w jego twarz, posykując coś z cicha, by na koniec położyć na piersi młodzieńca dziwną księgę zapieczętowaną siedmioma pieczęciami z wosku.

\* \* \*

Wracałem do przytomności. Zdawało mi się – było to nader szczególne uczucie, jakiego czasem można doświadczyć we śnie – iż przyplływam skądś i odpływam w jednakowym powolnym rytmie. Odzyskałem już świadomość, już

doskonale przypominałem sobie wszystko, co mi się przytrafiło na łączce porosłej cudownymi kwiatami, lecz ciągle nie czułem swego ciała.

Istniałem niczym sama, czysta, nie skażona materią świadomość.

Później zaś – nie wiem ile czasu minęło od momentu, w którym się ocknąłem do owej chwili – później zaś, począłem odczuwać mrowienie w nogach i rękach. Od rąk i nóg czucie rozszerzało się na całe ciało, aż wreszcie odzyskałem nad nim zupełną kontrolę. Usiłowałem podnieść się, ale chyba byłem jeszcze nazbyt słaby, iżby tego dokonać. Otwarłem zatem tylko oczy i zdumiałem się.

Oto bowiem odzyskując zmysły, byłem przekonany, iż nadal znajduję się na łączce, kędy trujący opar, jadowita woń kwiatu, pozbawiła mnie przytomności; tymczasem ponad swoją głowę, miast nieba ujrzałem nierówny, kamienny strop jaskini, po którym pełgały krwistoczerwone rozbłyski.

A zatem?... Zatem wniosek mogłem wysunąć tylko jeden. Ktoś mnie znalazł i przyniósł tutaj.

Ktoś nade mną czuwał. Chyba nie był to wróg, lecz osoba życzliwa, bowiem wróg zapewne nie zatroszczyłby się o mnie, o ile w ogóle nie pozbawiłby mnie życia.

Tymczasem żyłem. Tak, żyłem. I z każdą chwilą umysł stawał się jaśniejszy, a ciało nabierało mocy. W zasadzie było mi dobrze. Leżałem wygodnie i odczuwałem spokój. Powiadam w zasadzie, ponieważ coś jednak mi doskwierało. Był to gniotący ucisk, jaki odczuwałem na piersi, ucisk na tyle mocny, aby utrudnić oddychanie. Prócz tego był jeszcze smród. Smród tak obrzydliwy i tak gęsty, iż zdawało mi się, że wręcz można go dotknąć. Pomyślałem, że jeśli nie przestanie cuchnąć, chwycą mnie mdłości i z wymiotuję.

Podniosłem ręce, aby rozpiąć koszulę na piersiach i tym samym ułatwić sobie oddychanie, ale natrafiły na coś dziwnego. Czy to, iż nie oczekiwałem niczego nadzwyczajnego, czy może na tyle odzyskałem już siły; jakkolwiek by nie było,

usiadłem gwałtownie.

Ciężar do tej pory przygniatający mi piersi ustąpił. Coś upadło z łoskotem na ziemię.

Spojrzałem w tym kierunku i... zamarłem. Nie wiem czy bardziej ze zdziwienia, czy raczej z przerażenia.

Oto obok mnie, na miękkim piasku wyścielającym dno pieczary, w której się znajdowałem, leżała duża, oprawna w zieloną skórę zdobną różnymi ornamentami, księga. Z jej boku na niezbyt długich, uniemożliwiających otwarcie woluminu, jedwabnych sznurkach, zwieszało się siedem woskowych pieczęci, a na każdej z nich odcisnięty był jakiś, nieznan mi, kabalistyczny znak. A zatem ów KTOSŁ lub owo COŚ wiodło mnie konsekwentnie ku wytkniętemu uprzednio celowi.

Przypomniał mi się łaciński napis widniejący u dołu mapy wyspy:

ET VIDI LIBRUM SIGNATUM SIGILLIS SEPTEM I UJRZAŁEM KSIĘGĘ ZAPIECZĘTOWAN SIEDMIOMA PIECZĘCIAMI.

Tak! Przybyłem na wyspę i dokładnie jak przepowiedział to napis, ujrzałem ową księgę!

Boże! Strach zdławił mi gardło. Zimny pot jął spływać cieniuchną strużką wzdłuż kręgosłupa.

Chociaż sama księga – prócz tego, iż na okładce nie wytłoczono żadnego tytułu – niewiele różniła się od innych starych ksiąg, sprawiła, iż począłem odczuwać grozę. Byłem igraszką w rękach jakowychś sił nieznanym a potężnym, sił zdolnym dokonać ze mną wszystkiego, czego tylko zapragną, ja zaś nie byłem w stanie im się przeciwstawić.

A może byłem?... Może byłem, tylko nie wiedziałem jak?...

Ostrożnie ująłem leżącą księgę i przyjrzałem się jej z bliska. Na okładce dostrzegłem odcisnięte i wyzłocone ornamenty, ornamenty dokładnie te same,

które widniały na szkatułce i na owym głazie, na którym spędziłem poprzednią noc. Znowu dominował motyw odwróconego trójkąta i liści bluszczu.

Delikatnie odłożyłem księgę na bok i podźwignąwszy się na nogi, rozejrzałem bacznie dookoła.

I wówczas mój umysł nie zniósł już następnej porcji niesamowitości i grozy. Zobaczyłem otaczające mnie postacie – szkaradne, ohydne, bluźniercze postacie, które do bytu powołać mógł jedynie jakiś demiurg schorzały w swojej wyobraźni.

Jąłem krzyczeć. Mój wrzask narastał, stając się coraz wyższy i wyższy, aż osiągnąwszy pewien pułap, jął opadać, by na koniec przejść w charczenie. Wszystko to powtarzało echo, odsyłając z powrotem krzyk z pustki rozległych kamiennych korytarzy, które wiodły kędyś hen, daleko w głąb ziemi.

Znalazłem się na granicy szaleństwa i tylko cud mógł mnie uratować, tylko cud sprawić, bym zachował zdrowe zmysły. I wówczas ów cud się zdarzył. Oto bowiem pokraczne stwory, które rozpoznałem bez trudu, bowiem ich podobizny ozdabiały starożytną mapę wyspy, jeden po drugim jęły przybliżać się ku mnie, a ustawiwszy w szeregu, padały na twarze, oddając mi hołd i pokłon.

Jak raptem począłem krzyczeć, tak i raptem zamilkłem. Przyglądałem się temu pełen zdumienia i zaskoczenia. A zatem nie musiałem się ich lękać. Oto bowiem pokazały mi dowodnie, iż uznają moją zwierzchność nad sobą i moją nad nimi władzę.

Stałem naprzeciw potworków milczący, czekając, co też dalej będą czyniły, a one raz po raz, siedmiokroć, powstawały na nogi, by ponownie padać przede mną na twarze.

Gdy skończyły ceremonię, wszystkie prócz jednego, tego o najszkaradniejszej gębie, cofnęły się pod przeciwległą ścianę. Ów, który pozostał, dość długo, nie poruszając się wcale, wpatrywał się tylko w moją twarz, a potem ułożywszy szpetne wargi w długi, wąski ryjek, zasyczał.

I o dziwo – wraz z owym sykiem w moim umyśle jąła formować się myśl. Myśl, którą – czego byłem pewny – przesłał wprost do mego mózgu ów pokraczny stwór.

To było niesamowite. Rozumieć obcą sobie gatunkową istotę, nie znając jej języka. Widać, iż możemy się bez najmniejszego nawet trudu porozumieć.

Stwór zasyczał raz jeszcze i wtedy pojąłem wagę informacji, którą chciał mi przekazać.

Wsluchiłem się zatem uważnie w myśl wdzierającą się mi pod sklepienie czaszki.

– Nie przybyłeś tu przypadkiem, człowiecze! Nie przypadkiem! Czekaliśmy na ciebie od dawna. Przez dni i noce i tygodnie. Przez miesiące i pory roku. Przez lata wlokące się w nieskończoność... W nieskończoność...

Po chwili milczenia stwór ciągnął dalej:

– Twój naddziad przed wiekami był już na tej wyspie. Zatem nie gościmy pierwszej osoby z rodziny Semberków. Twój naddziad poprzysiągł na wszystko w co wierzył i szanował, iż powróci tu, by dokonać pewnego obrzędu...

– Jakiego obrzędu? – przerwałem stworowi zaintrygowany, a i zaniepokojony jednocześnie.

– Nie przerywaj, panie – odrzekł na to. – O obrzędzie dowiesz się aż nadto, tyle iż w stosownym po temu czasie. A zatem twój naddziad poprzysiągł, iż powróci tu, by dokonać pewnego obrzędu, a gdyby mu cokolwiek przeszkodziło owo uczynić, nam, których tu oglądasz, przekazuje władzę nad jego potomstwem, aż do siódmego pokolenia. Ażeby ktoś z jego krwi, ktoś z jego kości, dopełnił tego, czego on dopełnić nie mógł.

– W zamian za przysięgę, wziął od nas ogromne skarby, lecz aby móc pozostać ich właścicielem, aby ich nie utracić, iżbyśmy ich posiadana, a obcą ludziom mocą, nie unicestwili przypadkiem, zobligowany był podtrzymać ciągłość swego rodu,



przekazując zarówno życie jak i swój dług potomstwu. A twój przodek był zachłanny, panie! O! Bardzo zachłanny!

Teraz zrozumiałem nareszcie dlaczego w podeszłym wieku uciekł z Krzykos do N. i czemu poślubił tam młodą dziewczynę, która dała mu syna. Uciekł, bo nie miał zamiaru dochowywać obietnicy i powracać na wyspę. Naiwny, jakby stwory, które tu ujrzałem, nie były zdolne odszukać go i przymusić do tego, jak owo uczyniły ze mną. A żona i dziecko potrzebne mu byli wyłącznie, by nie utracił bogactw uwiezionych z wyspy do dalekiej ojczyzny.

– Chociaż sporo już wiesz, mój panie, nadal to co najistotniejsze, co stanowi jądro tajemnicy, skryte jest przed twoimi oczyma i twoim umysłem. Mniemam, iż dostąpiwszy wtajemniczenia, nie postąpisz tak, jak przed stuleciami postąpił twój przodek – podle i haniebnie: cedując swój dług na potomstwo – stwór kontynuował swą przemowę. – Mniemam, iż gdy twój rozum dostąpi oświecenia, gdy – jedną po drugiej – skruszysz pieczęcie tajemnicy, świadomie i dobrowolnie zapragniesz nam pomóc... Wiedzieć musisz o dwu rzeczach: iż chociaż podstępnie i pozbawiając możliwości o decydowaniu o sobie – sprowadziliśmy cię na wyspę, to owa pomoc, iżby mogła być skuteczna, musi wypływać z nieprzymuszonej woli, zrozumienia i chęci pomocy.

– Ale czego, czego właściwie oczekujecie ode mnie? Przemawiasz już tak długo, a wciąż nie wiem kim jesteście, ani po co się tu – ja, konkretnie ja – znalazłem, ani też cóż takowego mam uczynić? – zapytałem poirytowany z lekka.

– Wszystko we właściwym czasie – odparł stwór. – Teraz co najwyżej odpowiem na jedno z twych pytań. Jesteś Semberkiem w siódmym pokoleniu... Po twej śmierci – choćbyś i miał potomstwo – umowa między nami, a twoim naddziadem wygasa, a gdyby to się stało... Cóż, powiem szczerze: jest to kwestia życia bądź śmierci – a właściwie nie tak, bowiem z natury swojej jesteśmy nieśmiertelni – jest to kwestia dalszej walki o należne nam prawa, bądź też

przymusowej kapitulacji, przed wrogą i wstrętną nam mocą. Pojmujesz teraz, iż jako jeden jedyny, ten który może uchronić od najgorszego, jesteś dla naszej rasy szczególnie cenny? Ale skończmy na razie rozmowę.

Stwór syknął jakoś inaczej, tak iż znaczenia tego syku mój umysł nie zdołał rozszyfrować, a wtedy podeszło ku mnie dwu szpetnych karłów i chociaż delikatnie, to jednak stanowczo ująwszy mnie za ręce, powiodło wąskim korytarzem prowadzącym z pieczary, w której się znajdowałem, kędyś w głąb wyspy.

Ściany skalnego tunelu nierówne i chropowate, jarzyły się jakąś niesamowitą fiołkowobłękitną poświatą, dostarczając tyle blasku, iż marsz i to nader szparkim krokiem, po wysypanym żwirem podłożu, nie sprawiał mi najmniejszych nawet trudności.

Wszystko to było nader niesamowite i tak różne od tego, czego tylko zaznałem w swoim dotychczasowym życiu, iż mimo pewnego oswojenia się z dziwacznością i nierealnością zdarzeń doświadczanych od pewnego już czasu, znów – mimo iż wprawdzie przyćmiony – powrócił lęk, drażący moją duszę niczym robak przegryzający się przez drewno.

Korytarz czas jakiś łagodnie opadał, aby raptem unieść się ku górze, jednocześnie skręcając pod kątem prawie prostym i ukazać poza swym wylotem niezbyt wielką pieczarę, której ściany i dno wyścielone były cudownymi dywanami, jedwabistymi i miękkuchnymi w dotyku, a utkanymi z piór jakichś egzotycznych ptaków.

Pod jedną ze ścian widniało niezbyt wysokie podwyższenie, całe wymoszczone stertą czegoś, co przypominało wyglądem puchowe kołdry. Tuż obok podwyższenia znajdował się sześcioboczny blok wyrobiony z jednej bryły malachitu, doskonale wypolerowany i zdobny wymyślnym płaskorzeźbionym ornamentem.

Na blacie owego bloku ustawione były pozłociste, sadzone kamieniami szlifowanymi kunsztownie i siejącymi ogniste błyski, naczynia z różnymi potrawami, których nawet nie umiałem nazwać. Pomiędzy nimi zauważyłem flaszki i amfory z napojami, oraz ręką niebyle jakiego mistrza wyrzezaną z kryształu górskiego niewielką pucharek.

– Oto twoje mieszkanie. Tu będziesz, panie, sypiał i jadł – ozwało się w moim mózgu, chociaż żaden z karzełków nie wydał z siebie głosu.

Pociągnęli mnie do sąsiedniego pomieszczenia. Prawie całe zajmowała spora sadzawka napełniona ciepłą – sprawdziłem to dotykiem dłoni – mlecznobiałą cieczą o mocnym zapachu hiacyntów.

– Tu możesz oczyścić się z brudu – nowa myśl odezwała się w moim mózgu – Tu będziesz mógł odpocząć i odzyskać siły, jeżeli poczujesz się wyczerpany.

I znów kilkanaście kroków dalej i nowe pomieszczenie.

Poza otworem w dnie jaskini – zda się sięgającym dość głęboko, bo aż powierzchni podziemnego strumienia, którego szum, szum silnego i wartkiego nurtu, dobiegał uszu – nie było nic zgoła.

– Tutaj będziesz mógł załatwić swoje naturalne potrzeby – rozległo się pod sklepieniem czaszki.

Później wróciliśmy do pierwszej z pieczar. Karły podprowadziwszy mnie do miękko wysłanego leża, skłoniły się w milczeniu i oddaliły w kierunku wyjścia. Jeden z nich mijając malachitowy stół (używam określenia stół, bowiem ów sześciątą taką właśnie rolę spełniał, chociaż w niczym zwyczajnego stołu nie przypominał) położył na nim oprawną w safian, opieczętowaną siedmioma pieczęciami księgę. Nie miałem pojęcia skąd ją wziął, bo wcześniej nie widziałem jej w jego ręku.

Jeszcze jedna zagadka...

Skoro zostałem sam, udałem się natychmiast do pokazanej mi uprzednio

sadzawki i rozebrawszy się, zanurzyłem w ciepłej kąpieli. Odczuwałem cudowną błogość. Zmywałem z siebie brud, jednocześnie odczuwając napływ nowych sił i wyostrenie jasności umysłu.

Ciecz, w której się zanurzyłem opalizowała z lekka, powoli zmieniając barwę z mlecznobiałej na szafranowożółtą, później na ostropomarańczową i wreszcie na szkarłatnoczerwoną, momentami przechodzącą w purpurową. Wyszedłem z kąpieli odświeżony i rześki. Było mi ciepło, bardzo ciepło, a kropelki wilgoci perlące się na skórze, błyskawicznie zniknęły, wysychając w suchym powietrzu.

Postanowiłem, iż winienem również uprać swe odzienie. A ono, gdy to uczyniłem, uległo jakiejś dziwnej przemianie – nie tylko, że znikły zeń wszelkie ślady uszkodzeń, ale stało się mocne i na powrót nowe.

Gdy ukończyłem ablucję i pranie, ciecz w sadzawce wzburzyła się nagle, na jej powierzchni jęły się tworzyć ogromne bąble, które z sykiem pękały, uwalniając gaz, jaki je wypełniał. Potem zdało mi się, iż cała zawartość sadzawki jęła wrzeć. Temperatura w pomieszczeniu gwałtownie wzrosła, gorąco stało się wprost nie do zniesienia. Lecz wszystko to trwało ledwie kilka chwil.

Jak owe dziwy gwałtownie się zaczęły, tak też gwałtownie ustały. Powierzchnia cieczy uspokoiła się i odzyskała swą pierwotną, mlecznobiałą, z lekka opalizującą barwę.

Wróciłem do pieczary, przeznaczonej mi na mieszkanie. Widok potraw, którymi zastawiony był stół, natarczywie przypominał o głodzie, coraz mocniej ściskającym mi bolesnym skurczem wnętrza. Lustrowałem z zaciekawieniem widok półmisek i talerzy. Były na nich jakieś mięsa, przyrządzone, przyprawione i przyozdobione w nieznany mi sposób. Dalej – białawożółte bulwy, egzotyczne owoce, wreszcie też coś, co odrobinę przypominało galaretkę, ale było nazbyt rzadkie, żeby w całej pełni na jej miano zasługiwać. Od jedzenia smużył się miły dla nozdrzy i podniecający dla podniebienia zapach.

Nie namyślałem się już dłużej i rozsiadłszy wygodnie na miękkim legowisku, jąłem się posilać. Wszystko czegokolwiek kosztowałem, miało wyborny smak, dostarczający niewysłowionej wprost rozkoszy podniebieniu. Nie sądzę, iżby najwięksi bogacze, najpotężniejsi z monarchów mieli możliwość jeść, choćby tylko raz w życiu, równe tym wspaniałości.

Flasze i amfory napełnione były alkoholizowanymi napojami, doskonałymi w smaku, o cudownym aromacie i barwach. Nopojami przyprawiającymi o lekkuchny zawrót głowy, ale nie działającymi tak oszołamiająco, jak trunki, które pijałem wprzód, w swoim świecie.

Najadłszy się i napiwszy – aż do przesytu – spojrzałem na leżącą, na skraju malachitowego blatu, księgę. Mimo, iż wiedziałem, że jestem tutaj bezpieczny, bowiem sposób, w jaki ze mną postępowano zdawał się na to wskazywać jednoznacznie, na jej widok poczułem się jednak nieswojo. Stały mi bowiem w pamięci wszystkie dotychczasowe niemiłe, budzące dreszcz grozy zdarzenia, których owa księga była niejako symbolem.

Ale przecież jakaś siła, coś, czego nie sposób opisać, jeśli samemu się tego nie doświadczyło, jakiś wewnętrzny przymus, popychały moją dłoń ku woluminowi oprawnemu w safian. Dłoń sunęła wolno, cal po calu, aż wreszcie dotknęła złoconego brzegu, a palce zwały się na nim w mocnym uchwycie.

Ująłem księgę w obie dłonie i – nie wiedzieć czemu drżąc – patrzyłem na nią. I oto raptem, skądś z najdalszych pokładów umysłu, z mrocznych głębin niepamięci, wypełził do wierzchu znajomy mi syczący głos koszmarnego mnicha w kapturze nasuniętym na wężową głowę:

„– Złam pieczęcie... Złam pieczęcie...”

Nie, nie słyszałem żadnego realnego głosu, to była tylko myśl, nic nadto. A jednak... jednak podziałała na mnie hipnotycznie. Bezwolnie poddałem się wewnętrznemu przymusowi.

Spoglądałem na własne palce jakby z pewnego oddalenia, z jakiegoś dystansu, tak jakbym tkwiąc w ciele, jednocześnie nie miał nad nim żadnej władzy. Szeroko otwartymi oczyma śledziłem ruch kciuka i palca wskazującego. Nacisnęły na wosk, a ów pękł. Rozkruszyły go i odrzuciły na bok.

A potem, potem pieczęcie jedna po drugiej pękały, aż złamana została ostatnia. Dostęp do wnętrza księgi był wolny...

Serce łomotało mi w szalonym rytmie, omal nie rozsadzając klatki piersiowej. W ustach poczułem suchość i dłonie mi drżały. Powoli, bardzo powoli, odchyłałem na bok okładkę, pełen lęku iż może ujrzę coś groźnego, coś przerażającego, a jednocześnie ciekawość przymuszała mnie, bym zajrzał do wnętrza. Zerknąłem na pierwszą stronę otwartej już księgi i ogarnęło mnie ogromne rozczarowanie. Oto bowiem patrzyłem na pożółkły ze starości pergamin, szeleszczący i szorstki, na którym nie wypisano ani jednej litery, nie skreślono ni jednego znaku. Przerzucałem kartkę za kartką, lecz wszystkie były jednakie – przeraźliwie puste.

„– Oto jedna z owych tajemnic, która po bliższym przyjrzeniu się im, miast się odkrywać, stają się jeszcze bardziej tajemnicze. A może?... a może to wszystko nicość? Pustka i nicość?” – pomyślałem.

Już z niechęcią i czymś w rodzaju psychicznego niesmaku miałem księgę odsunąć od siebie, gdy oto naraz, spośród jej kart, kart czystych i nie zapisanych, rozległ się zrazu szept, który nasilił się, aż wreszcie przemienił w głos, całkiem wyraźny głos, o łagodnym brzmieniu, wypowiadający słowa, których pojedynczych dźwięków nie pojmowałem, lecz ich sens i sens zdań, które budowały, był dla mnie całkiem zrozumiały. Zadrzałem, gdy dotarło do mojej świadomości:

„– A zatem przekroczyłeś próg, przestąpiłeś granicę, spoza której nie ma już powrotu. Nie musiałeś, lecz wybrałeś. A skoro wybrałeś, już musisz poznać. Poznać wszystko. Do końca. Aż do samego jądra tajemnicy...”

Siedziałem nieruchomo, zapatrzony w mówiącą księgę, mimo woli powstrzymując oddech i z całej mocy zaciskając dłonie w pięści, aż pobiełały mi knykie. Przed szeroko rozwartymi oczyma jeły pojawiać się koncentryczne, srebrzystoszare kręgi, obracające się z szaloną prędkością, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zlały się w tuman mgielny, z którego zaczęły wyłaniać się obrazy. Zrazu nieostre i rozmyte, ale w miarę jak natężałem wzrok, bardziej i bardziej wyraźne, aż nareszcie stały się doskonale czytelne.

Oto przesuwały się przede mną widoki miast, których bez wątpienia ludzka ręka nie wzniosła.

Miast monstrualnych i mrocznych, o dwu dominujących barwach: czerni i szarości, poprzecinanych gdzieniegdzie tylko rozbłyskami granatu. Ulicami tych miast, stojących wzdłuż morskiego wybrzeża, którego piasek ustawicznie lizały długie jęzory ołowianosinych fal, przesuwali się w nigdy nie kończącym się korowodzie, jakowis ludzie – nie ludzie, zwierzokształtne istoty, od których emanował smutek i ból. I ów smutek i ból był tak silny, iż docierał do mnie. Oni cierpieli i ja cierpiałem wraz z nimi. Ale o dziwo, owo cierpienie, w miarę jak trwało coraz dłużej i dłużej, stając się wprost niemożliwe do zniesienia, jednocześnie poczynało dostarczać rozkoszy. I to rozkoszy tak wielkiej, tak głębokiej, że aż nieporównywalnej z żadnym ludzkim doznaniem.

Nie wiem skąd, ale wiedziałem to, iż owe miasta, wielkie miasta, potężne miasta – jedyne w swoim rodzaju w całej niezmierzonej przestrzeni Kosmosu – skazane są na powolne konanie i w końcu na unicestwienie.

Czułem nienawiść ich mieszkańców, nienawiść tak mocną, że aż wdzierającą się dominującym bólem w samą głębię mózgu, nienawiść ku jakowymś innym istotom, których sylwetki w rozmytej perspektywie, rozświetlonej błyskami promieni słonecznych, rysowały się kędyś na jasnoblękitnym tle firmamentu.

Zapraęnałem przyjrzeć się im bliżej i... spostrzegłem ludzi. Zwykłych ludzi.

Członków mojego gatunku. Zrozumiałem, że nie wiedzą oni niczego zgoła o owych miastach mrocznych i o przepelnionych bólem rozpaczy zwierzkształnych istotach.

Dwa światy – świat czerni i świat blasku, przenikające się wzajemnie, a jednak tak od siebie odległe. I pojąłem, iż mój świat może się obejść bez tego drugiego świata, lecz ów bez mojego skazany jest na zapomnienie, gorsze może nawet od unicestwienia.

Chwile skapywały powoli i długo, zanim spostrzegłem – nie, nie jest to odpowiednie słowo, lecz niestety nie potrafię znaleźć innego, trafniejszego – że wśród mych pobratymców znajdują się osobnicy mający pewną wiedzę o świecie mroku, czerni i szarzyzny, i że gdy oni czynią coś, czego znaczenia pojąć nie mogłem, lecz domyślałem się, iż ma to związek z oddawaniem kultu istotom z mroku, te ostatnie rosną w siłę, stając się potężniejsze, narasta ich nienawiść, a wraz z nią odczuwanie rozkoszy, której kulminacją jest rozpacz tak potężna, że aż popychająca ku czynom pełnym ohydy.

Zafascynowany spoglądałem nadal na obrazy przesuwające się powoli przed moimi oczyma, nie chcąc, nie mogąc, nie potrafiąc odwrócić się od nich. I wówczas w mózgu zakiełkowała myśl, że ów zapomniany świat smutku i rozpaczy niegdyś był inny, przepelniający sobą całą przestrzeń, ogarniający wszystkich nas ludzi i że mógłbym – być może – znowu stać się taki, gdyby ktoś z mojego gatunku sprawił, iżbyśmy stali się czcicielami tych, których kiedyś porzuciliśmy dla innych istot i innego świata.

I zrozumiałem jeszcze jedno, że odwrócenie biegu dziejów, odwrócenie czegoś, czego pozornie odwrócić się nie da, leży w MOJEJ mocy. JA jeden, jednym aktem SWOJEJ woli, jednym gestem, zdolny jestem zawrócić strumień czasu od ujścia do oceanu Wieczności, ku źródłom Prapoczątków, gdy czerń dopiero oddzieliła się od bieli.



Poczułem się silny. Potężny. I ważny. Pojąłem na czym polega rozkosz czerpana ze świadomości własnej mocy. Zachłysnąłem się sobą i sam sobą zadziwiłem. Oddałem się samouwielbieniu.

Naraz czar prysnął. Obrazy znikły. Znów znalazłem się w urządzanej z przepychem pieczarze. Uniosłem głowę sponad otwartej księgi i dostrzegłem stojącą obok wejścia postać karła. Ów ujrawszy, iż odzyskałem panowanie nad zmysłami, podszedł ku mnie i ująwszy za rękę, bez słowa poprowadził korytarzami drążonymi w twardej skale, prawdziwym ich labiryntem, siecią, w której raz ugrzążnawszy, można było się błąkać do końca swych dni, nie odnalazłszy drogi ku dziennemu światłu, ku powietrzu, słonecznym promieniom, zapachom rozgrzanej ziemi, ziół, traw, kwiatów, ku pieszczocie delikatnego wietrzyku.

Idąc, początkowo usiłowałem zapamiętać drogę, którą wiódł mnie stwór, wszakże rychło dałem temu spokój. Zagubiłem się w płątaninie mrocznych korytarzy, rozświetlanych jedynie fosforyzującym poblaskiem sączącym się ze ścian. Dałem za wygraną, biernie i ulegle trzymając się przewodnika.

Nasza wędrówka musiała trwać długo, nader długo, bowiem po jakimś czasie jałem odczuwać dominujący ból w stopach i ucisk w piersi. Zatrzymałem się i oparłszy o chłodną kamienną ścianę, odpoczywałem.

Karzeł wyraźnie się niecierpliwił, co i raz szarpiąc mnie za rękaw, ale nie zwracałem na niego uwagi. W dalszą drogę ruszyłem dopiero wówczas, gdy rytm serca na nowo stał się normalny i przestałem szybko i płytko oddychać.

Ale teraz wędrówka nie trwała już długo. Oto skręciliśmy w niski korytarzyk, który zaprowadził nas do owalnej groty. Była pusta. Nagie kamienne ściany i czarny, smoliście czarny piasek zaścielający jej dno, sprawiały przygnębiające wrażenie. Błądziłem wzrokiem po pomieszczeniu i naraz... Naraz zauważyłem bardziej zdziwiony niż przestraszony: Oto z kąta spowitego nieprzeniknionym mrokiem, wysunęła się znajoma mi już sylwetka tajemniczego mnicha.

\* \* \*

Tym razem nie krył swojej przerażającej głowy pod kapturem. Wężowe nieruchome oczy spoglądały na mnie przenikliwie, a długi, rozwidlony na końcu język co i raz wysuwał się z ust, aby na powrót błyskawicznie w nich zniknąć.

– A zatem spotkaliśmy się znowu... Hansie – wyszczał stwór, a w syku tym było coś bluźnierczego. – A zatem spotkaliśmy się znowu – powtórzył. – Do tej pory miałem cię strzec i ochraniać. To było łatwe. Teraz zaś stoi przede mną nieporównywalnie cięższe zadanie. Teraz mam ci przekazać pewną tajemnicę. Tajemnicę, której cząstkę dano ci już posmakować.

Tajemnicę, o którą ledwie się otarłeś, a już rozpała wyobraźnię.

Ale nim ostatecznie zerwę zasłonę i twoim oczom odkryję coś, czego jeszcze nikt przed tobą nie oglądał, będę musiał rozjaśnić twój umysł. Umysł, który zdaje się niczego nie pojmować, chociaż może i niejednego się domyśla. Posłuchaj mnie zatem:

– Gdy jeszcze nie było czasu, ani nieba i jego bezkresnej otchłani, ani gwiazd, ani czerni nocy, ani światłości dnia, ja już zaistniałem. Było nas dwu: On i ja i nikogo i niczego nadto. Czy twój ludzki mały, płytki rozum zdolny jest pojąć znaczenie tych słów? On i ja. Dwie jaźnie, zawieszony w doskonałej próżni.

Jego jaźń była starsza, to ona sprawiała, iż zaistniała moja. A potem... potem On zdecydował, iż powstawały byty, iż niebiosy zapełniły się bytami. Iż pustka przestała być pustką i czas – niezmordowany czas – rozpoczął swoją wędrówkę. Wędrówkę, której nie przerwie nigdy, nie ustanie w swym biegu ani na sekundę, aż do momentu, gdy wszystek wpłynie do oceanu Wieczności, a jego źródła wyschną raz na zawsze. Do momentu, gdy zapanuje ustawiczna terażniejszość. Do dnia obrachunku dokonań wszystkiego, cokolwiek i kiedykolwiek zaistniało

w nieskończoności Wszechświata. Do Dnia zwanego Ostatnim.

Gdy tylko powołał mnie do bytu i zaistniałem, zostałem przepelniony niewysłowionym szczęściem, a jedynym uczuciem, jakiego doświadczałem była miłość. Mijały wieki i stulecia. A może chwile? A może miliony lat? Aż wreszcie nadszedł moment, w którym, w najodleglejszych pokładach mojego umysłu, jęła kiełkować – zrazu nieśmiało, by później rozrosnąć się w potężne drzewo – myśl pewna...

Przerwał, w zamyśleniu spoglądając niewidzącymi oczyma gdzieś w dal niezmierną, poprzez grube ściany skał, sklepiających się ponad naszymi głowami setkami tysięcy ton ciężaru.

Na jego twarzy odmalował się bezgraniczny smutek. I rozpacz, rozpacz tak wielka, że i mnie samemu jęła się ona udzielać. Drgnął, jakby raptem obudził się z głębokiego snu i jego oblicze znowu zatraciło jakiegokolwiek cechy człowiecze, stając się na powrót nieruchomą węzową maską.

Oto pomyślałem sobie – ciągnął dalej potworny stwór – iż dlaczego On, tylko On, ten Pierwotny, szczyli się i jest dumny ze swoich dokonań? Czemu jemu i tylko jemu, wszystko – jak Kosmos bezgraniczny – oddaje cześć i uwielbienie?..... o mnie nikt nie wiedział... a może nie pamiętał?..... a czyż byłem dużo gorszy od Niego?..... miałem siłę, i władzę, i moc. Byłem potężny, byłem wielki. Na moje słowo formowały się światy. Na odzew mej woli piaski pustyni zasypywały bujne lasy. Byłem wreszcie piękny. Najpiękniejszy z wszelkich Jego stworów.

Byłem piękny niczym światłość. Sam to powiedział. Szczylił się, iż sprawił że zaistniało tak delikatne, wysublimowane, najdoskonalsze w każdym detalu piękno..... ale popełnił jeden błąd... poważny błąd... Dał mi wolną wolę, dał możliwość wyboru, nie zakazał marzeń ni snów o władzy jeszcze większej niż ją miałem w nieskończoności Wszechświata. A moja władza była ogromna...

Niejednokrotnie zastanawiałem się dlaczego tak, a nie inaczej postąpił. Przecież był najwyższą mądrością, wiedział o wszystkim zanim zaistniało, zanim się dokonało. Zatem musiał wiedzieć i to, że w mym umyśle poczną się lęgnąć myśli-robaki, drążące mnie od wewnątrz niczym korniki drążące spróchniały pień wierzby. Może chciał ze mnie zakpić? Może wypróbować? Może napawać się moim cierpieniem... Ach tak! On wiedział, iż będę cierpiał od chwili, gdy tylko zapragnę Mu dorównać!

Zdumiony i przerażony słuchałem słów bluźnierczego mnicha. I chociaż całe moje jestestwo buntowało się przed nimi, mówił w sposób tak przekonujący, z taką pasją, z taką siłą, iż mimo woli poczynałem mu współczuć. Jeszcze próbując zachować resztki racjonalnego myślenia, zapytałem nieśmiało:

– A może On cię po prostu tak kochał i takim darzył zaufaniem, iż nigdy i w niczym nie chciał ograniczać? Krępować twej woli, ani twej siły, ani twych myśli?

– Ach! – wybuchnął wężogłowy mnich. – Nie broń Go! I ty go bronisz?! Ty Go tłumaczysz?!

Ja wiem, że zechciał się napawać moim cierpieniem. Cierpieniem z żądy dorównania Mu i przewyższenia Go, z żądy zajęcia Jego miejsca. Och! On to wiedział, patrzył na moje wewnętrzne zmagania. Patrzył i milczał. Patrzył jak ból pożądlivosti, niezaspokojonej pożądlivosti rozrywa mnie wprost na strzępy, kawałkuje, rozdziera. I pomyśl! Nie odsunął mnie od Siebie! Nadal pozwalał mi być drugim po sobie we Wszechświecie! Jakże to wytłumaczyć?

Albo mną pogardzał i lekceważył, albo... albo się lękał. I jedno i drugie było dla mnie poniżające i nie do zniesienia.

Aż nadszedł moment kiedy rzuciłem Mu wyzwanie. Bluźnałem Mu nim prosto w twarz. Nie, On nie ma twarzy. Przelałem całą moją do Niego nienawiść wprost z umysłu, do umysłu. Ale On jeszcze i wtedy nie chciał ze mną walczyć! Nie

chciał! Gardził mną! Czy ty wiesz co znaczy odczuwać, że się jest pogardzanym? Wiedzieć, rozumieć, myśleć o jednym tylko, wciąż o jednym, o jednym! O tym, iż jesteś nikim, iż mają cię za nic! Od pogardy nie ma chyba większej tortury!

Ach! jakaż radość ogarnęła moje jestestwo, skorom zobaczył, że w swych doznaniach wcale nie jestem osamotniony. Oto część bytów, mnie podobnych, choć młodszych i nie mających nawet cząstki mojej mocy i znaczenia stanęła za mną. Teraz, gdy było nas wielu, poczułem potężny przypływ siły! Chciałem walki. Walki z NIM. I wiedziałem, i byłem pewny, iż muszę wygrać. Muszę!

Znów zamilkł. Nieruchoma, wężokształtna maska, poczęła się zmieniać, elastycznie, aż stała się zdolna do wyrażania uczuć, tak jak najpierw.

Oto spoglądałem na nieszczęśnika. Na kogoś, kto beznadziejnie przegrał i wie o tym, ale mimo wszystko nie poddaje się do końca. Choć rozumie, że nic, i nikt, i nigdy nie może go uratować, wydzwignąć z otchłani nieszczęścia, do której skok świadomie wybrał, i dobrowolnie.

I wówczas, za to iż jednak się nie poddaje, poczułem doń nagły przypływ sympatii i słabe, bardzo słabe, lecz przecież coraz bardziej narastające uczucie niechęci ku TEMU, którego nienawidził mnich.

– I jak myślisz? Czy osobiście podjął ze mną walkę? Och, nie! On po prostu wydał rozkazy wiernym sobie bytom i przegnał mnie precz z miejsca, czy też raczej punktu, gdzie nie ma czasu, ni przestrzeni. Przegnał tutaj, na tę planetę. Moje miejsce zajął ktoś inny. Ja zaś i ci, którzy opowiedzieli się po mojej stronie, upokorzeni i podbici, czekamy z wiarą na moment, w którym nadejdzie rozkosz odwetu. Bo odwet nadejść musi. Gdyby bowiem miało być inaczej, jakiż sens miałoby to, że istnieję, jakiż sens miałoby moje uporczywe trwanie, kurczowe trzymanie się jednej myśli, myśli o zemście, która sprawia, iż do tej pory jeszcze nie oszalałem, chociaż jestem bliski obłądu!

Miał nadzieję, że skoro się mnie pozbył, wszystko już pójdzie gładko. Wszakże

był w błędzie.

Upatrył sobie nowych ulubieńców – gatunek, do którego sam należysz. Ale zmieszałem Mu szyki. Popsułem wszystko. Sprawilem, iż prócz nielicznej garstki, cała reszta ludzkości czyni to i tak, jak ja chcę, a nie On. Ba! Sprawilem też, iż wśród ludzi znajduje się wielu takich, którzy mnie, a nie Jego uznają za swego najwyższego pana. Dla mnie odprawiają obrzędy, dla mnie spalają kadzidła, do mnie zanoszą modły.

Ale i On nie dał za wygraną. Mało mu było tego, iż mnie upokorzył, mało iż przegnał, pozbawił znaczenia i władzy, jaką ongiś miałem. Jął ścigać i tu, na Ziemi.

Sprawił, że po śmierci Jego Syna, do której nie kto inny, lecz ja właśnie podbechtałem Jego własnych kapłanów (z czego jestem dumny), miał zdobyć więcej zwolenników i wyznawców, począłem ich tracić. Zrozumiałem, iż znowu przegrałem. Ale jednak nie poddałem się przecież. I nigdy nie poddam!!!

Ostatnie zdanie rozdarło ciszę podziemia ochryplym krzykiem, w który włożył całą swoją nienawiść i całą swoją mękę. Z odległych korytarzy, odbite od skalnych ścian, wracały echem słowa: „... nie poddam... nie poddam... nie poddam...”

– Chyba, że mnie uwięzi w miejscu, z którego nie będę w stanie się wydostać, lub ostatecznie unicestwi aktem woli odwrotnym do tego, którym na początku czasu powołał mnie do bytu... – dokończył myśl prawie szeptem.

Ale później z werwą podjął z powrotem:

– Lecz ja nie załamałem się przegrana. Bój rozpocząłem na nowo. Krążyłem wśród ludzi niewidoczny dla ich oczu, szeptałem do ich uszu, choć nie słyszeli mojego szeptu. I znów, powoli lecz stale, przybywało tych, którzy we mnie nie w Nim, chcieli widzieć swego jedyne go pana.

Jego kapłani poczeli ścigać mych wyznawców. Prześladowani i bici, kryli się po lasach i uroczyiskach. Przelewali dla mnie krew i żywcem płonęli na stosach, konając w męczarniach.

Wielu zdradziło, wielu się ulękło, wielu odwróciło ode mnie. Osłabłem. Wycofałem tutaj, na tę wyspę, zagubioną pośród niezmierzonej pustki oceanu, na wyspę, której nie odnajdziesz na żadnej z map, bo tej wyspy tak naprawdę nie ma.

Czekałem – nabierając sił i przygotowując się do nowej walki. Czekałem na dogodną chwilę.

Twój naddziad obiecał, iż dzięki niemu kiedyś ona nadejdzie. I chwila ta właśnie teraz już nadeszła...

Wierni mi, przez lata i przez wieki całe żyjący w osamotnieniu, niechaj znów poczują się silni i ważni. Niechaj przestaną się lękać. Niech śmiało i otwarcie głoszą na nowo mą chwałę. Niech modlą się do mnie, niech cieszą się dla mnie, niechaj mi składają ofiary. Niech czynią wszystko, cokolwiek tylko może im dać rozkosz i zadowolenie. Niech nie cofają się przed niczym!

Tak, widzę to, ludzkość odwraca się od Niego. Ludzkość Go nie chce! Chociaż mnie nie zna, ba! nie wierzy we mnie, to jednak czyniąc to, co czyni, ceniąc to, co ceni, kochając to, co kocha, przynależy do mnie, nie do Niego!

Niektórzy się mnie lękali, niektórzy lękają jeszcze. Ty już nie. Wiem to, widzę to. Już nie budzę u ciebie grozy swoim widokiem. Wyczuwam myśl rodzącą się w twoim mózgu. Drobną na razie, ledwie kiełkującą: iż przecież chciałbyś mi pomóc. Bo ty masz szlachetne serce.

Współczujesz skrzywdzonym. A czy znasz kogoś bardziej niż ja skrzywdzonego? Czy jeszcze jedna jedyna choćby istota bardziej cierpi w niezmierzonej otchłani Kosmosu, niż ja? Niż cierpi SZATAN?...

Ukrył swoją wężową głowę w szczupłych kościstych dłoniach, przez skórę których przeświecały fioletowe żyłki i zdało mi się, że załkał, bo jego ciałem wstrząsnął spazm: jeden, i drugi, i trzeci. Lecz nie były to łzy, ani ból, ani żal. To była wściekłość i nienawiść. Męka bezsilnej rozpacz.

Stałem patrząc na tego, który wreszcie wymówił swe imię. Imię straszne

i budzące grozę.

Lecz poza współczuciem dla cierpiącego, nie odczuwałem niczego ponadto.

Podszedłem doń i lekko, końcami palców dotknąłem ramienia Szatana. Wyrzekłem cicho:

– Nie zawiedziesz się na mnie. Chcę ci pomóc. I uczynię wszystko, cokolwiek tylko w mojej mocy, aby przynieść nieco ulgi twemu utrapieniu.

Odsłonił twarz i patrzył długo, bardzo długo w moje oczy. Zdawało mi się, iż przewierca się w głąb mojej duszy, że nasącza ją swoją wolą, swoją nienawiścią, swoim bólem, swoimi pragnieniami i pożądaniami.

Dałem mu przyzwolenie. Świadomie i dobrowolnie, a on je skwapliwie wykorzystał. Gdybym nie wyrzekł wcześniej owych słów, nasze drogi musiałyby się nieodwołalnie rozejść (nikt mi tego nie powiedział, a przecież miałem tę pewność), ale ja zapragnąłem pozostać z nim na zawsze. W moim sercu jęło się budzić nowe uczucie. Uczucie miłości do Szatana.

On już nie mówił, on myślał, przelewając całe zdania wprost do mego mózgu. Czując, iż jeszcze – w ostatniej chwili mogę się zawahać, rozmyślić, ulęknąć – nie używając słów, powiedział:

„– Tylko ja, Szatan, twardo stoję na ziemi. Tylko ja, Szatan, spośród wszystkich duchowych istot jestem realistą i obce mi są idealistyczne mrzonki wzywające ludzi, by oddawali się smutkowi, cierpieniom, umartwieniom, upokorzeniom i postom. Ja jestem najwyższą mądrością, która głosi, że każda myśl, każde słowo, każdy czyn – wszystko to jest dobre, wszystko dozwolone, o ile człowiekowi dostarcza zadowolenia, o ile mu służy...”

Drżałem na całym ciele, czując niewysłowioną wprost rozkosz i radość, że spośród tylu innych, spośród setek tysięcy i milionów istot ludzkich, Szatan mnie właśnie wybrał, mnie zaufał, abym wypełnił dla niego nader ważne dla niego zadanie. Uczynił coś, co mu być może pomoże przezwyciężyć wszelkie



przeciwności i rozszerzyć swoje panowanie pośród rodzaju ludzkiego.

Teraz już nie miałem ani cienia wątpliwości, iż go kocham. Ale z chwilą, w której w całej pełni uświadomiłem to sobie, jednocześnie odczułem dziwne onieśmienie. Oto bowiem nie był już dla mnie potwornym, budzącym grozę, niesamowitym mnichem.

Oto stałem twarzą w twarz z najpotężniejszym z Aniołów, który chociaż przegrał walkę ze Stworzycielem i utracił znaczenie w niebiosach, nadal był wielki, mocarny, przepełniony niedostępną ludzkiemu umysłowi mądrością i władzą. Zdolny do aktów kreacji, zdolny karać i nagradzać. Zdolny wywyższać tych, którzy służyli mu wiernie.

Wszystkie te myśli przelewały się przeze mnie, przez mój umysł, a on chyba bez trudu je odczytywał, bo gdy wreszcie moje podniecenie minęło, gdy ogarnął mnie spokój, zbliżywszy swoją twarz do mojej twarzy, wychrypiął:

– A teraz pójdz dopełnić obrzędu, dzięki któremu możesz zmienić oblicze Wszechświata. Czy to nie podniecające, stać się choćby i na moment, na ułamek chwili, równym Temu, który wytycza bieg gwiazd, tworzy nowe byty i wyznacza ścieżki czasowi?

Nie rzekłem ni jednego słowa, tylko poważnie skinąwszy głową ruszyłem tuż przed swoim przewodnikiem. Szatan wiódł mnie – popychając z lekka – jakimiś nieznanymi korytarzami, wydrążonymi w czarnej wulkanicznej lawie, o nierównym, sfałdowanym podłożu. Musiałem stąpać ostrożnie, żeby nie stracić równowagi i nie upaść.

Nie szliśmy długo, oto korytarz raptem rozszerzył się, tworząc dość obszerne pomieszczenie o bardzo regularnych kształtach. Pomieszczenie, którego na pewno nie stworzyła sama natura, a zostało wykute w skale. Jąłem lustrować je szczegółowo, nie pomijając żadnego detalu. Było to coś na kształt kaplicy. Ściany przybytku pomalowane były na czarno i czerwono. Centralne miejsce, tuż pod

ścianą znajdującą się naprzeciw wejścia z korytarza, zajmował ołtarz. Ponad nim, na ścianie, widniały symbole Szatana, odwrócony trójkąt równoramienny, wizerunek głowy kozła i odwrócony krzyż, na którym umęczony Jezus zwisał głową w dół. Wokół ołtarza płonęły czarne świece, siejąc migotliwy poblask, sprawiający, że nasze cienie tańczyły po ścianach, to groteskowo wydłużając się, to kurcząc, co robiło dosyć niesamowite wrażenie. Ściany zwieńczone były świeżymi liśćmi bluszczu, a powietrze przesycił bardzo mocny zapach – werbeny i czegoś mi zupełnie nieznanego, zapach nader miły Szatanowi.

Ale nie to, co do tej pory ujrzałem robiło największe wrażenie. Oto bowiem tuż przed stopniami ołtarzowymi znajdowało się podwyższenie, wyrobione z jednego ogromnego kłosa smolścieczarnego hebanu, bogato inkrustowanego ogromnymi, siejącymi krwawe blaski, kunsztownie szlifowanymi rubinami. Inkrustacje układały się w jakieś znaki i symbole, których znaczenia nie znałem i nawet nie usiłowałem odgadnąć. U dołu podwyższenia ułożone były całe pęki kwiecica, z którym już się wcześniej zetknąłem, a którego przedziwna, zniewalająca woń, wprawiła mnie w sen narkotyczny, pozbawiając na długo przytomności.

Przed podwyższeniem ustawiony był trójnóg mosiężny, zwieńczony ażurową misą, całą wypełnioną żarzącymi się czerwono węglami drzewnymi. Obok misy stał jeden z potworkowatych karłów, i co jakiś czas sypał na żar całe naręcza suchych ziół, stanowiących rodzaj kadzidła. To ono właśnie wypełniało pomieszczenie odurzającym zapachem werbeny, wszakże oprócz niego moje nozdrza wychwyciły również i wonie inne, bardziej przykre – lulka czarnego bielunia dziedzierzawy i czegoś innego jeszcze.

Kłęby dymu unoszące się tuż ponad hebanowym podwyższeniem nie pozwalały dokładnie przyjrzeć się czemuś czy komuś – jakowemuś kształtowi – który z dala sprawiał wrażenie spoczywającej tam, pogrążonej we śnie postaci.

Szatan odwrócił się ku mnie i rzekł:

– Podejdz ku postumentowi i przypatrz się temu, co na nim spoczywa.

Bezwiednie wykonałem rozkaz. Szedłem powoli, cały czas czując na karku lodowaty chłód emanujący od postępującego za mną krok w krok Księcia Ciemności.

Karzeł przestał sypać kadzidło na węgle. Tuman dymu rzednął, rozsuwając się po całym pomieszczeniu kaplicy, aż wreszcie wypełznął z niej całkowicie.

Wsparłszy się rękoma o drewniany postument spojrzałem na kształt leżący na nim. I w tej samej chwili doznałem dziwnego wstrząsu. Nie znajduję słów, aby poprzez nie oddać uczucie, które mną zawładnęło. Było to obrzydzenie i niechęć. Wstręt i lęk, groza i przerażenie. Przed moimi oczyma widziałem coś, czego nie sposób nazwać, coś, co nie ma odpowiednika w świecie ludzi. Była to ogromna, o walcowatym kształcie, galaretowata bryła, drgająca przy najlżejszym poruszeniu podwyższenia, na którym spoczywała. Bryła leżąca w rozległej kałuży lepkiego, cuchnącego śluzu. Półprzezroczysta, o barwie gnijącego mięsa, pokryta setkami, ba! tysiącami drobnych wyrostków, poruszających się w nieskoordynowanych ruchach w rozmaite strony.

Przez środek owej galaretowatej masy przebiegało coś, co przypominało mocno pokarbowaną rurę, coś jakby tchawicę zabitego wołu, zbudowaną z chrząstki, a wypełnioną zgniłozieloną cieczą zmieszaną z kawałkami zakrzepłego tłuszczu i jeszcze czegoś, co najbardziej wyglądało mi na drobinki smołowatej substancji, albo może grudki kału.

Nieokreślony kształt co jakiś czas rozjarzał się własną sinawą poświatą, emanującą nie z powierzchni, a skądś z jego wnętrza. Świecenie trwało kilka chwil, później przygasło, by za jakiś czas na nowo się powtórzyć.

Mimo, iż widok ów uczynił na mnie niesamowite, wręcz odpychające wrażenie, stałem zapatrzony w monstrum, nie mogąc wykonać najmniejszego choćby ruchu. Czuję się, jakbym został sparaliżowany.

Lepki, cuchnący śluz przypełznął ku brzegowi postumentu i ciężkimi kleistymi, ciągnącymi się kroplami, jał ściekać na posadzkę. Niektóre z kropli spadały na moje spodnie i buty.

– Oto ujrzałeś wreszcie to, co od wieków czekało na pomoc ze strony twego rodu związanego przysięgą. Oto wobec na poły ukształtowanej istoty, masz zadanie do spełnienia – dobiegł moich uszu syczący szept Szatana.

– Ale kim lub czym jest to, na co patrzę?! Odpowiedz!!! – krzyknąłem przestraszony.

– Stałeś się mój. Świadomie i dobrowolnie mój, a zatem mniemam, iż mogę już do końca odkryć przed tobą tajemnicę. Owo co oglądasz jest moją emanacją. Niejako częścią mnie samego, przyobleczoną w materię przynależną do twojego świata. Jest to coś, co zyskawszy własną świadomość i moc, a będąc absolutnie podporządkowane mej woli, uda się do świata ludzi, by tam zdobyć wyznawców dla mnie i gromadzić na bój z Tym, który mnie przed wiekami skrzywdził. To że ty mnie oglądasz materialnymi oczyma nie jest czymś zwyczajnym. Nie mogę bowiem pokazywać się śmiertelnym zawsze i wszędzie. Dlatego wyemanowałem z siebie to, co mnie niejako uosobi i będzie symbolizować, wypełniając moją wolę...

– Lecz jakąż w tym wszystkim moja rola, panie? – zapytałem Szatana.

– Cóż. Aby ów bezkształt mógł stać się kształtem, aby bezwola mogła stać się wolą, aby beziła mogła stać się siłą, a bezświadomość samoświadomością, potrzebna jest pomoc człowieka...

Zamilkł i znów wpił się we mnie swymi nieruchomymi oczyma. Znów penetrował mój umysł i duszę, lecz nie znalazłszy w nich nawet śladu buntu przeciw jego zamierzeniom, ciągnął dalej:

– To co tu widzisz, stanie się świadomą, potężną istotą tylko wówczas, gdy podzielisz się z nią swoją własną krwią. Krew to życie, a ów bezkształt krwi nie

ma. Trwa, lecz nie może działać... Czy gotów jesteś spełnić ów ostatni akt?... Czyś gotów?...

Milczałem nie umiając zebrać myśli, nie potrafiąc ułożyć odpowiedzi. Tak, oczywiście tak!

Chciałem dojść do samego końca drogi, na którą wszedłem... Kiedy? Czy wtedy, gdy będąc dzieckiem zafascynowany wpatrywałem się w tajemniczą mapę w gabinecie ojca?... A może wtedy, gdy wysłuchałem opowieści stryja?... W grobowej krypcie Semberków?... We mgle wypełzłej z tajemniczej szkatułki?...

Nie poruszałem ustami, w których czułem suchość. Krtań ściśnięta była boleśnie. Dłonie zwijałem w pięści, raz po raz. Raz po raz je rozprostowując. I wówczas skądś, z głębin mojego umysłu, bez udziału języka, przyoblókłszy się w słowa, wypłynęło przyzwolenie:

– Niechaj się stanie. Niechaj się stanie.

– Mój kształt, twoje życie – razem stworzymy coś, przed czym świat zadrzy.

Karzeł sychnął nową przygarść kadzidła na węgle. Mocny zapach znów rozszedł się w powietrzu. Potem zaś potworkowaty niziołek podszedł do bezkształtnego monstrum. W jednej ręce trzymał krótki, ostry nóż z obsydianu, w drugiej zaś srebrną szkatułkę, którą znalazłem w grobowcu Semberków.

Koniec ostrego niczym brzytwa ostrza wbił w galaretowatą masę. Rozległo się coś, niby westchnienie, a może bolesny jęk. A zatem to czuło. Z zadanej rany wypływała maź, która skapywała do szkatułki. Gdy napełniła ją do połowy, karzeł podszedł do mnie i delikatnie zraniwszy w pierś, dopełnił szkatułkę moją krwią. Obie ciecze zmieszały się ze sobą, burząc się i gotując.

Skoro stwór dokonał owego dzieła, podał szkatułkę Szatanowi, a ten wlał jej zawartość w jeden z otworów rury przebiegającej przez całe ciało tego, co spoczywało na hebanowym podwyższeniu.

I oto stałem się świadkiem niesamowitej przemiany. Galaretowaty bezkształt jął

nabierać na poły ludzkich, na poły zwierzęcych kształtów. Na moich oczach zmieniał się z sekundy na sekundę, formując w istotę, której obraz nie był dla mnie bynajmniej obcy.

Oto najpierw ukształtowały się koźle nogi z racicami, później pokryty chropawą gadzią łuską brzuch. Wreszcie ręce, barki, z których wyrastały błoniaste, do nietoperzowych podobne skrzydła. Potem koźla głowa z krótką bródką i dwoma skrzyconymi rogami, spomiędzy których wystrzelał płomień w kształcie hebrajskiej litery szin, zmieniający barwę co jakiś czas. To był fiołkowy, to krwistoczerwony, to sinawosrebrny, to szkarłatny, zielony, złoty, błękitny...

Monstrum podniosło się i spojrzawszy na mnie wzrokiem pełnym nienawiści, podeszło ku siedzisku w kształcie kuli, znajdującemu się tuż obok ołtarza i zajęło na niej miejsce, krzyżując nogi.

Ze zdziwieniem spostrzegłem, iż nie sposób określić płci potwora, bowiem posiadał cechy obydwu i to potężnie rozwinięte. Był kobietą i mężczyzną zarazem. Tak, nie omyliłem się, rozpoznając siedzącego. Był to Bafomet – emanacja Szatana – Pana Sabatów, kwintesencja zła, okrucieństwa, wyuzdania, rozpusty, bluźnierstwa i zbrodni. Był to ten, któremu od wieków oddawano cześć w pieczarach górskich i na uroczyskach, na suchych wyniosłościach wśród bagien, w najtajniejszych matecznikach puszczy odwiecznych. Tam, wszędzie tam, kędy nie mógł dotrzeć nikt spośród niewtajemniczonych.

Spoza mnie doleciał chichoczący, przesycony bluźnierstwem szept:

– Dokonało się!... Dokonało!... Dokonało!... Rozpocznijmy bój na nowo...

Obejrzałem się, ale prócz mnie i Bafometa nie było już w podziemnej kaplicy nikogo. Nie wiedziałem, co mi dalej czynić wypada. Czuję się nieswojo. Czego monstrum mogło oczekiwać ode mnie? Czego zażądać?

Przypomniały mi się wszystkie przeczytane czy zasłyszane opowieści o sabatach. Oto ów, wywołany z niebytu, na nowo obdarzony pełnią życia, nie

mógł trwać, ani korzystać ze swej władzy i mocy, jeśli by nie był stale i systematycznie pojony krwią... W jego intencji i dla niego, tylko dla niego, przelewana krwią ludzką... Uświadomiwszy to sobie, zadrzałem.

Oto bowiem w całym tym podziemiu, na całej tej wyspie, oprócz mnie nie znajdował się ani jeden człowiek. Niemile mrowie przebiegło mi wzdłuż krzyża, a gdzieś w mózgu ozwał się szydery głoś wężogłowego mnicha – Szatana:

„– Już zbyt późno, aby się wycofać... Zbyt późno... Jesteś mój i tylko mój... Sam tego zapragnąłeś... Nikt cię nie wyrwie z moich rąk... Nikt! I mogę uczynić z tobą, co tylko zechcę!”

Ów głos kołyszący w głębinach umysłu zmroził i sparaliżował mnie na chwilę, ale wszakże gdy tylko nieco wróciłem do równowagi, powoli, krok za krokiem, jąłem wycofywać się w stronę korytarza, którym mógłbym się oddalić od bluźnierczej kaplicy, cały czas wpatrując się w oblicze Bafometa. Lecz ten nie poruszył się nawet. Tylko od czasu do czasu rzucał na mnie pełne wściekłości i nienawiści spojrzenia. Dopiero co nasycony moją krwią, jeszcze nie odczuwał głodu.

Przed tym stworem, którego stworzył, powołał do istnienia, pospołu z Szatanem, Księciem Ciemności, Władcą Tego Świata, Upadłym Aniołem, nie potrafiłem odczuwać niczego więcej prócz lęku... Lęku, który paraliżował mi ruchy, dławił krtań, a serce przyprawiał o tak szalony rytm, iż zdawało się, że najpewniej wyrwie się z piersi.

Och, jakże potwornie się bałem. Ów strach przytępił we mnie wszelkie inne uczucia, wygaszał każdą rodzącą się myśl, pozwalając aby owładnęła mną tylko ta jedna:

„– Uciec stąd!... Uciec!... Uciec jak najprędzej!...”

Krok za krokiem cofałem się ku wyjściu, powoli, ale niestrudzenie. I o dziwo. Im bardziej oddalałem się od ołtarza Czarnego Anioła i od Bafometa, w moim

sercu i umyśle poczynała zachodzić jakaś przemiana. Tak jakbym odzyskiwał rozsądek. Cicho, nieśmiało odezwało się we mnie sumienie, zduszone wpierw i zdławione. Przytłoczone szatańskim ciężarem.

Jakiś głos inny, zgoła niepodobny do diabelskiego bluźnierczego szeptu, spokojny i kojący, zawładnął mną, pulsując w umyśle:

„– Cóżżeś uczynił? Coś uczynił?... Lecz jeszcze masz czas, jeszcze nie jest nazbyt późno...

Jeszcze dozwolono ci wybrać... Chociaż nie masz mocy odwrócenia Zła, strącenia go na powrót do niebytu, to przecież możesz przynajmniej ocalić własną duszę...”

Wpół zmartwiałymi wargami szeptałem:

– Kimkolwiek jesteś, uratuj mnie. Kimkolwiek jesteś, uratuj mi życie.

I posłyszałem wprost w mózgu odpowiedź:

„– Mogę co najwyżej wyrwać cię z Ciemności i zaprowadzić ku wiekiystemu Światłu. Jeżeli żałujesz tego coś uczynił... Jeżeli żałujesz. I taka jest twoja WOLA.”

– Uratuj mi życie – skamlałem, niczym najlichszy z żebraków. – Och! Jeszcze jestem młody!

Chcę żyć! Nie nacieszyłem się światem! Uratuj mi życie!

„– Nie mogę... Sam je rzuciłeś na szalę, sam zeń uczyniłeś stawkę w grze o władzę... Łudziłeś się pewnie, iż owej władzy dane ci będzie zakosztować, uczestniczyć w wielkości. Naiwny, nieszczęsny. Czyżbyś zapomniał jakie imię nosi ów, któremu oddałeś się na służbę? Czyż nie zowią go Diabłem? A Diabeł znaczy Kłamca... I jest ojcem kłamstwa... Próbuj zachować życie, lecz usiłować je ocalić możesz jedynie ty sam...”

Głos umilkł i nie posłyszałem go już więcej.

Zrozumiałem, iż chociaż nie muszę zostać na wieki potępiony i przeklęty, to przecież nikt nie pomoże mi w walce o ocalenie. W walce? A może raczej w grze



o życie? W grze, którą sam wybrałem.

Udało mi się już wycofać z kaplicy i stałem w mroku skalnego korytarza. Bafomet siedział nieruchomo, ze skrzyżowanymi nogami, unosząc jedną rękę ku górze, drugą opuszczając ku dołowi. Wpatrywał się we mnie. Jego oczy rozjarzały się dziwnym fosforycznym blaskiem.

Wyglądały niczym oczy drapieżnika, który w środku nocy udaje się na łów.

Chociaż migotliwy blask świec sprawił, że trudno mi było zauważyć każdy szczegół we wnętrzu kaplicy, TO akurat zobaczyłem. Twarz Bafometa skurczyła się w potwornym grymasie, rozchylił wargi w lubieżnym uśmiechu, odsłaniając ostre niczym u dzikiej bestii kły, z kącików ust pociekła mu ślina.

Był wstrętny i ohydny. Nie mówił nic, tylko gestem nakazał, abym zbliżył się ku niemu.

Przymknąłem oczy, bojąc się, iż jeśli nadal będę wpatrywał się w ową twarz, mogę ulec hipnotycznemu zauroczeniu i podejść. A to oznaczać mogło dla mnie tylko jedno – śmierć.

Nie wątpiłem bowiem po co wzywa mnie ten, który zaistniał dzięki Szatanowi, a może działać poprzez ofiarę mej krwi.

Już nie patrzyłem w jego stronę. Otwarłem oczy, lecz opuściłem głowę i postąpiwszy jeszcze kilka kroków do tyłu, odwróciłem się raptownie i jąłem biec długim, ciemnym, wąskim korytarzem. Biec tak szybko jak tylko mogłem i umiałem.

Odgłos butów stukających o skaliste podłoże odbijał się echem kędyś hen, w najdalszej dali płataniny korytarzy, drażących wyspę, aż do samych trzewiów ziemi, gdzie roztopiona skała bulgoce i wrze.

Nie zastanawiałem się dokąd mam uciekać. Nie wiedziałem gdzie się znajduję i nie wiedziałem, który z tuneli wiedzie na powierzchnię, ku ciepłu słonecznego blasku i wolności.

Uciekałem z jedną, jedyną myślą:

„– Byle dalej od monstrum, które obdarzyłem życiem, i czuciem, i wolą działania. Byle dalej!”

Trudno mi powiedzieć jak długo biegłem, musiał jednak upłynąć spory szmat czasu, bo począłem tracić siły. Mroczyło mi się w oczach, ból rozsadzał piersi, serce waliło jak oszalałe, oddech był płytki i nie sycił płuc, a ubranie wprost przesycił pot.

Zwolniłem zatem, lękając się, iż mogę wyzionąć ducha z przemęczenia. Przykucnąłem obok jednej ze ścian korytarza i dysząc ciężko, czekałem na powrót sił. Powoli, bardzo powoli, przychodziłem do siebie. Lecz co to? Naraz skądś z oddali, doleciał do mych uszu ledwie słyszalny, ale bez wątpienia nie będący złudzeniem odgłos. Ktoś szedł w moim kierunku.

Chociaż bardzo pragnąłem choćby przez chwilę jeszcze odpocząć, podniosłem się przestraszony i jąłem kontynuować swoją wędrówkę w nieznane. Ale mimo, iż od kogoś, kto szedł moim tropem dzielił mnie spory dystans, a ja sam bynajmniej nie spacerowałem, lecz wyciągałem nogi jak tylko mogłem najszybciej, chwilami – tam gdzie grunt był równiejszy – pokonując jeszcze pewne odcinki biegiem, ów który był za mną, powoli lecz systematycznie się zbliżał.

Zadrzałem. Nie miałem żadnych, najmniejszych nawet wątpliwości, chociaż myśl ową – zdjęty strachem – usiłowałem wyrugować z mojej świadomości. Goniono mnie. A gonić mogła jedynie bestia – Pan Sabatów – Bafomet.

Począłem się modlić, bezgłośnie poruszając wargami, a błagania i prośby o ocalenie kierując ku Temu, którego jeszcze tak niedawno zdradziłem, znienawidziłem nawet, chociaż nie miałem po temu żadnego, najbliższego nawet powodu. Modlitwa przyniosła mi ulgę. Wiedziałem, iż chociaż okazana skrucha nie uchroni mnie przed najgorszym w materialnym i doczesnym świecie, to przecież uratuje mnie od wiekuistego obcowania z tym, któremu nasz ród przed wiekami

zaprzedał Stanisław Semberk, a którego przysięg i zobowiązań ja – z własnej i nieprzymuszonej woli – dopełniłem.

Prosty do tej pory korytarz rozwidłał się. Stałem zatem niezdecydowany, nie wiedząc, w którą stronę się udać. Ostatecznie skręciłem w prawo. Tunel piał się teraz pod górę, a sinawe fosforyzujące światło emanujące z jego ścian, czyniło niemiłe wrażenie.

Droga była ciężka, zatem musiałem znacznie zwolnić swój marsz. Odgłos pogoni dobiegający z tyłu stał się coraz wyraźniejszy. Zacząłem tracić nadzieję, iż uda mi się umknąć i ocalić życie.

Nogi po raz drugi odmówiły posłuszeństwa, zatem chcąc nie chcąc znowu musiałem się zatrzymać na odpoczynek. Tym razem trwał o wiele krócej niż poprzednio i gdy tylko serce jęło bić nieco spokojniejszym rytmem, a oddech się pogłębił, podniosłem się i pomaszerowałem dalej.

Naraz zdało mi się, iż rozpoznaję miejsce. Tak! Ależ tak! najwyraźniej zbliżałem się ku pomieszczeniom przeznaczonym mi zaraz na początku – gdy tylko znalazłem się w podziemiu – na mieszkanie.

Och! Dzięki Ci Boże! Dzięki. Stąd mogłem już bez większych trudności trafić ku wyjściu, a potem na świat rozświetlony promieniami światła, pod błękitną kopułą firmamentu! Teraz szedłem już pewnie. Oto jeszcze jeden zakręt, a za nim będzie obszerna grota, w której ocknąwszy się z zamroczenia ujrzałem potworkowate karły. Były wówczas dla mnie dobre, pewnie nie odmówią mi pomocy i teraz.

Minąłem więc ów zakręt i rzeczywiście znalazłem się w grocie, o której myślałem. Pośrodku – tak jak niegdyś – płonęło niewielkie ognisko, podsycane naręczami jakiegoś nieznanego mi zielska, które paląc się sprawiało, iż płomień przybierał barwę błękitną, mieniając się od czasu do czasu zielonkawymi refleksami.

Wokół ognia siedziały zwierzkształtne niziołki, posykujące między sobą coś

z cicha. Ich syki były dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Wszedłszy, zatrzymałem się na chwilę, a one, bardziej chyba wyczuwszy moją obecność, niż posłyszawszy kroki, raptem zamilkły i jak na komendę podniosły głowy, spoglądały dziwnie jakoś. Zdało mi się, iż w ich nieludzkich oczach maluje się uczucie, które można by określić mianem bezbrzeżnego zdumienia.

Uśmiechnąłem się do nich szeroko, jednocześnie z szacunkiem kłaniając przywódcy.

Oczekiwałem, iż uczynią to samo co uczyniły już kiedyś, że oddadzą mi hołd. Lecz nie stało się nic podobnego. Ten, który im przewodził, wysunął się do przodu i stanąwszy o dwa – trzy kroki naprzeciw mnie, wysyczał:

– Wracaj skąd przybyłeś. Wracaj co rychlej.

– Nie po to stamtąd uciekłem, aby dobrowolnie wracać – odparłem potworkowi. – Zresztą, czyżbyś już zapomniał, iż kiedyś uznaliście mnie za swego pana? Dziś, teraz, natychmiast, domagam się, abyście mi pomogli. Wyprowadźcie mnie do wyjścia z pieczar. Pomóżcie uciec przed bestią, która wylęgła się w mroku i otchłani, w odległej grocie podziemia. Ta bestia mi zagraża! Zagraża waszemu panu! Musicie mi pomóc!

Karzeł stał jakiś czas milczący, a jego usta rozciągnęły się w ohydny, koszmarny uśmiech. Wyglądał niczym majak z męczącego snu. Jego uśmiech był diaboliczny, nienawistny i szyderczy.

– Głupcze... – wysyczał. – Byłeś panem do momentu, gdyś obudził naszego prawdziwego władcę. Byłeś panem, boś tylko ty i nikt inny mógł go rozbudzić i sprawić, żeby znów zaczął działać, zatem tylko dlatego musieliśmy cię strzec i otaczać opieką.

Karły zbliżały się powoli, krok za krokiem, czając się niczym koty, zachodząc od tyłu.

Rychło otoczyły mnie kręgiem. Stałem pośród nich, bezradnie rozglądając się

wokoło. Odgłos kroków nadchodzącego Bafometa narastał. Uświadomiłem sobie, iż znajduje się już blisko, że jeszcze tylko kilka chwil, a bestia wpadnie do pieczary i schwyci mnie w swoje szpony. Karły nie wyglądały na silne. Uzbrojone zaś były jedynie w krótkie noże z obsydianu, albo w pałki drewniane. Zaryzykowałem. Raptownie pochyliłem się, podniosłem sporych rozmiarów ostry ułomek skały i z całej mocy cisnąłem nim w głowę przywódcy niziołków.

Uderzenie było straszliwe i zaatakowany bez wątpienia odczuł dotkliwy ból. A jednak... a jednak nie zachwiał się nawet. Kamień odbił się od jego czaszki i upadł ciężko u mych stóp.

Potworki rzuciły się teraz na mnie. Powietrze przecinały sykliwe odgłosy. Poczulem piekący ból w łydkach i udach, a potem ciepło krwi, strumyczkami spływające wzdłuż nóg. Jęczałem z bólu, jednocześnie usiłując walczyć z napastnikami, ale wbrew pozorom absolutnie nie mogłem swej siły zmierzyć z ich siłami. Poszarpane ostrzami ze szkła wulkanicznego ubranie, wisiało na mnie w strzępach. Któryś z karłów przeciął mi ścięgna pod kolanami u obu nóg. Runąłem twarzą na ziemię. I w owej chwili pokryło mnie mrowie owych demonicznych, stworzonym aktem woli Szatana, istot. Systematycznie zdzierano ze mnie odzienie, aż zostałem się całkiem nagi i oblany krwią z jakże licznych zadanych mi uprzednio ran.

Skoro mnie już zupełnie obnażono, skrupowano też ręce i nogi sznurami uplecionymi z szorstkiego i bardzo wytrzymałego roślinnego włókna. Już nie usiłowałem walczyć. Byłem na to zbyt słaby. Leżałem bez ruchu na zimnym skalistym dnie jaskini, zrezygnowany oczekując najgorszego. Nie musiałem czekać długo. Uniosłem z trudem powieki i wzrokiem przymglonym przez krew napływającą mi do oczu z rozciętego czoła, ogarnąłem pieczarę.

Niziołki leżały pokotem, co i raz bijąc pokłony przed kimś, kto akurat wkraczał do grotty. Nie musiałem nawet spoglądać w tamtą stronę. Wiedziałem kto przybył.

Odgłos ciężkich kroków i nieprzyjemne sapanie, przypominające oddech astmatyka. Zbliżał się ku mnie. Ku powalonemu i skrępowanemu. Zatrzymał się nade mną i z pogardą patrzył z góry na pokonanego. Ostre kły odsłonił w bluźnierczym uśmiechu. Oczy rozjarzyły mu się mocnym zielonkawym blaskiem, a płomień na głowie, płomień wytryskający spomiędzy rogów, płomień w kształcie hebrajskiej litery szin, buchnął wysoko, rozświetlając podziemie. Był intensywnie fiołkowy i emanowało zeń tak silne światło, iż stało się widno niczym w dzień.

Karły nie ustawały w składaniu hołdu, czci i uwielbienia temu tworowi wypełzłemu z mrocznych czeluści piekieł. Całymi garściami rzucały do płonącego ogniska diabelskie kadzidło.

Zapach werbeny i innych nieznanymi mi ziół stał się tak mocny, że aż prawie dotykalny.

Bafomet pochylił się nade mną i brutalnie schwyciwszy okaleczoną głowę w swoje chropawe dłonie jął z lubieżną rozkoszą zlizywać z mojej twarzy krew, sączącą się z wielu skaleczeń i zadrapań. Jego język był oślizgły i niemiły, niczym język psa.

W miarę jak ohydne usta spijały coraz więcej, poczynającej już gdzieś krzepnąć, posoki, w bestii jęła zachodzić przemiana. Przez koźlokształtną twarz poczęły przebiegać grymasy i skurcze. Usta krzywiły się groteskowo w potwornym grymasie. Oczy pożądliwie wpatrywały się w moją tętnicę szyjną, nabrzmiąłą i pulsującą gwałtownie, w rytm skurczów i rozkurczów serca.

Naraz Bafomet ryknął. Jego ryk był tak potężny i tak nieludzki, iż zdawało się, że jeśli choćby raz jeszcze to uczyni, oszaleję, nie wytrzymując potworności i grozy. A później rzucił się na mnie. Jego nagie kosmate ciało przywarło mocno do mojego, równie nagiego ciała. Zdawało się, iż próbuje zespolić się ze mną, wniknąć w moją głęb, abyśmy już odtąd mogli stanowić jedną jaźń, jedno

jestestwo.

Męka. Potworna męka psychicznej udręki, bólu duszy, rozpacz i obrzydzenia, była tak wielka, iż zdawało mi się, że nie zniosę jej ani chwili dłużej. Bafomet miotał się po moim ciele jeszcze jakiś czas, a widząc że jego wysiłki nie prowadzą do niczego, dał wreszcie za wygraną.

Na odmianę jednak swe – ostre niczym zęby rekina – kły zatopił w mym policzku. Szczęki potwora zwały się z całą mocą. Później poczułem silne szarpnięcie i ból. Straszny, nie do opisanego ból.

Nie wiem jak to się stało, że na jego skutek nie straciłem świadomości i teraz, oczyma rozszerzonymi przerażeniem obserwowałem jak bestia z rozkoszą i lubością przeżuwa kawałek ociekającego krwią mięsa oddarty z mojej twarzy. Widziałem jak go przełyka. Widziałem zadowolenie rozlewające się po jego błuźnierczym obliczu.

Gdy przeżuł i przełknął ostatni już kęs, przywarł ustami do tętnicy szyjnej i rozdarłszy ją, począł chłeptać krew. Słyszałem jak głośno ją przełykał. I to już było wszystko co słyszałem.

Ogarnęła mnie miłosierna ciemność...

\* \* \*

Czucie i świadomość wracały powoli. Oto zdało mi się, iż niesiony na łagodnej fali, przypląwałem skądś z daleka. Wszakże przyjemne odczucie nie trwało długo. Ostry, świdrujący ból przeszył mnie od stóp do głów, sprawiając iż wydałem cichy jęk.

Z trudem uniosłem powieki pozlepiane na poły zaschlą krwią. Nie czułem twarzy, tylko ból.

Straszny, nieopisany do zniesienia ból. Usiłowałem się poruszyć, lecz

przyprawiało mnie to o jeszcze dotkliwsze cierpienia. Zaciskając zęby, aby nie wycieczym skatowany pies, na ile mogłem, uniosłem głowę ku górze.

Z miejsca, w którym leżałem udało mi się wzrokiem ogarnąć całą pieczarę. Była pusta. Znikły zarówno koszmarnie karły, jak i ich władca – Bafomet. Na środku pomieszczenia dogasało ognisko, zapewne od dłuższego już czasu nie podsycane przez nikogo. Po na wpół zwęglonych gałęziach pełgały jednak nikłe płomyczki, a i przeświecający przez gromadzoną na nim warstewkę popiołu żar, dawały nieco blasku.

Usiłowałem poruszyć nogami, lecz po przecięciu ścięgien były zupełnie bezwładne.

Usiłowałem poruszyć rękoma i ze zdumieniem, ale i z ogromną radością stwierdziłem, iż są wolne. To widać Bafomet w krwiożerczym szale, bezwiednie zerwał krępujące mnie więzy.

Delikatnie, końcami palców dotknąłem tej strony twarzy, w której pulsował przeraźliwy ból. Pod opuszkami nie wyczułem ni skóry, ni mięśni. Dotykałem... nagiej kości. Odgryziony nos zwisał na skrawku skóry i teraz, gdy go ująłem palcem wskazującym i kciukiem, po prostu odpadł.

Wodziłem dłońmi po całym swym ciele, z przerażeniem stwierdzając, że potwór wyjadł również moje piersi. Namacałem nagie żebra. Chryste! Na wpół pozbawiony ciała, a jeszcze żyłem! Przecież żyłem! Czyż nie był to znak dany mi z nieba? Wskazówka, rada, aby próbować – o ile leżało to w mojej mocy – ocalić się?

Łudziłem się takimi myślami. Lecz czyż nasze życie nie na złudzeniach się właśnie opiera? I czyż nie chciałem się ich wyzbyć nawet teraz, nawet w godzinie śmierci, której nadejście zdawało się być już tak bliskie... Tak bliskie...

Zapragnąłem tylko jednego. I prócz tego nic więcej nie liczyło się dla mnie. Nie chciałem zdychać tu, w tym podziemiu przesyconym oparami piekieł, z którego



ścian, z którego szczelin, z plątaniny korytarzy zdawało się wprost emanować ZŁO.

Usiłowałem z pleców przekręcić się na brzuch, chociaż sprawiło mi to niewypowiedzialne wprost cierpienie. To, co nie stanowiło najmniejszego choćby problemu dla małego nieporadnego dziecka, zdawało się zupełnie przerastać moje możliwości. Chociaż z całej mocy zaciskałem zęby, ażeby zapanować nad bólem, jego siła przerastała siłę mojej woli. Jęczałem, jednostajnie, monotonie, cicho. Napinałem mięśnie rąk i raz, i drugi, i trzeci. I w bezsilnej rozpaczycy wciąż osuwałem się na plecy. Aż oto... Ach! Udało się, udało!

Leżałem na brzuchu. Ostre odłamki kamienia, żwir i piasek wpijały się w moje biedne, zmaltretowane poranione ciało, sprawiając dodatkową męczarnię. Leżałem przewyciężając w sobie ból i ciężko łapiąc oddech, co przychodziło mi z trudem. A później, później począłem pełznąć, niczym robak, któremu rozdeptano odwłok, pełznąć powoli, zatrzymując się co chwilę, wszakże z determinacją i uporem.

„– Byle nie zdechnąć w tej jamie... byle tu nie zdechnąć...”

Ta jedna myśl owładnęła mną bez reszty. Zatrzymałem się w swojej wędrówce, myśląc o tym, czy dane mi będzie osiągnąć już ten ostatni cel w życiu? Nasycić płuca świeżym, czystym powietrzem, usłyszeć szmer liści poruszanych łagodnym podmuchem wietrzyku, uradować oczy barwami kwiatów i słonecznym blaskiem. Czy dane mi będzie to wszystko?...

Czy wprawdzie nie wycieknie ze mnie ostatnia kropla krwi wsiąkając w piasek jaskini?

Nie przypuszczałem, że wola człowieka jest aż tak potężna. Nie przeczuwałem, iż ja sam będę w stanie dokonywać czegoś, co – zda się – nie jest zgoła możliwe do dokonania.

Począłem pełznąć na nowo.

Wylot pieczary zbliżał się coraz bardziej... Coraz bardziej... Jeszcze jedno

podciągnięcie się na rękach, jeszcze jeden przeszywający ciało ból... Jeszcze... Jeszcze... Jeszcze...

Wreszcie wysunąłem głowę na zewnątrz, chociaż zewłok wciąż bezwładnie spoczywał w jaskini. Chłodne powietrze owionęło mnie, ukoilo palący ból.

Napinając mięśnie rąk do granicy wytrzymałości, podźwignąłem się nieco ku górze i wysunąłem na dwór. Wejście do jaskini znajdowało się mniej więcej w połowie dość stromego, skalistego zbocza. Straciłem równowagę i z całym impetem bezwładnego ciała runąłem w dół, odbijając się od mniejszych i większych kamieni.

I wtedy przestałem być człowiekiem. Byłem bólem. Tylko bólem i niczym prócz bólu. Nie poczułem nic, gdy martwo ległem u podnóża wzniesienia. Nie wiedziałem też jak długo leżałem pozbawiony przytomności. Gdy zaczęła ona wracać, pierwsze co dotarło do mojej świadomości – to był ostry, głośny krzyk jakiegoś nocnego ptaka. A później, później schwyciło mnie w swoje objęcia dojmujące zimno, aby prawie natychmiast przerodzić się w gorączkę trudną do zniesienia.

Trawiła mnie zatem potworna gorączka, wstrząsały dreszcze, nad którymi nie mogłem w żaden sposób zapanować. Żyłem. Ciągle żyłem. Lecz jak długo jeszcze? Czyż nie lepsza byłaby śmierć? Dobrotliwa i litościwa? Ta, która ucisza wszystkie lęki, ból. Uwalnia od cielesnych i duchowych katuszy? Wszakże śmierć nie chciała nadejść. Dlaczego? Czyżbym miał jeszcze jakieś zadanie do spełnienia? Ja, lichy, na wpół zmiażdżony robak? Ja, który samemu sobie nie umiałem pomóc? Ja, ukarany straszliwie za chęć stania się czymś więcej niż byłem, niż Bóg mi przeznaczył. Czy potrzeba było aż takiej męki, by móc pojąć, do końca zrozumieć, że człowiek jest sam w sobie wielki, jest kimś ważnym, czymś niepowtarzalnym w całej niezmiarzonej przestrzeni Kosmosu? Jego bieg za czymś lub za kimś, co mu się wydaje barwniejsze, ciekawsze, ważniejsze od tego, do czego został

powołany, to nic innego tylko pęd za mrzonką, uludą i cieniem?

Leżałem na wznak, szeroko rozwartymi oczyma wpatrując się w ciemnogramatowe niebo usiane miriadami gwiazd – złotawych punkcików. Skądś, z niezbyt daleka, moich uszu dobiegł cichy bulgot i szmer wody przelewającej się po kamieniach. Gdybyż udało mi się dotrzeć do strugi, ugasić ogień pragnienia, spalający wnętrzności na popiół. Gdybyż udało mi się zanurzyć obolałe, zmaltretowane ciało w zimnym nurcie, aby ów wypłukał zeń gorączkę. Wtedy już mógłbym umierać.

I znów jałem pełznąć, kierując się słuchem, ku życiodajnej wodzie, spływającej w dół ku niezmiernemu oceanowi. Poszum narastał, potężniał. A zatem czołgałem się w dobrą stronę.

Skończyła się pustynna połać usiana gęsto ostrymi odłamkami skały. Jęły pojawiać się mniej lub silniej rozrośnięte kępy traw, krzewów i paproci. Wreszcie dobrnąłem do brzegu strumienia.

Brzeg był płaski, zatem nie miałem poważniejszych trudności, by dotrzeć do wody.

Zanurzyłem w niej twarz i natychmiast poczułem ulgę. Ból, choć nie zniknął, to przecież zmalał, stępsiał, złagodniał. Piłem lodowato zimny płyn długimi łykami. Wciągałem wodę haust po haście, aż zęby zdrętwiały mi zupełnie i w gardle utraciłem czucie. Później zaś, przeturlałem się, układając równolegle do linii brzegowej strumienia i jednym, zdecydowanym odepchnięciem się rąk, stoczyłem do wody. Jakże to było cudowne wrażenie, gdy trawione żarem, pokaleczone, porwane na strzępy ciało, poczuło pieśczoć strugi, która omywała je swym nurtem. Unosiła ona kędyś hen, ku odległemu oceanowi całą udrękę. Święta, błogosławiona woda!

\* \* \*

Niewielki handlowy statek należący do wymierającej już bezpowrotnie generacji żaglowców, który krążył pośród atoli i wulkanicznych południowych wysepek, zabierając od Polinezyjczyków koprę, a w zamian dostarczając im rozmaitych towarów, dostawszy się bodaj w samo oko cyklonu, przez całą poprzednią noc pędził kędyś w nieznane.

Żywioły szalały, jakby to nie natura, lecz demony zniszczenia nim kierowały. Nikt spośród załogi nie wierzył, że uda im się ujść z życiem z opresji, chociaż przecież wielu starych wilków morskich doświadczyło w swoim życiu nie jednego spotkania ze sztormem.

Gdy nad ranem burza ucichła, a toń morska wygładziła się i uspokoiła, kapitan począł obliczać pozycję swego stateczku. Był wściekły, iż wichura zagnała ich w oddalony od uczęszczanych szlaków zakątek, skąd do najbliższego lądu były tysiące i tysiące mil.

Czekała ich zatem podróż trudna i uciążliwa, bowiem nie posiadali ani wody, ani żywności.

Dowódca ponury i załamany, nie przejawiał chęci do dzielenia się swymi obawami z resztą załogi. Myślał przecież, że jeśli nie cud, to przecie nic innego nie będzie w stanie ich uratować.

Otrząsnął się na myśl o straszliwych męczarniach głodu i pragnienia, o potwornym bólu konania, gdy opuchły język nie może już pomieścić się w ustach, a z popękanych warg sączy się krew. Naraz, zgoła nieoczekiwanie, jego uszu doleciał głos:

– Ziemia! Tam na horyzoncie! Ziemia!

Pierwszą myślą kapitana było:

„– Czyżbym popełnił błąd w obliczeniach?”

Nie czas i pora po temu jednak były, aby roztrząsać tej podobne kwestie.

Wydawszy więc odpowiednie rozkazy i skierowawszy statek ku dostrzeżonemu lądowi, dopiero zszedł do swej kajuty i raz jeszcze przejrzał dokładnie swoje obliczenia. Nie pomylił się! Nie! Nie ulegało żadnej wątpliwości. W tej części oceanu, w której się znajdowali, nie mogła istnieć żadna wyspa.

„– A może natrafiłem na nie odkryty do tej pory ląd?” – skielkowała myśl w jego głowie, myśl, która go podnieciła. „– Gdyby tak było w rzeczywistości, zyskałby sławę, a dzięki niej pośrednio również i nieśmiertelność!”

Tak czy owak, nie było czasu na takie rozważanie i oddawanie się marzeniom. Wyszedł na pokład i jął wpatrywać przy pomocy lunety w ląd, a właściwie skrawek lądu – ku któremu się zbliżali. Nie ulegało wątpliwości, że była to wysepka, niewielka, ale na szczęście nie jałowa i pustynna. Nie sama martwa lawa zastygła ponad powierzchnią fal po wybuchu podwodnego wulkanu, jak się obawiał, lecz okruch ziemi bujnie porośnięty roślinnością. Zapewne znajdą tam i wodę, i żywność.

Nie było łatwo przybić do brzegu wysepki i zanim znaleziono miejsce dogodne do wylądowania, musiano opłynąć ją całą dookoła. Wreszcie rzucono kotwicę i poczęto spuszczać szalupy, w których sadowiło się po dwu-trzech marynarzy wraz z pustymi beczułkami na wodę.

Dzioby szalup zaryły się w piach plaży. Baryłki wytoczono na ląd. Znalezienie strumienia słodkiej wody nie nastęczało zbyt wielkich trudności. Toteż rychło cenny ładunek życiodajnego płynu przetransportowano na pokład.

Pozostała przecież jeszcze jedna kwestia do załatwienia: żywność. Ale w tym przypadku kapitan był dobrej myśli. Marynarze zbrojni w broń palną rozpierzchli się po wyspie. Nakazał im tylko jedno, aby pod żadnym pozorem jego podkomendni nie wazyli się działać w pojedynkę.

Licho wie, co mogło czaić się w gęstwinie. Jeśli nie dzicy ludzie, mogący zaatakować załogę przy pomocy zatrutych strzał, to groźne, a krwiożercze

drapieżniki, którym bez wątpienia łatwiej byłoby stawić czoła w grupie.

Sam kapitan nie brał udziału w polowaniu. Przechadzał się po plaży, z rozkoszą napawając się twardym gruntem pod nogami. Była to miła – o jakże miła! – odmiana po dniach i tygodniach przemierzania rozchybotanego pokładu.

Z głębi ładu jęły dobiegać do jego uszu suche trzaski wystrzałów karabinowych i stłumione przez las i odległość, ale przecież całkiem wyraźne, okrzyki triumfu. A zatem polowanie musiało być udane. Gdy tylko zdobędą odpowiednią ilość mięsa i zakonserwowały je w soli, a częściowo może wysuszywszy na słońcu, będą spokojni, że śmierć głodowa nie zajrzy im do oczu. Natychmiast wówczas wezmą kurs ku zamieszkałym łądom.

Mijała godzina za godziną, aż oto pierwsi ludzie poczęli schodzić na brzeg, objuczeni zwierzyną. Było charakterystyczne i uderzyło go to od razu, iż żaden z marynarzy nie upolował innego zwierzęcia prócz dzikiej kozy. Czyżby one i tylko one żyły wyłącznie na tej wyspie?

Zresztą, czy to aż tak ważne? Koźlina jest smacznym mięsem. Stos zabitych zwierząt rósł, coraz bardziej rósł na rozległej płaskiej skale, do której stóp podpełzał piasek plaży. Kilku marynarzy zostało i poczęło oparwiać upolowaną zwierzynę. Zdzierano z kóz skórę, odrzucano łby, nogi do kolan, wnętrzności. W powietrzu dało się czuć ostry odór surowizny i krwi. Wykrawano ze zwierząt samo najlepsze, najczystsze mięso i częściowo ładowano je w beczki, przesypując gruboziarnistą, szarą solą, częściowo zaś krajano w wąskie paski, które miały uschnąć na słońcu, przybierając twardość rzemienia, ale nie psując się i nie tracąc zgoła nic ze swej pożywności.

„– Jeszcze jeden tak udany dzień polowania, jak dzisiejszy, a spokojnie będziemy mogli odbić od tego brzegu” – pomyślał kapitan.

Naraz dostrzegł coś bardzo dziwnego. Oto powoli, uważając na stawiane kroki, z góry schodziło kilku marynarzy niosących coś, czego kształtu nie mógł dostrzec

z tej odległości, na zaimprovizowanych, uplecionych z gałęzi noszach.

Przyłożył do oka lunetę. Zaniepokojony wpatrywał się w to co zobaczył. Na noszach bez wątpienia spoczywał człowiek. Potwornie zmasakrowany, cały oblany krwią człowiek.

„– Czyżby któremuś z moich marynarzy przytrafił się nieszczęśliwy wypadek?” – myśl niespokojna przemknęła przez głowę kapitana.

„– Och, tego mi jeszcze brakowało! Ciężko ranny na pokładzie statku, z dala od cywilizacji, z dala od lekarza i lekarstw.” – myślał dalej.

Własnego okrętowego lekarza prawie nie brał pod uwagę. Nie miał nawet pewności, że ów jest rzeczywiście lekarzem, który odebrał akademickie wykształcenie, a nie podaje się tylko za takiego. Wszakże choćby i nawet był prawdziwym doktorem medycyny, to fakt, iż od wielu, bardzo wielu już lat nie udało się zobaczyć go trzeźwego, raczej źle rokował dla poranionego.

Chyba, chyba że chociaż krwi dużo, to skaleczenia są tylko powierzchowne. Najbardziej irytowało go to, iż spoczywający na noszach, głowę odchyłoną miał do tyłu, a zatem w żaden sposób nie mógł rozpoznać rysów jego twarzy i nie wiedział, któryż to z jego ludzi miał takiego pecha. Ponieważ jednak marynarze niosący nosze, mimo że szli bardzo wolno, jednak zbliżali się ku plaży, wiedział, iż i tak za chwilę zaspokoi swoją ciekawość.

„– Och! żeby tylko nie było to nic poważnego. Boże miej go w opiece!”

Marynarze wkroczyli wreszcie na suchy sypki piasek. Kapitan pobiegł w ich kierunku i rychło znalazł się tuż przy noszach. Spojrzał na leżącego i... widok, który mu się przedstawił sprawił, iż chociaż miał silny system nerwowy, nie zniósłszy tego co ujrzał – zemdlał.

Marynarze niosący poranionego wyglądali okropnie i chociaż nie pomdleli tak, jak ich kapitan, to przecież dało się dostrzec, że widok tego, którego dźwigali, sprawił na nich okropne wrażenie.

Skoro tylko szalupa z rannym Hansem Semberkiem (chyba nie trudno się domyślić, iż jego to właśnie, a nie kogo innego znalazła, penetrując wnętrze wyspy, załoga przygonionego w te strony przez burzę żaglowca) i ciągle jeszcze nieprzytomnym pod wpływem przeżytego szoku kapitanem, dobiła do burty stateczku i obydwu mężczyzn potrzebujących pomocy lekarskiej wywindowano na pokład, poczęto szukać doktora.

Trwało to dość długo, bo ukrył się w mało uczęszczanym zakątku, za wielkim zwojem lin, nie chcąc aby go niepokojono. Jak zwykle był pijany i z daleka cuchnęło odeń rumem. Ponieważ jednak drzemał już godzinę czy dwie, opary alkoholowe na tyle wywietrzały z jego mózgu, że nie tylko mógł o własnych siłach utrzymać się na nogach, ale nawet zdawał się rozumieć, co do niego mówią.

Chwiejnym krokiem ruszył za przewodnikiem. Najpierw – nie spoglądając nawet na drugiego z pacjentów – pochylił się nad kapitanem, którego twarz przybrała kredowobiałą barwę. Rozpiął surdut i koszulę, przystawił mu ucho do piersi, kilkakrotnie poklepał go po twarzy, a później ułożywszy sobie głowę dowódcy na kolanach, wydobyl z przepaścistej kieszeni butelkę z rumem, podważył kapitanowi zęby ostrzem kordelasa i do wprost otwartych ust wlał kilka kropelek trunku. Nie widząc reakcji, zwiększył dawkę.

Kapitan począł odzyskiwać naturalny kolor skóry, później zamrugał oczyma i dopiero po chwili skojarzywszy gdzie się znajduje i przypomniawszy sobie wszystko, gwałtownie usiadł i zawołał:

– Chryste! Doktorze! Zostaw mnie, a zajmij się tamtym!

– Jakim „tamtym”? – z flegmą w głosie zapytał medyk, jednocześnie podnosząc do ust flaszkę z rumem i mając najwyraźniej chęć pociągnięcia z niej solidnego łyku. Ale nie zdążył. Jeden z marynarzy, jeden z tych, którzy podźwignęli Semberka, nagłym uderzeniem wytrącił mu ją z ręki. Z brzękiem upadła na pokład. Pękła, a powietrze przesyciło się ostrym zapachem alkoholu, który rozlawszy się



szeroką kałużą, wsiąkał teraz pomiędzy deski pokładu.

– Najpierw zajmij się chorym, ty stary opoju! – warknął ów marynarz – a później możesz się zachlać choćby i na śmierć. Ścierwo! – splunął z obrzydzeniem pod nogi lekarza.

– No, no! Uważaj gnojku. W końcu jestem lekarzem, mam oficerską rangę, a za obrazę oficera grozi...

– Zamknij się! – syknął marynarz mierząc mówiącego złym okiem. – I bierz się do roboty.

Doktor machnął lekceważąco ręką i zapytał:

– Dobrze już, dobrze. Gdzież ten chory?

Podprowadzono go do burty, która rzucała w tym miejscu głęboki cień na pokład, co sprawiło, iż było tam chłodniej i pokazano spoczywające na miękkim, z koców usłanym pośłaniu, ciało.

Stary pijak stanął nad nim. Zachybotał niepewnie na nogach, z trudem łapiąc równowagę, a później wyteńczywszy wzrok, raz i drugi przecierając oczy, jakby nie dowierzając temu co widzi, jął wpatrywać się w leżącego. Stojący w okrąg marynarze i kapitan, który zupełnie już wrócił do siebie, ze zdziwieniem obserwowali jakąś niezwykłą przemianę, zachodzącą w wyrazie twarzy lekarza.

Oto zdało się im, iż raptownie, w jednej bodaj chwili, wytrzeźwiał, że wróciła mu cała jasność myślenia. Oto nie było już z trudem zachowującego równowagę pijaka, lecz absolutnie trzeźwy człowiek. Na obliczu medyka odmalowała się zgroza i przerażenie.

Nie, na pewno nie reagował tak samo jak kapitan, gdy zobaczył rannego. Na doktorze to, że spoglądał na pokaleczonego i zbroczonego krwią człowieka nie czyniło wrażenia. On się przeraził nie widoku, lecz rodzaju i sposobu zadania tych ran.

– Boże wszechmogący... – wyszeptał drżącymi wargami. – Boże

wszechmogący... jemu już nikt i nic nie pomoże. On umiera, a jedyne co mogę uczynić, to co najwyżej, gdy odzyska przytomność, podać środek łagodzący ból.

– Naprawdę nic więcej nie jesteś w stanie uczynić dla tego nieszczęśnika? – zapytał kapitan.

– Ani ja, ani żaden lekarz na świecie. Nawet najgenialniejszy w swym fachu chirurg. Zbyt wiele krwi stracił i ma ogromne ubytki ciała. To cud, że w ogóle jeszcze żyje.

– Zatem, chociaż żaden z marynarzy ich nie dostrzegł, jednak muszą być na tej wyspie groźne drapieżniki...

– Nie... Nie ma tu ludzi – prócz tego poranionego, którego widzicie przed sobą. On był jedynym człowiekiem na wyspie. Nie ma też tu drapieżników, prócz jednego, przed którym miłosierdzie boskie niechaj ma nas w swej pieczy. To nie zwierz, na pewno nie zwierz, dokonał owej przerażającej masakry...

– Nie chcesz nam chyba wmówić, stary pijaczyno, iż widzimy tutaj ofiarę demona! – chrapliwie zaśmiał się potężny, o małpiej twarzy, bosman.

– Nie kpij z czegoś, o czym nie masz najmniejszego nawet pojęcia – z całą powagą odparł mu doktor. – A w ogóle, to przypadkiem masz rację...

Marynarze wybuchnęli potężnym, niepohamowanym śmiechem. Rechotali długo i rubasznie.

– Panie kapitanie – lekarz zwrócił się do dowódcy statku. – Jeśli już wszystkich ludzi masz na pokładzie, każ czym prędzej podnosić kotwicę i odpływajmy stąd natychmiast.

– Nie gorączkuj się. Nie tak nerwowo. Widać jeszcze nie całkiem rum wywietrzył ci z głowy.

Jutro raz jeszcze zapolujemy i dopiero dostatecznie zabezpieczeni w żywność, będziemy mogli spokojnie opuścić te wody.

– Nie! Nie! – lekarz krzyczał, przerażenie wykrzywiło mu twarz w tak

niesamowitym grymasie, że aż ci stojący najbliżej odsunęli się odeń wylęknięci.

– Nie! Odpywajmy natychmiast, o ile nie chcesz na nasze głowy ściągnąć potwornego nieszczęścia. I zapewniam cię, że chociaż dzisiaj od samego rana nie skąpiłem sobie rumu, widok tego nieszczęśnika sprawił, iż trunek wywietrzył mi z głowy zupełnie. Od lat nie byłem tak trzeźwy jak dziś. Od lat!

– Daj spokój. Bredzisz. – kapitan odsunął zdecydowanym gestem lekarza na bok. Lepiej zajmij się chorym.

Lecz doktor nie dawał za wygraną. Widząc, że ani prośby, ani ostrzeżenia nie przynoszą żadnego zgoła efektu, upadł przed dowódcą na kolana i w błagalnym geście wyciągając ku niemu ręce, zaskomlał:

– Litości! Nad nami wszystkimi! Czy widok tego nieszczęśnika – tu wskazał na nieprzytomnego Semberka, o wyjedzonym do kości policzkach i piersiach – nie potwierdza, aby tego, iż moich ostrzeżeń nie trzeba lekceważyć?

– Demon! – znów zaśmiał się któryś z marynarzy. – Demon go pożarł żywcem. I nas pożre, jeśli nie usłuchamy tego starego opoja.

Doktor widząc, że nic nie osiągnie prócz tego, iż dostarczy nowego powodu do kpin załodze, wskazał palcem czterech osiłeków, i rzekł:

– Ty, i ty, i ty, i ty. Przenieście go jak najostrożniej, starając się mu nie zadać dodatkowego bólu, do mojej kajuty. Tam będzie leżał. Muszę być przy nim przez cały czas, by móc nieść mu ulgę w cierpieniu, gdy tylko będzie owo potrzebne... Muszę być przy nim przez cały czas... aż umrze.

Lekarz nie patrzył już na nikogo, odwrócił się i poszedł przodem do swojej kabiny.

\* \* \*

Przytomność, a wraz z nią koszmarny ból wracały mi powoli. Z trudem

otworzyłem oczy i pierwsze co ujrzałem, to zatroskane oblicze mężczyzny, który wpatrywał się we mnie.

– Gdzie jestem?... – głos zachrypli i jakiś obcy, z trudem wydobył mi się z krtani. – ... i ktoś ty?

– Lepiej by było dla ciebie, nieszczęśniku, iżbyś nie odzyskał przytomności umarł – usłyszałem w odpowiedzi.

Po chwili milczenia nieznajomy mężczyzna ciągnął dalej:

– Znajdujesz się na statku, który w te przez Boga zapomniane strony zagnała burza. Ciebie przypadkiem znaleźli w głębi wyspy marynarze z naszej załogi. A ja... cóż – tu jakby się zawahał – Ja jestem lekarzem...

– Ratuj mnie! – załkałem.

Ale ów pokręcił głową przecząco:

– Dla ciebie nie ma już ratunku... Straszliwie cię zmasakrował... Już od lat nie widziałem tak zmaltrretowanej przez niego ofiary...

Mimo męki i bólu ogarnęło mnie bezgraniczne zdumienie. Ten człowiek zdawał się wiedzieć o czym mówi. Krzywiąc się zapytałem:

– A zatem wiesz... kto mnie...

Nie dokończyłem. Położył mi palec na ustach.

– Tak, wiem. Doskonale wiem. To jedno wiem na pewno. Lecz ty nic nie mów. Tak będzie lepiej dla ciebie. Jak najmniej wysiłku. Zaraz przygotuję ci lekarstwo, które złagodzi trochę ból.

Tymczasem przełknij nieco rumu. Ów mocny trunek ma nieco podobne działanie do specyfiku, który chcę ci podać. Prawie przemocą wlewał mi do gardła łyk za łykiem. Alkohol, którego krople rozpryskiwały się na ranach palił żywym ogniem. Począłem jęczeć, a później mój lęk przemienił się w wycie.

– Spokojnie, spokojnie, mój chłopcze. Zaraz ból minie. Zaraz.

Istotnie, gdy tylko trunek rozgrzał mi wnętrzności i nieco uderzył do głowy,

poczułem ulgę.

Oczywiście boleść nie minęła, ale jakby stępsła. Oszołomiony patrzyłem jak lekarz wyjmując z szafy przyśrubowanej do chybotliwej podłogi, jakieś słoje, flaszki, miski, jak uciera w porcelanowych tyglach maści, jak miesza płyny. Wreszcie podał mi kubek napełniony brunatną miksturą i zmusił do jej przełknięcia. A gdy minęło nieco chwil i kojące ból działanie specyfiku zaczęło przynosić mi ulgę, zanurzał płyty czystego bawełnianego płótna w czymś, co mi wyglądało na oliwę zmieszaną z wieloma innymi ingrediencjami i zakładał opatrunki na najbardziej pokaleczone, ogołoczone z mięsa, miejsca na twarzy i piersiach.

I rum, i środek raczej nasenny niż przeciwbólowy – wyczułem w nim bowiem opium, z którym kiedyś miałem już do czynienia – sprawiły, iż pogrzyżłem się w czarną czeluść niepamięci...

\* \* \*

Doktor sięgnąwszy ręką po flaszkę z rumem, naraz jakby się zmitygował i zrezygnował z pokrzepienia trunkiem. Siedział przy łóżu chorego, w zamyśleniu podpierając głowę pięściami.

Naraz do jego uszu dobiegł odgłos licznych głosów marynarskiej braci. Nie rozróżniało się słów, wszakże pojmowało, że coś poruszyło ich mocno. Obrzuciwszy zatem pełnym zatroskania spojrzeniem nieznanego, pokaleczonego młodzieńca, którego nie zapytał nawet o nazwisko, podźwignął się ciężko z siedziska i ostrożnie aby się nie obsunąć w dół, powędrował stromymi schodkami na pokład.

Cała załoga stała zgromadzona przy jednej z burt, z zaciekawieniem przyglądając się czemuś na piaszczystym brzegu wyspy. Zbliżył się i on do tejże grupy i natężając wzrok, któremu ze względu i na wiek i na nadużywanie trunków,

nie dostawało już ostrości, popatrzył tam, gdzie patrzyli inni.

Tuż nad brzegiem morza, na piasku, ale już na linii wody, tak iż fale omywały jej stopy, tkwiła nieruchoma postać. Sądząc po stroju i sylwetce była to kobieta.

Prawie, że siłą odebrał kapitanowi lunetę i dostosowawszy jej ostrość do swojego wzroku, jął od stóp do głów lustrować tę, która wzbudziła zaciekawienie załogi.

Tak, to była kobieta. A właściwie dziewczyna, licząca nie więcej niż dziewiętnaściedwadzieścia lat. Ubrana w obszerną pąsową suknię, bogato ozdobioną kunsztownym haftem, suknię, którą wiatr wiejący od morza ku lądowi rozdymał i wprowadził w trzepotanie, tak że sprawiało to wrażenie ogromnych skrzydeł fantastycznego ptaka.

Dziewczyna miała nad wyraz kształtną twarz, okoloną długimi, zmierzwionymi włosami kasztanoworudej barwy. Obydwie ręce unosiła ku górze, wymachując nimi na wszystkie strony, w ten sposób przyzywając kogoś, kto zechciałby przybić do brzegu i zabrać ją stamtąd na statek.

Kapitan pierwszy ochłonął ze zdziwienia:

– Ruszcie no się który. Dwu-trzech do szalupy. A biegiem! Zamiast się gapić, pomóżcie dziewczynie. Bez wątpienia potrzebuje naszej pomocy. Czy chcecie, aby i ją spotkało to samo, co i owego pokaleczonego młodzieńca? A swoją drogą to ciekawe. Skąd tych dwoje wzięło się tutaj, tak daleko od wszelkich uczęszczanych szlaków, na wyspie, której nie znajdziesz na żadnej, najdokładniejszej nawet mapie świata... I cóż ich ze sobą łączy?

– Kapitanie... – odezwał się doktor.

– Czego chcesz tym razem? – odpowiedział pytaniem na pytanie zagadnięty.

– Zastanawiałeś się, co może łączyć tych dwoje? Ową dziewczynę na brzegu i mojego konającego pacjenta. Otóż ja w i e m co ich łączy. Nie jest to z pewnością miłość... O nie!

Chociaż są sobie bliżsi, niż mógłbyś to nawet podejrzewać.

– Mówisz zagadkami, doktorze. Albo powiedz wszystko, co wiesz, albo daj mi spokój i zejdz z drogi. Nie mam czasu wysłuchiwać twoich dyrdymałów.

– Kapitanie, gdybym ci powiedział teraz i tutaj wszystko, co mi o tej sprawie jest wiadomo, nie uwierzyłbyś mi, to pewne...

Nikt już nie zwracał uwagi na starego doktora. Szalupa odbiła od brzegu. Nie minęło wiele czasu, a na pokładzie stanęła nieznajoma, tajemnicza dziewczyna z wyspy. Postawiwszy nogę na pokładzie zachowała się niby udzielna księżna, zupełnie ignorując pytania marynarzy, którzy obstąpili ją wokół. Nie raczyła nawet odpowiedzieć kapitanowi, który usiłował cokolwiek wydobyć z pięknej kobiety, na temat jej losów i pochodzenia. Gdy nazbyt natarczywie napierał na nią, zastąpiwszy drogę, zatrzymała się i głęboko spojrzała mu w oczy, stała czas jakiś. A on, pod wpływem owego wzroku kulił się, kurczył w sobie i dziwnie pomieszany, krok po kroku wycofał na bok.

Doktor, oparty o burtę, szeroko rozwartymi oczyma przyglądał się tej, która zamiast słów wdzięczności dla załogi, bądź co bądź za wybawienie jej z opresji, miała dla niej tylko pozę władczyni oraz pogardę. I nic krom tego.

Dziewczyna istotnie była piękna i niejednen z mężczyzn, których mijala, spoglądał na nią bądź tęsknie, bądź z pożądliwością w oku. Wszakże na niej również i owe oznaki zachwyty nie czyniły żadnego wrażenia, tak, jakby była do nich przyzwyczajona od dawna.

Pewne ożywienie dało się dopiero dostrzec na jej – choć ślicznej, to przecież przypominającą kamienną maskę – twarzy, gdy poza plecami otaczającej ją gromady dostrzegła doktora.

Półuśmiech, pół skrzywienie rozlało się na jej wargach, a potem posłyszano wdzięczny głos:

– Och! Cóż za niespodzianka! Mniemałeś pewnie, iż się już nigdy nie

zobaczymy? No... może dopiero po śmierci. A tymczasem stoimy naprzeciw siebie. Nie cieszysz się moim widokiem? Nie przywitasz ze mną?

Doktor drżał na dźwięk każdego jej słowa, niczym smagany biczem i milczał. Marynarze i kapitan spoglądali zdziwieni to na jedno, to na drugie, absolutnie niczego rozgrywającej się sceny nie rozumiejąc i dziwiąc się niepomernie, jakimż to sposobem zawiązała się nie tylko znajomość – zda się dobra znajomość – ale i wręcz zażyłość, pomiędzy zapijaczonym staruchem, a ową młodziuchną, wiośnianą pięknnością, która już nie wnuczką, lecz prawnuczką mogłaby być chyba dla tego pierwszego.

Dziewczyna rozwarła ramiona, jakby miała zamiar uściskać doktora i krok po kroku zbliżała się ku niemu, a on, również krok po kroku cofał się coraz bardziej i bardziej przerażony. Dłonie mu drżały mocno, tak mocno, iż z całych sił ścisnął je obie razem, aby owo drzenie nieco zamaskować. Trzęsła mu się broda i wargi, a z kącików ust pociekła ślina, osiadając na niedogolonej szczeci podbródka.

– Mniemałeś, iż się mnie tak łatwo pozbędziesz? – pytała dziewczyna.

Odwróciła się z zalotnym uśmiechem ku kapitanowi i zapytała:

– Jakąż to funkcję pełni na tym statku ów dżentelmen? Myślę, że to nie tajemnica?

– Ach... gdzież tam... – jękał się kapitan.

– Jakaż tam... tajemnica... Ot, ten stary opój jest naszym lekarzem.

Dziewczyna z ironią w głosie zagadnęła doktora:

– Cóż za zmiana? Z lekarza dusz przeistoczyłeś się w lekarza ciał? Czy z równie dobrym skutkiem? Wielu udało ci się uratować od zguby?

Stary doktor uniósł obydwie dłonie w górę i jakby usiłując odepchnąć nimi zbliżającą się postać, wychrypiął zmienionym ze strachu głosem:

– *Apaga Satana! Vade retro me Satana!*

Dziewczyna na dźwięk owych słów zaniosła się śmiechem. Śmiała się długo, aż



łzy skapywały jej po policzkach, a gdy na koniec przestała, wyraz jej twarzy stał się poważny:

– Jak śmiesz w ten sposób do mnie przemawiać?! Jak śmiesz?! Czyżbyś już zapomniał przyrzeczeń i układów, przysięg i obietnic? Czyżbyś już zapomniał o wszystkim, co nas łączy... bo wciąż wiele nas łączy i nic, NIC, nie dzieli.

– Skończyłem z tamtym życiem... Raz na zawsze... Nie masz do mnie prawa! Nie masz prawa! – doktor krzyczał, nadal się cofając. Jego niski rozedrgany przerażeniem głos, przeszedł w śmieszny falset.

– Czyżby? – z kpiącym uśmiechem na ustach spytała dziewczyna. – Czyżby? Wiem, żeś swego czasu odebrał w pewnym, dość szczególnym kierunku, nader gruntowne wykształcenie.

Pewnie też nie zapomniałeś owych słów, głoszących, iż „pijacy nie posiadą królestwa niebieskiego.” A skoro nie posiadą tamtego królestwa, to cóż im może być przeznaczone? Może spróbujesz zgadnąć? Nie wierzgaj tedy, nie wierzgaj, bo i tak nic przeciw mnie nie zwojujesz.

Raczej, skoro cię chcę uściskać, oddaj mi mój uścisk. Chodź! – wyciągnęła na powrót ku niemu rozwarte ramiona. – Chodź i niech wszystko będzie jak dawniej!

Ale on nie miał zamiaru spełnić jej woli. Podnosząc dłonie w obronnym geście cofał się przed przybyłą, bełkocząc w kółko jedno i to samo:

– *Apaga Satana! Vade retro me Satana!*

Martwa cisza panowała wśród załogi, aż wreszcie kapitan zdecydował się ją przerwać:

– A zatem znacie się oboje? Skąd? Taka różnica wieku? I o co tu w ogóle chodzi?

Dziewczyna odwróciła się ku niemu z uśmiechem na ustach:

– Et, to stare dzieje! Opowiem wam kiedyś o tym. Tymczasem dajmyż mu spokój. Nie chce odnowić dawnej znajomości – jego sprawa. Myślę przecież, iż

wcześniej czy później jednak to uczyni. Ach! Ileż to ja mam wam do powiedzenia...

\* \* \*

Doktor dotarł w końcu do wjazdu wiodącego pod pokład i prawie staczając się po stromych schodkach na dół, dopadł drzwi swojej kajuty, a wbiegłszy do środka, zaryglował się dokładnie.

Później natomiast, nie zwracając uwagi na jęki rannego Hansa, wywalił na sam środek pomieszczenia, całą zawartość swojego kufra i przerzucając najrozmaitsze rupiecie, które mu się udało zgromadzić przez lata, szukał czegoś gorączkowo. Wreszcie jego praca została uwieńczona sukcesem. Oto spomiędzy pudełek na tytoń, całej kolekcji fajek, ubrań mniej lub bardziej zniszczonych i wielu, bardzo wielu jeszcze przedmiotów, których przeznaczenia nie sposób było odgadnąć, głównie ze względu na stopień ich zniszczenia, wydobył sporych rozmiarów krucyfiks i przybił go do drzwi wejściowych po ich wewnętrznej stronie.

– Teraz będziemy już bezpieczni... Już bezpieczni...

Gdy ukończył tę pracę, która zdawała się być teraz akurat dlań najważniejsza i uprzątnąwszy z grubsza bałagan, jaki uczynił, zajął się chorym.

Hans Semberk cierpiał strasznie i nawet dla kogoś, kto nie był lekarzem, nie ulegało najmniejszej nawet wątpliwości, iż chwile jego żywota są policzone. Był jednak przytomny.

Doktor przygotował dlań nową porcję mikstury i napił nią młodzieńca. Czy tym razem domieszał do niej mniejszą ilość narkotyku, czy też inna była tego przyczyna, ranny nie zapadł w sen, a przecież ból przestał mu nieco dokuczać.

Wpatrując się w doktora, już nie z nadzieją, że ów ocali mu życie, ale z niemą prośbą, aby zechciał odsłonić rąbka tajemnicy. Dla Semberka jasne bowiem było,

iż doktor nie tylko doskonale wie, że to piekielny twór – dziecko Szatana, Bafomet, doprowadził go do stanu, w którym nie pozostało mu nic innego prócz oczekiwania śmierci, pożądliwego oczekiwania, aby skróciła męki, jakich doświadczał.

– Wiem czego oczekujesz ode mnie, młodzieńcze... Nawet nie wiem jak się nazywasz... – doktor zamyślił się, wpatrując w oblicze leżącego.

– Jestem Hans Semberk z N. w Bawarii.

– Ach, Niemiec!

– Czy to cię dziwi, doktorze?

– Nie, ależ nie. Niby dlaczego miałyby mnie to dziwić. Stwierdziłem po prostu fakt, iż jesteś Niemcem i nic ponadto.

– Doktorze...

– Co, moje dziecko? Nie obrazisz się chyba, jeśli cię będę nazywał w ten sposób. Zaiste, mógłbyś być moim synem.

– Proszę nazywać mnie, jak pan tylko zechce, doktorze. Mnie już wszystko jedno.

Widać było, że mówienie sprawiało dotkliwy ból pokaleczonemu. Spostrzegłszy to, medyk próbował nakazać mu milczenie, lecz ów, przemógł sam siebie i wyszeptał:

– Dobrze... zamilknę, ale... ale niech mi pan powie, skąd wiedziałeś doktorze, że to nie zwierzę mnie tak... zmalretowało? Skąd... skąd pan wiedział KTO to uczynił?

Lekarz długo, bardzo długo milczał, tak jakby albo nie potrafił zebrać myśli, albo nie chciał odpowiedzieć na zadane pytanie. Z góry, z pokładu, dobiegły ich uszu wesołe okrzyki, jakieś śpiewy, coś przypominającego odgłosy tańca. Wrzawa wesołości. Doktor drgnął, budząc się z zamyślenia.

– Och, gdybyż się dało czas odwrócić i odwrócić przeszłość – westchnął. – Ale niestety, tego uczynić nie sposób. Pytasz skąd wiem, kto cię tak bestialsko

zmasakrował. Alboż to trudno zgadnąć, gdy się w przeszłości było kapłanem tego, który ową bestię splodził?

Hans usłyszawszy te słowa, zadrzał. Jego lęk musiał być widoczny, bo lekarz ozwał się uspokajająco.

– Nie lękaj się młodzieńcze. Nie musisz się lękać. To już przeszłość, chociaż... chociaż, znów mogłaby stać się teraźniejszością... Lecz się nie stanie! – dorzucił z mocą. – Nie stanie! Tamto raz na zawsze skończone! Przegrałem życie, zniszczyłem je i zmarnotrawiłem. Czyniłem rzeczy tak straszne, iż gdybym zechciał o nich opowiedzieć, nikt z ludzi nie uwierzyłby w ich prawdziwość... Pożądałem wiedzy. Pożądałem władzy. Pożądałem bogactwa. A przede wszystkim zbytku i rozkoszy.

– I dane ci było zdobyć to wszystko?

– Owszem, lecz za jakąż cenę? Bodajbym był najlichszym z żebraków. Bodajbym przez całe życie przymierał głodem, a nie splamił rąk zbrodniami, którymi ongiś je splamiłem.

– Och! On, Szatan, wie komu na jakiej czulej stronie duszy zagrać i jaką melodię. Dla niego wyrzekłem się Tego, do którego podwójniem należał – raz przez to, iż mnie stworzył, a po wtóre, bowiem sam tego pragnąłem, sam mu się poświęciłem.

Doktor zamilkł, uważnie przyglądając się twarzy Hansa.

– Wszakże czym ciebie mógł skusić, omamić? I... zniszczyć.

– To nie mnie. Nie mnie...

Z wysiłkiem, z licznymi przerwami na odpoczynek snuł Hans opowieść o dziejach swego rodu, o pakcie zawartym przez naddziada, o klątwie wiszącej nad wszystkimi jego potomkami, aż do siódmego pokolenia. O swych poszukiwaniach, o żądzy zaspokojenia, trawiącej niczym żywy ogień, ciekawości.

– ... chciałem poznać wszystko do końca... przeniknąć tajemnicę...

Stary doktor pokiwał głową:

– Och, gdybyś był cisnął tę starą mapę w ogień, gdzie by godne siebie miejsce odnalazła, gdybyś zapomniał o opowieści stryja, gdybyś nie jeździł do Sandomierza i nie zakłócał spokoju umarłym. Gdybyś... Lecz przecież jakie to wszystko ludzkie...

Stary umilkł na chwilę, by potem ciągnąć dalej:

– Różnych sztuczek i sposobów używa by zdobyć upatrzoną ofiarę. Jedni poddają mu się z chciwości, inni by zaspokoić cielesne żądze, inni aby zgłębić niezgłębione tajemnice natury, jeszcze inni aby opływać w dostatki. Tyś chciał rozwikłać starą rodzinną tajemnicę... I rozwikłałeś ją. Czyś zadowolony? Oto twoje najskrytsze z marzeń się ziściło. I co? Do żadnego z ludzi nie ma ON, Szatan, Przeklęty Anioł, przystępu, jeśli sam człowiek nie zechce się z nim zbratać. To nieprawda, że miał jakąkolwiek władzę nad twym rodem. ON udawał, iż ją ma i jak widać, dopiął swego. A wyście umierali, bo byliście przekonani, że musicie umierać. To nie ON was zabijał, Bóg nie dał mu takiej władzy, to zabijał was własny lęk i wiara w to, co wam wmówiono. Jeśli zaś Szatan mógł mieć jakąkolwiek władzę nad kimkolwiek z waszej rodziny, to chyba tylko nad owym naddziadem, który ten przeklęty pakt zawierał. I nad nikim ponadto.

Tamten mu się wymknął za ziemskiego żywota. Czy po śmierci również? Wątpię. Niemniej jednak, skoro Szatan upatrzył sobie wasz ród, skoro raz go już upatrzył, nie ustawał w zabiegach, nie ustawał w pokusach, straszaniu i kłamstwie, by dopaść któregoś z Semberków. I dopadł.

Ciebie.

– A owe wszystkie podania? Tajemnice, pieczęcie, symbole, siódme pokolenie. – mówił dalej doktor. – To bzdura, bzdura i nic nadto. On cię schwycił nie tu, gdy znalazłeś się jego mocą przeniesiony na przeklętą wyspę, ale wówczas, gdyś postanowił za wszelką cenę przeniknąć tajemnicę rodu. Połknąłeś haczyk i już cię

miał. Miał i wiedział, że nigdy nie wypuści. A starczyło tylko powiedzieć NIE!

– Doktorze, lecz sam widziałem... że dopiero, gdy dostał moją krew... mógł począć w pełni żyć przyjąwszy postać Bafometa.

– Ależ tak, nie przeczę! Lecz czy mniemasz, iż twojej krwi nie dałoby się zastąpić czyjąkolwiek inną? Wierz mi, nie musiała to być krew Semberka. I po wielokroć nie była.

Czyżbyś mniemał, że przez owe stulecia Bafomet pozostawał w letargu? Ależ nie! Był i działał, czasem tylko udawał się na spoczynek, z którego często go budzono, w taki sam sposób, w jaki ty to uczyniłeś.

Lekarz znów umilkł, z niepokojem wsłuchując się w coraz głośniejsze dźwięki zabawy dobiegającej z pokładu. Chwila skapywała za chwilą. Powoli... powoli... powoli... Wreszcie wrócił do przerwanej wątku.

Gdy Szatana przegnano precz spośród ludzkich sadyb, gdzie zdobywał coraz większą władzę, schronił się na tę wyspę, którą sam stworzył, czekając dogodnego momentu, aby wyemanować z siebie powtórnie bestię – Bafometa, Pana Sabatów, któremu od wieków głupcy mnie i tobie podobni nie tylko służyli, ale i oddawali cześć, mniemając, że staną się przez to kimś więcej niż ludźmi, jakby człowiekiem być, to było mało!

Wszakże gdy Bafomet niczym poczwarka motyla przebywał w uśpieniu, konieczne było napojenie go odrobiną DOBROWOLNIE na ten cel oddanej ludzkiej krwi. I wówczas dopiero się budził. Odzyskiwał właściwy kształt Pana Sabatów i mógł już działać. A do jego działań wciąż, i wciąż, i wciąż potrzeba jest krwi i rozpusty, i zgrozy, i przekleństwa, i bluźnierstwa, i szału, i opętania, i wszystkiego tego, co odczłowiecza ludzką naturę. A umie – niczym najdoskonalszy z aktorów, zresztą jest nim przecież – przywdziewać Bafomet, twór Księcia Ciemności, każdą z masek. Każdą, jakiej tylko zapragnie. Może być piękną dziewczyną i kusić swą urodą mężczyzn. Może być przystojnym młodzieńcem

i prowadzić ku zgubie naiwne dziewczęta. Może być potężnym królem, lub starcem-żebrakiem, łkającym o wsparcie. Umie być wszystkim i mało kto potrafi mu się oprzeć. Mało kto.

Doktor przerwał i znów zajął się przygotowywaniem lekarstwa na złagodzenie bólu u rannego, tym razem zwiększając dawkę narkotyku, Hans bacznie obserwował doktora, a potem zapytał:

– A zatem? Co będzie ze mną?... Co będzie?...

– Cóż, czy nie wybrałeś? Czy on cię zmuszał abyś pomógł zbudzić Bafometa z letargu? Czyż nie uczyniłeś tego dobrowolnie?

– Uczyniłem...

– Zatem chyba nie muszę ci już niczego objaśniać, niczego tłumaczyć. Oddałeś mu się i jesteś jego własnością! Zgubiony...

– Nie!!! Nie!!!

I były to ostatnie słowa, które Hans wykrzyczał. Narkotyk zaczął działać.

\* \* \*

Wstrząs psychiczny, jakiego doznał młody Semberk pod wpływem słów usłyszanych z ust starego doktora sprawił, iż ów zaniepokoił się nie na żarty. Podszedł więc do nieprzytomnego i wymacał puls. Z ulgą stwierdził, że choć słaby i nierównomierny, to przecież Hans ma jeszcze kilka godzin życia przed sobą. Tylko... tylko, co mu owe godziny dawały? Czyż można było liczyć na cud? A tylko cud mógł tu coś zmienić.

Usiadł zatem doktor obok drzwi na półokrągłym wieku od kufra obitego żelaznymi obręczami i odchyliwszy głowę do tyłu, oddał się rozmyślaniom.

Oto znów widział samego siebie, gdy jako młodzieniec przejęty do głębi kazaniem wielkopostnym pewnego złotoustego mówcy, potrafiącego sprawić, iż

tłum w kościele rzucał się na kolana, że płakał, jęczał, bił w piersi i zawodził, uświadomiwszy sobie swoją małość, swoją nikczemność i grzeszność... A zatem, znów widział siebie samego gdy po wysłuchaniu kazania i oczyszczeniu się z win przy kratce konfesjonału, cichaczem, nie mówiąc nic nikomu, wymknął się z domu, aby już nigdy doń nie powrócić.

Ach, ów nagły impuls, owo poczucie, że jego, właśnie jego, spośród tylu innych Bóg wybrał na swego kapłana, sprawiły, iż zapukawszy do furty klasztornej Ojców Franciszkanów Reformatów, poprosił o przyjęcie do ich zakonu. Był gorliwy, świętobliwy. Był wzorem do naśladowania. Ba! Mało tego – był mądry! Nikt w całym konwencie nie mógł się z nim równać w zakresie teologicznej wiedzy! Lata mijały na ćwiczeniach i na nauce... A potem?... Oto biskup... widzi go jak przez mgłę, ledwie pamięta własne święcenia kapłańskie... Pierwszą mszę, gdy drżąc z przejęcia nie śmiał dotknąć białej hostii, którą wpierw pokonsekrował, wypowiadając nad nią słowa, które ongiś wyrzekł w wieczerniku Ten, którego wziął sobie za Mistrza i za Nauczyciela.

„– *Hoc est enim corpus meum...*”

A potem?

A potem nie było już nic zgoła nadzwyczajnego w tym co czynił. Nic. Codzienność szara i pospolita. Rutyna, żadnego mistycyzmu. Biała hostia – ot okruch chleba i nic nadto. A on czekał niezwykłości, czekał cudów, czekał że Bóg gromkim głosem przemówi z wysokości, odezwie się do niego, tak jak kiedyś odzywał się do proroków i świętych. Ale nic podobnego się nie zdarzyło. Nic.

Jał nienawidzić te dni, podobne jeden do drugiego niczym bezmyślnym przesuwaniem wyślizgane paciorki różańca. Jał nienawidzić sam siebie, zrozumiawszy nareszcie, że to nie powołanie przez Boga przywiodło go przed klasztorną furtę, lecz jego własna pycha... Pycha i nic nadto. Gdy uznał się doskonałego. Za lepszego od innych.



A potem? Potem począł przekraczać pewną granicę. Wyrzucał Bogu, iż przyjął ofiarę, której bynajmniej nie pożądał. Ale Bóg milczał... Ciągłe milczał... I w mózgu jęła kiełkować myśl, z którą usiłował walczyć, myśl obca temu wszystkiemu, co przez lata czuł, czego go uczono... Ale przecież z dnia na dzień myśl owa potężniała, silniej nurtowała jego umysł: Jeśli Bóg milczy... jeśli milczy... to może Boga wcale nie ma?... Pozwolił jej się ostatecznie sformułować. Wyrzucił ją z siebie, czekając gromu, który go porazi, który runie z bezchmurnego nieba i spali, zwęgli to ciało grzeszne i ten umysł grzeszny, który poważił się na takie bluźnierstwo... Ale grom nie uderzał. Bóg ciągle milczał. Ciągłe...

I nowa wątpliwość. Inna zgoła, chociaż równie bluźniercza, co poprzednia:... a może jednak On jest... tyle że... bezsilny? Tkwi tam, kędyś w nieskończoności Kosmosu, lecz nieporadny niczym paralityk przykuty do fotela, zdany na łaskę i niełaskę opiekunów i krewnych? I tym razem nie strzaskał go piorun. Wszystko runęło, zważyło się niczym domek z kart. „Kto buduje dom na piasku...” – Przemknęło przez głowę. Tak, on zbudował dom na piasku pychy, nie na skale wiary. Nie na pewniku, lecz na ułudzie.

Kim zatem był teraz, po latach spędzonych na ustawicznym oszukiwaniu samego siebie? Kim był, zrozumiawszy, iż przegrał wszystko, co miał do przegrania? Och! Co za okrutna męka!

Jakiś szept w głowie? W głowie? Może w głowie. Może szept, a może złudzenie... Jakiś obraz... Zrazu rozmyty, potem... potem wyostrza się. Obraz człowieka wiszącego na konopnym sznurze uwiązanym do haka wbitego tuż obok drzwi celi. Na sznurze, którego pętla werżnęła się mocno, bardzo mocno w szyję. Szeroko rozwarte wytrzeszczone oczy, język nie mieszczący się w ustach, wysunięty i opuchły. Sina twarz... Któż to?... Ach, to ja... Nie, precz! Precz! Niech nie nachodzą mnie takie myśli. Czy muszę? Naprawdę? Do końca? Czy muszę być tym, któremu biskup kładł ręce na głowie, mazał dłonie świętymi olejami? Czy

muszę być tym, kim jestem, aż do końca, aż do ostatniego uderzenia serca. Tym, który co rano pochyla się nad okruczem chleba tak małym, iż nie jest on w stanie zaspokoić niczyjego głodu? Nad okruczem, który od dawna nic dla mnie nie znaczy?...

... *Hoc est enim corpus meum...*

Nie! Dość! Nie!

Jeśli jesteś Boże, jeśliś nie ułudą i nie mrzonką, daj mi znak iż mnie chcesz! Iż jestem Ci potrzebny! Daj! Błagam! Chcę znaku. Czy to aż tak wiele. Czy to wiele dla Ciebie, który stwarzasz światy z niczego i ścieżki wytyczasz czasowi? Ale On dalej milczał.

Tego ranka, jak to miał we zwyczaju, usiadł w konfesjonale, by słuchać samooskarżeń. Usiadł by nurzać się w cudzym brudzie, jakby mu było mało własnego. Pouczał, kazał bić się w piersi, zadawał pokutę... Jedno i to samo... Jedno i to samo... Już miał wyjść z kościoła, gdy naraz przez kratę konfesjonału dostrzegł profil dziewczęcej twarzyczki. Tak niewinnej i czystej, jak u Madonny z obrazów średniowiecznych mistrzów.

„– Cóż za grzechy może mieć ta słodka istota?” – przemknęło mu przez myśl.

Pochylił się przecież ku niej, nadstawiając ucha.

I od tamtej pory wszystko się zmieniło. Jego życie, pragnienia i cel...

Nie rozumiał słów, które mu szeptała. Wsłuchiwał się w dźwięk jej głosu, który przypominał poszum sosen w prastarym borze. Wchłaniał w siebie, nie tylko nozdrzami, ale całym sobą, zapach emanujący z jej młodego ciała. Pachniała świeżą ziemią, gdy na przedwiośniu puszczą lody, a brudny śnieg topniejąc spływa strumykami, zdążając gdzieś w dal ku rzekom, które zanoszą go aż do oceanu, bądź wsiąkając w glebę i sycąc korzenie roślin budzących się do życia.

Pachniała miodopłodnym kwieciem lipy, suszącym się na pokosach sianem, rozgrzaną sierpniowym upałem murawą przetykaną krwistoczerwonymi główkami

goździków... Było w niej coś z matki-ziemi, rodzicielki wszystkiego, cokolwiek żyje. Prócz jednego. Nie było w niej spokoju. Jej łagodny – zda się – głos miał w sobie coś z pomruku burzy, jej ciemnofioletkowe oczy – a może żółtozielone, niczym źrenice kota, nie umiałby żadną miarą przysiąc jaki kolor oczu miała ta dziewczyna – zdawały się rzucać błyski podobne do piorunów przecinających nieboskłon powleczony burosiną opończą chmur, zwieszających się nisko nad dachami domostw. Było w niej coś i urzekającego, i podniecającego, i budzącego lęk. Może nawet grozę.

Jedno co było jej obce, to spokój. I on w miarę, jak z jej ust płynęły słowa, których nie rozumiał, stawał się coraz bardziej podniecony.

Rozumiał, że dzieje się z nim coś zgoła niezwykłego, iż jest to może właśnie ów znak, o który prosił. Nie, którego żądał! Lecz jeśli owo było znakiem, to wołał znak niż tego, który mu go zesłał! Mijała minuta za minutą. Słońce już dawno wspięło się na sam szczyt firmamentu, a on wciąż tkwił w tej samej pozycji, z uchem przystawionym do kratki konfesjonału, z nozdrzami wdychającymi z lubością zapach... zapach... nie umiał znaleźć właściwego słowa, aż wreszcie doń przyszło – pierwotności i dziczy.

Kątem oka rzucał spojrzenie za spojrzeniem na tę, która od momentu, gdy uklękła na niewygodnych i twardych, wytartych kolanami setek penitentów stopniach, nie zmieniła pozycji ani na cal, nie drgnąwszy nawet.

Naraz pojął, że to nie ona spowiada się jemu, lecz on wyznaje jej wszystkie swoje grzechy.

Opowiada o straconych nadziejach, o złudzeniach, które brał za rzeczywistość. O swoim wielkim bólu pożądania czegoś, czego sam jeszcze nie umiałby nazwać, ale podświadomie przeczuwał, iż coś takiego istnieć musi, i że on właśnie temu czemuś winien się poświęcić.

A kiedy wreszcie już wyrzucił z siebie to, co mu od lat doskwierało, uwierając

duszę, niczym cierń wbity w stopę, cierń, którego nie da się żadną miarą usunąć, poczuł ulgę. Było mu tak lekko, jak przed wielu, wielu laty, jak w dzieciństwie, gdy siedział na kolanach babki przytulony do niej, wpatrując się w czerwonawozłote płomienie ognia gorejącego w palenisku, podczas gdy światła w całym domu były wygaszone. Czuł się wówczas i szczęśliwy, i bezpieczny, choć przecież nurtował go pewien niepokój. Ogień urzekał nie tylko swym pięknem, ale i swoją dzikością. Tym, iż może go zniszczyć, spopielić, unicestwić. Kochał go i bał się zarazem.

I dokładnie takie samo uczucie podziwu i lęku żywił teraz do tej, która klęczała od wielu już godzin, słuchając wszystkiego, co mu leży na duszy. Wreszcie musiało się skończyć to, co nie zdarzyło mu się nigdy od czasu, gdy dokonał pierwszej konsekracji. Czar prysł. Wróciła szara zwykła rzeczywistość. Drobną dziewczęcą dłoń delikatnie jeszcze tylko musnęła jego usta i zwiewna postać znikła w mroku kruchty.

Ale nie był to koniec, lecz początek zaledwie. Nie ulotna chwila, która mija, by nie wrócić już nigdy... nigdy... Co jakiś czas stawała przed nim, cicha i milcząca, zwykle gdy noc spowiła mrokiem ziemię. Wabiła skinieniem i prowadziła poza miasto, gdzie się gubili pośród wysokich traw, zatracali kształty, do czasu gdy niebo bladło na wschodzie, zwiastując zbliżanie się świtu.

Wtedy wracał zdruzgotany i przybity w klasztorne mury, czując się zbrukany i splugawiony, przysięgając, iż to już ostatni raz.

Nie, nie dlatego, iż bał się Boga, lecz z tej przyczyny, że kiedyś świadomie i dobrowolnie składał swoje śluby. A teraz je łamał. Wstydził się siebie samego. Własnej uległości i słabości.

Przecież nie umiał żyć inaczej. Wewnętrznie rozdarty między sobą a sobą, między jednym pragnieniem, a drugim, między jednym marzeniem a innym. Oczekiwał tych dni, a raczej wieczorów, podczas których opuszczały go wszystkie

wątpliwości i maczał się w mroku. Aż wreszcie nadszedł ów, który do gruntu odmienił już wszystko. Gdy z pięknej twarzy spadła piękna maska, gdy zwierzokształtne monstrum z głową kozła, z pośrodku której wystrzelał w górę migotliwy płomień o kształcie hebrajskiej litery szin, wwiodło go w krąg wół obłąkanych kobiet, mężczyzn, dzieci...

W ogromnej skalnej grocie urządzono świątynię. Ogarnął ją wzrokiem i wszystko zrozumiał.

Ponad ołtarzem odwrócony trójkąt, krzyż odwrócony i emblemat kozła. Czarne świece, jarzące się niebieskawymi płomieniami. Ściany czarne i czerwone na przemian. Dzikie śpiewy, szal i ból. Nagie ciała tarzające się po podłodze, poranione, spływające krwią, a jednak... a jednak – doznające niewysłowionej rozkoszy. Kozłogłowy władca zasiadł na kulistym tronie z boku ołtarza. Ucichło. A potem zabrzmiał śpiew bluźnierczego psalmu, który rozlegał się na przemian z równie bluźnierczym responsorium. Lżenie Boga i wszystkiego, cokolwiek Bogu mogło być miłe. Procesje i recesje. Kadzidło, którym dominował zapach werbeny, zapach ulubiony przez Szatana. Kadzidło gęste i odurzające, w którego oparach zdawało się dostrzegać zarysy innych światów.

Gdzież to podziela się zwiewna, urodziwa, łagodna i czuła – Pokusa? Miast niej widział Pana Sabatów, Bafometa. Jego żółtobursztynowe źrenice wpijały się w twarz zakonnika. Wówczas zrozumiał, czego bestia żąda. Pojął to. Pojął, iż nic za darmo. Nic...

Jak zahipnotyzowany zbliżył się do ołtarza. Nie próbował nawet zgadywać skąd się tam wzięły jego szaty liturgiczne. Zakładał humerał, albę, stułę, przewiązywał się paskiem, nakładał ornat i manipularz. Nie wiedział, nie rozumiał, było to dlań niepojęte, skąd znał słowa, wszystkie te słowa bluźnierczej liturgii. I gdzie i kiedy, i kto go ich nauczył. Sprawował obrzęd na wół odurzony. Na mensie ołtarzowej leżała naga kobieta, na jej brzuchu stawiał kielich napełniony winem i kładł hostię

– biały okruch chleba, który nic od dawna dla niego nie znaczył. O dawna?... Od jak dawna?... A dziś?... Dziś wszystko się zmieniło...

Na ofiarowanie podano mu dziecko. Małe ciało, może miało miesiąc życia za sobą, a może i nie? Był jak w transie. Działał niczym automat. Bafomet nie spuszczał zeń wzroku, wpijał się w jego twarz, nie pozwalał ani na sekundę, iżby wrócił mu rozsądek, aby sumienie mogło dojść do głosu. Jeszcze teraz słyszy płacz zarzynanego noworodka. Czuje, jak ostrym niczym brzytwa nożem rozcina gardło. Czuje ciepłą krew rozpryskującą się na dłonie, znaczącą ślady na ornacie, na albie, na stule. Zbiera ją do kielicha, miesza z ofiarnym winem. Zbrodniczy, dziki, potworny, bluźnierczy obrzęd się dopełnił...

Oto przekroczył granicę, której zda się, żaden człowiek przekroczyć nie jest zdolny.

Nie pamiętał co było dalej. Jakiś ból i jakaś niewysłowiona rozkosz. Krzyk i śpiewy, i śmiech, i łzy, i feeria barw, i kłębowisko nagich ciał, i poczucie wszechobecnej, wszechogarniającej pustki i nicości. I rozpacz tak potworna, że zda się może od niej jedynie śmierć tylko wybawić. I byłby wówczas wybrał śmierć. Byłby odszedł, porzucił zewłok cielesny, niespełnione nadzieje, pragnienia, marzenia nieziszczone. Wstręt i niesmak, niechęć, nienawiść do samego siebie. Ale on – Król Nocy – smutny i zadumany, ze swego tronu panujący ponad otoczeniem, wpatrywał się w twarz zakonnika, a jego oczy zdawały się mówić, rozkazywać, krzyczeć:

– Nie! Nie uczynisz tego! Nie uczynisz... Może... później. Lecz jeszcze nie teraz... Jesteś mi potrzebny. Właśnie ty, nie zaś ktokolwiek inny!

A później żył na poły niczym dziki zwierz. Wśród lasów, po pieczarach górskich, na uroczyskach, suchych połaciach zagubionych wśród bagien, do których ścieżki znali tylko wtajemniczeni. Był kapłanem dzikiego, zboczonego kultu, posłusznie śpiesząc na każde skinienie, na każde wezwanie swego pana – Bafometa

koźłogłowego.

Aż wreszcie wypalił się do samego końca. Już nic się nie ostało w nim z człowieka – nic zgoła.

Sam nie wiedział kim był: istotą ludzką, zwierzęciem, bestią, demonem. Obłąd przeżarł mu mózg, wypalił sumienie, stępił zdolność odczuwania jakichkolwiek uczuć. I wówczas, gdy poczuł się pusty, aż do końca pusty, jak skorupa, z której wyssano ślimaka, wówczas Szatan odtrącił go od siebie. Odepchnął z pogardą. Upokorzył. Czegoś tak potwornie bolesnego jeszcze nie doświadczył nigdy w życiu. Od Boga odszedł sam, a Czarny Anioł go odrzucił!

Zagubiony, przejęty rozpaczą, nie wiedział co ze sobą począć. Wrócić do klasztoru nie chciał.

Nie mógł zaczynać od nowa czegoś, co nie było jego powołaniem. Zresztą, choć miłosierdzie boskie jest bez granic, czy miałby czelność po tym wszystkim co przez cały ów czas czynił w jaskiniach i na uroczyskach, odprawiając bluźniercze obrzędy, odwoływać się do tego miłosierdzia? Zresztą... utracił Szatana, ale nie zaczął bynajmniej kochać Boga...

Znał się trochę na medycynie, a zatem, gdy tylko nadarzyła się po temu okazja, w portowym mieście zaciągnął się na statek jako lekarz okrętowy. Począł pić. Pił co dnia, upijając do nieprzytomności. Pił, aby zabić, zagłuszyć w sobie te straszne, potworne, niczym z koszmaru sennego pochodzące, wspomnienia dokonywanych zbrodni.

Gdy był zamroczony, cóż – jakoś mógł żyć, ale skoro tylko trzeźwiał, wszystko wracało, dławilo krtań, mroziło szpik w kościach. Zatem pił od nowa... I tak mijały miesiące i mijały lata.

Aż do czasu, gdy rozszalały żywioł rzucił ich statek tutaj, w pobliże tej przeklętej wyspy. Po co?

Dlaczego? Czy Szatan pożądał go na nowo? Czy znów był mu potrzebny?

Z pokładu dobiegały już nie odgłosy beztrioskiej zabawy, lecz dzikie wrzaski, odgłosy szału i orgii, którym oddawała się załoga. Posłyszał w pół zwierzęcy skowyt. Och! Znał ten głos! Głos człowieka żywcem rozrywanego na strzępy. Jakże szybko. Jakże bez trudu Księżę Ciemności pod postacią delikatnego dziewczęcia, zdołał zawładnąć umysłami załogi. Jakże prędko zdobył ich wszystkich. Znow świącił zwycięstwo!

Stary zapijaczony doktor poczuł, że statek drgnął i powoli zaczął odpływać, kierując się zapewne tam, dokąd Ona-On sobie zażyczyła. Odzyskała siły. Świat stawał się coraz bardziej szalony. Szatan wiedział, że teraz mu będzie o wiele, wiele łatwiej zdobyć liczne grono wiernych wyznawców i czcicieli. Takich, którzy nie cofną się przed niczym. Przed żadną nikczemnością i podłością, i zbrodnią.

Och, tak! Teraz bez wątpienia jego szanse niepomierne wzrosły, bowiem coraz więcej było takich, którzy nie wierzyli w to, że ON – Upadły Anioł w ogóle istnieje! A czyż nie łatwiej zdobyć i pokierować tymi, którzy nie przypuszczają nawet, iż mogą stanowić zdobycz, że ktoś może nimi kierować?

Statek płynął. Nabrał wiatru w żagle i pruł dziobem zielonkawobłękitne fale oceanu. Widać nie cała załoga oddała się SZALEŃSTWU...

\* \* \*

Ocknąłem się zgoła nagle. Prawie nic mnie nie bolało. Za to silne kołysanie, jakie odczuwałem wprawilo mnie w zdumienie. Nie bardzo wiedziałem, co też się dzieje. Lekarz ciągle czuwający u mojego wezłowia, delikatnie położył mi dłoń na czole i ozwał się łagodnym głosem:

– To nic. Nic. Nie lękaj się. To po prostu podniesiono kotwicę i statek odpływa od brzegów wyspy.

– Ale dokąd? Dokąd płyniemy doktorze?



Stary człowiek wzruszył ramionami:

– Tego niestety nie wiem, ani nawet domyślać się nie mogę.

– Zatem nie znasz planów kapitana? – indagowałem dalej starego.

– Plany kapitana znałem, i owszem. Tyle, że teraz nie jest on tu panem i nie jego rozkazy się wykonuje.

– A czyje?

– Chłopcze, chłopcze – doktor pokiwał głową. – Tej, a raczej Tego, kto nad nimi wszystkimi zdobył i władzę, i moc, i panowanie. Tego, przed którym chcielibyśmy umknąć, skryć się tak, by już nigdy, przenigdy nie mógł nas odnaleźć.

Jąłem drzeć na całym ciele. Szczękałem zębami, a palce kurcząc się, zaciskały na pledzie, którym mnie okryto.

– Och! Boże! Litości! Miej litość nade mną! Boże, Ty wiesz że żałuję!

– Któż wzywa Tego, którego nienawidzę? Któż go wzywa?

Spoza drzwi doleciał do mych uszu głos ni to męski, ni kobiecy, mający w sobie coś zwierzęcego – głos Szatana.

– Darmo skamlesz! Dobrze wiesz, żeś mój, że nikt i nic nie jest w stanie wyrwać cię z mojej mocy! Otwierajcie drzwi, wpuście mnie do środka. Niech się dopełni, co ma się dopełnić!

– Przeklęty! – niesamowity głos z korytarza wprost ział nienawiścią. – Zabierz TO z drzwi!

Natychmiast! Słyszysz mnie?! Zabierz coś tam przymocował! Natychmiast! Usuń tę przeszkodę!

Chwila przerwy, i znowu:

– I tak cię dostanę, a wtedy pożałujesz! Poświęć tego dzieciaka mnie. Dokonaj rytuału, a przyrzekam, iż na nowo powrócisz do łask!

– Potrzebujesz kapłana? Prawdziwego? – stary doktor zmienił się na twarzy. –

Jeszcześ nie zdążył usidlić nowego? Dlatego ci potrzebny?

– Daj spokój. Czynisz mi wyrzuty. Może i masz trochę racji. Może i masz. Ale przecież, gdybyś się był lepiej starał...

– Precz Szatanie. Odejdź ode mnie Szatanie! – krzyknął doktor. – Nie chcę cię słuchać. Już nigdy. Nigdy więcej!

Spoza drzwi doleciał chrapliwy, przesycony bluźnierstwem śmiech. Z przerażeniem w oczach patrzyłem na doktora. Skóra na jego twarzy przybrała ziemisty wygląd. Wargi mu posiniały, a ręce jęły drżeć. Zresztą całym jego ciałem wstrząsały dreszcze. Zapatrzony w tego człowieka, zapomniałem nawet o własnym bólu, który mnie przenikał, przesycał każde włókienko ciała, każdy nerw, każdy okrucuch kości.

Oto obserwowałem zadziwiające i straszne zarazem widowisko. Stary człowiek walczył sam ze sobą. A straszliwa to była walka. Oto dwie wole, dwa pragnienia, dwa pożądania zwały się ze sobą w straszliwym uścisku.

Zza drzwi ciągle i ciągle dolatywał głos:

– Usuń tę przeszkodę. Wpuść mnie!

Chwilami głos przemieniał się w ryk, przypominający dźwięk gromu przetaczającego się po niebie.

Tymczasem doktor stał wciąż pośrodku kajuty. Miał szeroko rozstawione nogi, wykrzywioną grymasem bóleści twarz. Wpół otwartymi ustami łapał ciężko powietrze, niczym ryba wyrzucona z wody na brzeg. Szponiasto zgiętymi palcami to chwycił powietrze, to rozorywał sobie nimi twarz, aż cały spłynął krwią.

Długo to trwało, bardzo długo, ale przecież nareszcie zauważyłem, że zaczyna się uspokajać.

Rysy jego twarzy wygładzają się, tracą ostrość. Rękawem otarł krew z pokaleczonych policzków. Jego oblicze uległo nadzwyczajnej przemianie. Stało się łagodne i tchnące spokojem.

Nie zważając na ryki i na żądania dobiegające spoza zamkniętych drzwi, powoli, nie śpiesząc się, otworzył swój kufer. Szperał w nim długo, aż na koniec spośród niezliczonych rupieci, wyciągnął długi pas materiału o spłowiałej fioletowej barwie, po obu końcach poznaczony krzyżami. Była to stuła. Ze czcią ją ucałował i założył na szyję, później zaś zbliżył ku mojemu pośłaniu.

– Nie... – prosiłem. – Nie... nie zabijaj mnie... Czy musisz? Czy naprawdę musisz bluźnić znowu plugawą ofiarą?... Nie skazuj mnie na potępienie! Czym ci zawiniłem?

Usiadł tuż obok mnie. Ze smutkiem popatrzył mi w oczy.

– A zatem niczego nie rozumiałeś? Tak, wiem. Nie winię cię za to. Z przerażeniem spoglądasz na rdzawe plamy krwi ofiar, którym przybrany w tę stułę, składał na ofiarę Szatanowi.

Zamilkł na chwilę, ale zaraz ciągnął dalej:

– Nie lękaj się jednak. Nie lękaj. Nie przyszedłem tutaj w imieniu Przeklętego i nie jego wolę chcę wypełnić. Musisz wiedzieć, że ta stuła, choć zbezczeszczona, choć splugawiona, stanowi przecież jednak znak, symbol mojego kapłaństwa. Nim w niej służyłem Księciu Ciemności, wpierw służyłem Dobru, Prawdzie i Miłości. Wiedz również, iż kto raz świadomie i dobrowolnie wybrał drogę i przyjął święcenia kapłańskie, choćby i największym był w życiu zbrodniarzem, choćby przez lata co sekundę zdradzał Tego, który udzielił mu części Swej władzy, to przecież nigdy owego przywileju nie utraci. Zawsze i wszędzie będę już kapłanem... przez całą wieczność... będę kapłanem Boga nawet i w... piekle...

Pochylił się znowu nade mną i uczynił znak krzyża, przysunął ucho ku moim wargom.

Zrozumiałem. A gdy już wyznał wszystkie swoje grzechy, gdy czysty i spokojny czekałem śmierci, gdy starzec unosząc dłoń nad moją głowę szeptał: „*Ego te absolvo...*”, wiedziałem, miałem tę pewność, że ten co chciał mnie pojąć

na wieczność nieodwołalnie przegrał...

Stary doktor, czy może raczej mnich, widząc iż Hans Semberk skonał, powoli zamknął mu palcami powieki i zastygł w tym geście na jakiś czas. Za drzwiami ucichło, lecz przecież wiedział, że TAMTEN wcale nie dał za wygraną. Ale było mu już wszystko jedno. Zrozumiał błędy swojego żywota. Chciałby odwrócić czas, zmienić bieg przeszłych zdarzeń. Tego wszakże nie mógł być uczynić. Rad, iż przynajmniej uratował Hansa, ze spokojem i rezygnacją oczekiwał przeznaczonego mu losu. Któremu przecież nie miał zamiaru poddawać się biernie.

Cóż mógł uczynić? Cóż prócz tego, by zawierzyć Temu, którego przed laty zdradził? Nie zdjął stuły. Podeszedł do drzwi, oderwał od nich krzyż i mocno zawierając na nim palce lewej dłoni, prawą nacisnął klamkę.

Stanął w progu, twarzą w twarz z Bafometem, zasłoniwszy się krzyżem przed tym, który ziejąc nienawiścią i złem chciał go dopaść. Przed tym, który chciał w starym pomarszczonym ciele zatopić kły, szarpać je szponami, chłeptać krew, a na koniec wydusić zeń ostatek życia...

Stali tak – oko w oko. Mierząc się wzajemnie. Mnich odmieniony, przeistoczony wewnętrznie i ten, któremu się zdawało, że stary, zmięty strzęp ludzki, który został doprowadzony ku samej krawędzi człowieczeństwa, że strącił go w niezmierną bezdenną otchłań nienawiści i męki, będzie drobiazgiem, ot czymś banalnym i prostym, niegodnym wspomnienia, nie może jednak być zlekceważony.

Oto widział przed sobą kogoś, kto przestał mu służyć, przestał kochać, przestał uwielbiać, przestał się lękać i miał czelność wypowiedzieć walkę. Bafomet czy chciał, czy nie chciał, musiał spoglądać na krucyfiks. Widział poskręcane w agonii ciało Zamordowanego, któremu tyle razy bluźnił, lecz którego się bał, wiedząc, iż On, ten niby-Pokonany, ten grubymi gwoźdźmi przybity do drzewa i tak jest zwycięzcą w ich odwiecznej walce. Walce Nienawiści przeciwko Miłości.

Bafomet drżał i kulił się, jak smagany biczem, a potem, krok po kroku, jał cofać się w kierunku schodków wiodących na pokład. Czepiając się ich szponiastymi dłońmi pełznął ku górze, pojękując z cicha. A stary mnich z krzyżem uniesionym ponad głową szedł za nim. Szedł i bezgłośnie poruszał wargami, wygrzebując z pamięci i odmawiając słowa dawno, dawno zapomnianych modlitw. Szedł z wiarą w zwycięstwo, ani na chwilę nie wątpiąc iż ten bój nie może być dla niego przegrany.

Marynarze, którzy wraz z Bafometem przybyli by wyciągnąć starego doktora z jego schowu pod pokładem, patrzyli na tego, który ustawicznie dostarczał im tylko tematów do drwin, szeroko ze zdumienia rozwierając oczy. Widzieli, rozumieli, docierało do ich świadomości, że ów starzec z krzyżem w ręku jest kimś wielkim, ponadludzkim, niezwykłym. Nie rozumieli tylko czemu prześladowie dziewczynę. Ich oczy dostrzegały bowiem inny zgoła obraz niż oczy mnicha.

Oni nadal sycili się pięknem panny, młodej, uroczej, radosnej, umiejącej zabawić i zachwycić wszystkich dookoła. Oni nie widzieli kozłogłowego demonicznego stworu, którego piekło wypluło ze swoich wnętrzności na przekleństwo świata i ludziom. By mogli go ujrzeć w całej jego ohydnej brzydocie, napiętnowanego bluźnierstwem, musiałoby jeszcze wiele czasu upłynąć.

Musieliby wiele popełnić zbrodni, musieliby wreszcie wyrwać ze swych serc całą miłość, aż do ostatka, do najmniejszej drobinki, a zastąpić ją nienawiścią. Nienawiścią ku wszystkiemu i wszystkim. Ku kwiatom i trawom. Ku rzekom i strumieniom. Ku górskim szczytom i oroszonym ziołom, ptakom, zwierzętom, obłokom. Ku księżycowi i gwiazdom. Ku bieli śniegu i barwom tęczy. Musieliby osiągnąć taki stan ducha, w którym całym ich światem, całym życiem i całym sensem życia, byłaby nienawiść. Nawet ku samym sobie.

Ale oni nie doszli jeszcze do takiego stanu – ta jedna zbrodnia, którą popełnili, pewnikiem jeszcze zgoła nieświadomi tego co uczynili, to zbyt mało – i daleko im

było do niego, o, jakże daleko. Dopiero wstępowali na drogę, która ich miała poprowadzić ku miejscu, z którego zawrócić prawie niepodobna. Do miejsca, z którego zawracał właśnie ich stary, zapijaczony doktor.

Naraz do uszu marynarzy dobiegł przeraźliwy krzyk:

– Ratujcie mnie! Ratujcie!

To dziewczyna, wczółgując się po schodkach na pokład prosiła o pomoc. I dopiero jej krzyk sprawił, iż jakby się ocknęli z głębokiego snu. Pojęli, że nieznanym zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo.

Oto oszalały staruch zbliżał się ku dziewczynie z groźnie uniesionym krzyżem, jakby miał zamiar roztrzaskać nim tę piękną głowę. Dwu osiłków rzuciło się, aby go powstrzymać.

Schwyciło za łokcie próbując odciągnąć. Lecz starzec strząsnął ich z siebie jednym nagłym ruchem, jakby mu raptem powróciły siły sprzed lat, sprzed wielu lat, gdy w młodych mięśniach i kościach czuł krzepę i gotów był się zmierzyć i z całym choćby światem.

– Ratujcie mnie! Ratujcie! – głos dziewczyny wibrował w powietrzu. Przesycony lękiem, drżący.

– To wariat. Bez ochyby wariat – wymamrotał kapitan i zastąpił drogę doktorowi.

– Co czynisz? – zapytał. – Czyś oszalał? Czy rum ci już całkiem przeżarł mózg?!

– A co wyście uczynili?! Już zapomnieliście?! Zapomnieliście wspaniałej zabawy na pokładzie?!

Tanecznych korowodów, orgii, krwi, śmierci?!... Kogo zamordowaliście, szaleńcy?! Słyszałem krzyki konającego?! Kogo?!

Kapitan blady ustąpił z drogi. Przez moment wydawało się, iż odzyskuje jasność myślenia, iż odzyskuje pamięć. Całą pamięć tego, co stało się jeszcze tak

niedawno przecież. Lecz wystarczyło jedno spojrzenie Bafometa. Lecz wystarczyło, że wpił się wzrokiem w oczy kapitana, przewiercił przez nie aż do głębin duszy, a tamten na nowo stał się bezwolnym narzędziem w rękach Pana Ciemności.

Dziewczyna-Demon już dopełzła do szczytu schodów i stanęła wreszcie na pokładzie, odsuwając się najdalej jak tylko mogła od włazu. A w nim za chwilę ukazała się dłoń niosąca krucyfiks i wyłoniła cała postać starca. Bafomet runął na kolana. Jęczał i wił się w boleściach.

Skamlał o litość, jednocześnie wzywając pomocy.

– Ratunku! Ratunku! – ów głos niósł się daleko i słychać go było pewnie w każdym zakamarku statku. Nic poza owym głosem nie docierało do świadomości marynarzy. I ci, którzy do tej pory zajęci byli zabawą, i ci którym kazano poprowadzić statek ku wyznaczonemu miejscu na odległym lądzie, wszyscy rzucili się na pokład i stanąwszy zwartym kręgiem, patrzyli na tych dwoje – na pełzającą niczym robak po chropawych deskach dziewczynę i starca stojącego ponad nią z groźnie wyciągniętą ręką, w której dźmierzył krucyfiks. Niczego nie pojmowali z owej sceny. Mniemali tylko, iż doktor oszalał, i że muszą uwolnić od niego dziewczynę.

Krąg groźnych postaci zacieśniał się wokół tych dwojga. Naraz bosman skoczył – z nagłą i niespodziewanie – pomiędzy mnicha, a dziewczynę. Zasłonił ją swoim ogromnym, zwalistym cielskiem. I wtedy ona, w chwili gdy jej ruchów i woli nie krępował już widok krzyża, podniosła się, wyprostowała i rozkazała tym, którzy stali obok:

– Zabierzcie mu ten przedmiot! Bez niego zaraz straci moc! Znów będzie słabym i bezbronnym starcem!

Jeden z marynarzy posłusznie podbiegł ku mnichowi, a schwyciwszy go jedną ręką za gardło, drugą począł wydzierać krucyfiks. Lecz mimo, że staruch zsiniał

i charczał, nie połuźnił chwytu.

Im silniej ręce marynarza zaciskały się na jego gardle, tym silniej palce wpijały się w zbawcze drzewo krzyża. Wiedział, że jeśli pozwoli się pozbawić tej swojej jedynej skutecznej obrony – przegra. Przegra ostatnią walkę swego życia... Przegra całe życie... Nieodwołalnie i ostatecznie...

Nadal bezgłośnie poruszał wargami, nadal odmawiał modlitwy, o których przez tyle lat nie pamiętał, którymi pogardzał, z których kpił. Swoje myśli kierował ku Temu, którego zdradził, ze łzami w oczach błagając o przebaczenie. Nie, nie bał się śmierci. Nawet tej najokrutniejszej.

Zbyt wiele ich w swoim życiu widział, zbyt wiele zadał własnoręcznie, izby strach przed nią miał nim zawładnąć do końca. Przecież śmierć, konanie, choć straszne, choć w męce, jednak da się znieść. A czego znieść by nie potrafił?... Czego?...Nienawiści i smutku, i oddalenia, i pustki.

Ciemności i rozpacz. Nie zniósłby braku Światła. Nie zniósłby ustawicznego brożenia w Ciemnościach Wiecznej Nocy, pośród tych, którzy podobnie jak on sam przegrali wszystko i zmarnotrawili...

„– Och! Nie bądź Panie dla mnie sprawiedliwy, bo wobec Twojej sprawiedliwości się nie ostoję. Bądź dla mnie miłosierny...”

To już nie szept modlitwy wypowiedanej ustami, to wołanie duszy niosło się ze środka pokładu statku zabłąkanego w bezkresie oceanu, gdzie w okrąg niebo i woda zlewały się w jedno ze sobą.

Palce na gardle zaciskały się silniej i silniej... Niby w odzwie, inne palce równie silnie zaciskały się na kawałku drewna...

Skądś, jakby z niezmierzonej dali, jakby spoza gęstego tumanu mgły kłębiącej się wysoko nad ziemią, uszu mnicha dobiegł głos:

– Nie szarpcie się ze staruchem! Za burtę za nim! Za burtę!

Poczuł jak ręce, jak wiele rąk chwytą go i unosi, jak wloką ku burcie, jak



rozkołysują i z rozmachem ciskają w powietrze. Nie czuł spadania. Odzyskiwał oddech i dopiero, gdy pogrążył się w wodzie, ta przywróciła mu pełną świadomość.

Przyjęła go ciepła, niczym dotyk matczynej rąk i życzliwa. Objęła całego i obmyła. Z wszelkich brudów i złości, i win, jakie przyłgnęły do tego ciała i do tego umysłu.

Zrazu pogrążał się w niezgłębionej toni, lecz później jednak, kilkoma gwałtownymi ruchami rąk i nóg sprawił, że wypłynął na powierzchnię. Popatrzył w kierunku statku, ale ten pędzony wiatrem, który napinał mu żagle, był już daleko, bardzo daleko i nawet najzręczniejszy pływak nie mógłby go dopędzić. Ale przecież stary człowiek nie miał tego zamiaru.

Oto tu, oto teraz, sam jeden, zanurzony w błękicie wody mieszającej się z błękitem nieba i w błękicie nieba mieszającego się z błękitem wody, poczuł się wolny i... bezpieczny. Po raz pierwszy od tylu lat, mając świadomość, że za kilka godzin – bo przecież na więcej nie starczy mu sił, by płynąć – na zawsze pogrąży się w odmętach, że za te kilka godzin przekroczy drugą po granicy narodzin, granicę w bytowaniu człowieka – granicę śmierci.

Chwile mijały wolno, nieskończenie wolno, a on wciąż i wciąż sycił się odzyskiwanym spokojem. Leżał na plecach, zapatrzony w niezmierzone dale niebios. Przymknął oczy. Oto znów był małym chłopcem. Widział – jakby z pewnej perspektywy, z pewnego oddalenia, czego pojąć nie umiał w żaden sposób – samego siebie. Idącego, wspinającego się pod górę ulicą. Czuł uścisk palców babki, która trzymała go za rękę. Wzdłuż chodnika ciągnął się rząd strzelistych włoskich topoli. Przyjemny, rzeźwy chłód letniego poranka. Zielen drzew. Kłębowisko zieleni.

Gęsta murawa cała poprzetykana stokrotkami i jaskrami. Leży na niej, czuje jej chłód i jej miękkość. Wiatr niesie nitki babiego lata. Biel, nieskalana biel śniegu. Chropawa, z lekka podmarznięta wierzchnia warstwa, którą wczorajsze słońce

trochę nadtopiło, a nocny mróz znowu zestalił. Czuje ten chrzęst pod stopami. Słyszy go. Niespodziane pragnienie – nabrać pełną garść śniegu i zanieść do ust. Poczuć jak rozpuszcza się, lodowatym strumyczkiem spływając poprzez przelyk, poczuć jak drętwieją oblepione nim zęby. Choinka przystrojona, rozjarzona dziesiątkami chybotliwych płomyczków świec. Pachnie lasem. Pachnie żywicą. I ten żal... Ten ogromny żal, że owa piękna, wonna choinka umiera, że minie ledwie kilka dni, a osypie się z igieł. Obrazy zmieniają się jeden po drugim. Jeden po drugim...

Całe życie od momentu, który jako pierwszy utkwiał mu w pamięci, aż po tę ostatnią chwilę...

Na nowo pojawiają się cierpienia i udręki. Na nowo ból i wyrzuty. Na nowo bezsilność, ale już nie bunt, iż czasu nie sposób zawrócić. Zamiast tego żal... Tylko żal... I tylko smutek, że nie umiał powstrzymać, przekonać, przemóc, że statek z demonem na pokładzie bezpiecznie pruje wody oceanu, zmierzając ku odległemu lądowi. I tylko smutek, iż znowu, w mroku i ciemności ludzka podłość i żądze wypełzną niczym robactwo, które będzie się karmić zbrodnią i bluźnierstwem. Potwornością i rozpustą. Że znowu wielu, bardzo wielu pójdzie za ułudą, w zamian za miraż i obietnice spełnionego szczęścia przykrojonego na miarę doczesności. W zamian za obietnicę mądrości i wiedzy, bogactwa, rozkoszy odepchnie to, co ma jakąkolwiek wartość w życiu – odepchnie Miłość. Ile jeszcze istnień? Ile żądz? Ile pragnień? Ile krwi? Kiedy wreszcie wyschnie do dna strumień czasu, oddając swą ostatnią kroplę Oceanowi Wieczności?

Kiedy wreszcie wraz z czasem ustąpią i ból, i pragnienia nieziszczalne, i łzy, i żądze. Kiedy nadejdzie ta chwila, gdy nie będzie już niespełnionych snów, ułudnych rojeń? Kiedyż to wreszcie Szatan odejdzie spośród nas, na zawsze, pokonany?

Ale na żadne z owych – w ostatniej godzinie życia, pytań lęgnących się w jego

mózgu – nie umiał jeszcze znaleźć odpowiedzi. Jeszcze wiedza i mądrość nieskrępowane czasem i przestrzenią, nieogarnione i wieczne, były zakryte dla jego umysłu.

Wszakże jedno wiedział przecież. I wiedział na pewno, że darmo Szatan zwodzi i uwodzi.

Darmo kusi i sprawia, iż ludzie zmieniają się w bestie. Tchórz. Lęka się przyznać, przyznać sam przed sobą, że tę walkę, którą od wieków prowadzi – lub tylko zdaje mu się, że prowadzi – przegrał w momencie, gdy ją wypowiadał.

Czy nienawiść może aż tak zaślepić? Czy aż tak? Jak to się dzieje, iż umysł przeznaczony właśnie do wolności, sam, nie przymuszany, wybiera zniewolenie? Kajdany jednej jedynej myśli przenikającej go zawsze i do końca.

I wiele jeszcze rozmaitych myśli przelewało się przez mózg starego człowieka spoczywającego nieruchomo na falach, zapatrzonego w nieskalany nawet jedną chmurką błękit nieba i ze spokojem i nadzieją czekającego na ostateczne wyzwolenie. Na tę, która wyciszy wszystko, ukoji i nareszcie obdarzy spokojem. Już czuł ją. Czuł, że śmierć nadchodzi. Uśmiechał się do niej, przymykając powoli powieki i szepcząc:

– Prędeej, prędeej! Wyzwól mnie wreszcie z więzów tego ciała, które służyło mi tylko ku czynieniu zła...

A ona zmierzała ku niemu obłym kształtem, prując grzbiety fal błękitnawozielonego oceanu.

Wychylała się z głębin, krążyła wokół. Czekwała sposobnej chwili by uderzyć. By jednym celnym uderzeniem wydrzeć ostatni dech z piersi starego człowieka...

\* \* \*

A kędyś hen, daleko, poza horyzontem, Bafomet – Pan Sabatów, stał na rufie,

zapatrzony w przestrzeń. Czuł całą gorycz porażki i upokorzenia. Oto przegrał z kimś, kto – zda się – był już jego własnością na wieki... na wieki...

Nie, tego nie mógł darować. Tego nie mógł wybaczyć. Zemsta musiała się dopełnić.

Zemsta?... Czy zemsta? Czy tak to właśnie odczuwał?... Nie, owo było inaczej... Jakoś inaczej...

Nie potrafił nazwać uczucia, które kazało mu wciąż jeszcze prześladować starca, który i tak, za niewiele chwil, pogrążyłby się w niezgłębionej otchłani oceanu, by nigdy więcej nie zaczerpnąć już powietrza w płuca, ani nie nasycić oczu słonecznym blaskiem. Zemsta?... Nie, to była żądza.

Żądza zła i krwi przypisana do jego natury. Żądza zadawania bólu. I wypluł ją z siebie i rzucił w odmęty, i dosięgnął nią rekina, a wstąpiwszy w jego potężne cielsko, popłynął tam, gdzie na falach unosiło się bezbronne ciało starca.

\* \* \*

Ból, ostry, przenikający ból. Skąd ten ból? Tam z boku trójkątna płetwa przecięła powierzchnię wody... Ból rozrywanych mięśni, kruszonych kości... Potworny, nieznośny ból...

Plama krwi rozszerzająca się dookoła. Coraz większa i większa. Nowy atak, nowy ból. Już ostatni. Po nim nicość. Czerń pustki. Bezdenna, zda się, otchłani, niosąca go z zawrotną prędkością ku czemuś... Ku czemu?...

Jasne, złocistobiałe światło rozjarzyło się na końcu czarnej otchłani. I już wiedział. Teraz już wiedział. Już nie musiał wierzyć, że zostało mu wybaczone...

A rekin czas jakiś jeszcze miotał się w wodzie niby oszalały. Rozbryzgując ją i młócąc ogromnym ogonem. Aż wreszcie zanurkował, a gdy wypłynął, wolny był już od tego, co opętało bezrozumne cielsko.

\* \* \*

Na pokładzie płynącego statku, który coraz bardziej i bardziej zbliżał się ku zamieszkałym lądom, załoga pijana i oszalała, pławiąca się w krwawej orgii, tańcząca wokół pięknej, delikatnej dziewczyny, siedzącej pośrodku tanecznego kręgu na wielkim zwoju konopnych lin, na prawo i na lewo śląc uśmiechy.

I naraz piękno jej postaci jęło mętnieć... I na zwoju lin nie siedziała już ta, którą ongiś zabrali z zagubionej wyspy... Kozłogłowy stwór o poskręcanych rogach, spomiędzy których strzelał w górę, mieniający się rozmaitymi barwami, płomień, w kształcie hebrajskiej litery szin, po kolei, każdemu z nich, z tańczących, którzy nagle umilkli i zamarli w bezruchu, spoglądał w oczy, przewiercał się przez nie, sięgał głębin dusz, wsączając w nie jad swego smutku, swojej rozpacz, swojej nienawiści i swego zwątpienia...

A oni pod wpływem owego spojrzenia kulili się i drżeli niczym psy smagane batem, a potem upadli na twarze, oddając mu pokłon...